„GW" CHWALI „RODZINY MIĘDZYGATUNKOWE"

Koty i psy zamiast dzieci? – o dorosłych, którzy dostali bzika na punkcie zwierząt

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 12/519 20–26 MARCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Tajemnica siły i niezłomności kardynała Sapiehy

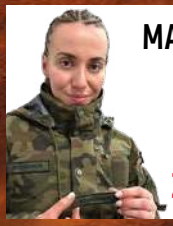

MARIANNA SCHREIBER W KAMASZACH – JAK RADZI SOBIE W ARMII ZNANA CELEBRYTKA

Warzecha ostro w obronie prawa do płacenia gotówką

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829

Nakład: 52 000 egzemplarzy

SHOWMANI GEOPOLITYKI

Wojna Rosja – Ukraina: zuchwałe wizje polskich ekspertów

AKADEMIA NBP
NARODOWY BANK POLSKI

AKADEMIA KOPERNIKAŃSKA

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Akademia NBP współpracuje ze Szkołą Główną Mikołaja Kopernika.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, został nominowany na członka Akademii Kopernikańskiej podczas Światowego Kongresu Kopernikańskiego. W trakcie Kongresu odbyło się spotkanie przedstawicieli banków centralnych, którzy zaangażowali się w rozwój Szkoły Głównej Mikołaja Kopernika.

Naszym głównym celem jest kierować programowo Szkołą Główną Mikołaja Kopernika, która będzie prowadzić wykłady na wszystkich szczeblach z ekonomii, zarządzania i finansów […] *Zależy nam na tym, aby na wykłady Akademii NBP przyjeżdżali wykładowcy z całego świata, ci najlepsi, z czołowych ośrodków uniwersyteckich* […] – powiedział prof. Adam Glapiński po otrzymaniu nominacji.

Więcej o kursach na:
akademia.nbp.pl

obserwator finansowy.pl

NARODOWY BANK POLSKI

BANK I KREDYT
BANK & CREDIT

eprasa.pl 5501c57294

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polski dom wariatów

W sążnistym, liczącym kilka kolumn (wydanie papierowe) tekście moja ulubiona „Gazeta Wyborcza" pochyliła się z troską nad niebezpiecznym rzekomo zjawiskiem, które polega na tym, że „rośnie liczba Polaków o opiniach zbieżnych z rosyjską propagandą". Przy czym, jak we wszystkich innych tego rodzaju tekstach, dziennikarze nie zastanawiają się nad tym, czy dane opinie są słuszne czy nie – jedynym kryterium jest właśnie ich „zbieżność z rosyjską propagandą".

Pod tym względem, warto zauważyć, stanowisko „Wyborczej" do złudzenia przypomina postawę ministra rządu Stanisława Żaryna, który także bada „współbrzmienie", „rezonowanie" czy też „zbieżności". Oczywiście obie badające strony dochodzą do całkiem przeciwnych konkluzji. Tak wygląda polska debata geopolityczna: każdy z uczestników interesuje się nie treścią i sensem wypowiadanych argumentów, ale tym, czy uda mu się je przypisać domniemanym intencjom rosyjskich mocodawców i skompromitować tym samym drugą stronę. Osiąga się to, odwołując się do niejasnych, bliżej niesprecyzowanych określeń, takich jak właśnie „rezonowanie" czy „zbieżność".

Nic dziwnego, że w tymże tekście do grona podejrzanych o współbrzmienie z Moskwą został zaliczony choćby Jacek Bartosiak, publicysta, który wydaje się jednym z największych zwolenników amerykańskiej i rządowej linii wojennej oraz twardej rozprawy z Rosją. Dwie rzeczy mnie rozbawiły. Po pierwsze, okazuje się, że nawet jeśli czyjeś wywody są logiczne, to, zdaniem przywołanego przez „GW" eksperta Piotra Niemczyka, jest to… tym bardziej groźne. A po drugie, Bartosiak, zamiast powiedzieć grzecznie, żeby dziennikarz „GW" spadał na drzewo, postanowił się wytłumaczyć. Oto jak: „Ja miałbym być prorosyjski?! Przecież od lat współpracuję z Amerykanami! Moim przyjacielem jest gen. Ben Hodges, były dowódca wojsk lądowych USA w Europie, czy gen. Philip Breedlove, były dowódca NATO". Trudno się nie śmiać: krzewiona przez obie strony szpiegomania doszła do tego, że kto nie chce być zaliczony do „onuc", musi opowiadać, z którym amerykańskim generałem się przyjaźni. Ale i to za mało.

Jeszcze bardziej groteskowy jest sposób, w jaki Bartosiaka zaliczono do kategorii podejrzanych. Pojawił się on w niej, bo był członkiem „rady Narodowego Centrum Studiów Strategicznych, czyli think tanku założonego przez byłego wiceministra obrony w rządzie PiS, LPR i Samoobrony – Jacka Kotasa". Pięć lat temu „dziennikarz śledczy" „GW" Tomasz Piątek ogłosił, że ówże Kotas „miał relację z mafią sołncewską". Przypomnę, że tenże dziennikarz śledczy twierdził, iż „z sołncewską mafią, czyli potężną rosyjską organizacją przestępczą, założoną przez sowiecki wywiad wojskowy GRU", ma powiązania premier Mateusz Morawiecki. Według Piątka Morawiecki stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski, bo skumał się z Kremlem. Tyle mówił przynajmniej w roku 2019. A w marcu zeszłego roku, już po agresji Rosji na Ukrainę, stwierdzał, że „w 95 proc. to, co robi PiS, jest korzystne dla Kremla".

Podobnie patrzy na to inny ekspert, Grzegorz Rzeczkowski, przedstawiony w artykule jako „dziennikarz śledczy »Newsweeka«" oraz autor dwóch książek o rosyjskich wpływach. Według Rzeczkowskiego „tych »onuc« różnej grubości mamy w Polsce mnóstwo, a niektórzy chyba lubią ich odór. Zwróciłbym uwagę na Zbigniewa Ziobrę i samego prezesa Kaczyńskiego, który pozwala Ziobrze podważać związki z Europą i sam też to czyni". To rytuał, ale wśród agentów Kremla musiał pojawić się też Antoni Macierewicz, który „oślepił i ogłuszył nasze służby". Do złudzenia wszystko to przypomina odkrycia innego analityka ze stajni opozycyjnej, gen. Piotra Pytla, który we wrześniu 2022 r. do sił rosyjskich zaliczył hurtem PiS i jego liderów.

Zastanawiam się tylko, jak pogodzić te tezy o podległości PiS Kremlowi z innymi zarzutami, według których rządząca Polską partia zbudowała państwo psychologicznie faszystowskie, a wzorem i modelem dla Jarosława Kaczyńskiego jest (bliżej Polakom nieznany) argentyński dyktator o wdzięcznym i nieco witkacowskim nazwisku Jorge Rafael Videla, co wywiódł niezbicie prof. Marcin Matczak, ceniony w kręgach opozycji myśliciel i gość TVN. Według Matczaka „pisowscy najemnicy żerowali na gwałcie, ukradli dla swojej korzyści życie czyjegoś dziecka, zniknęli je".

Pojawia się jednak problem: Jak to wszystko połączyć? Kaczyński jest jednocześnie marionetką Kremla i psychologicznym faszystą, który naśladuje Argentyńczyka Videlę, mordercę i gwałciciela? To naprawdę wyzwanie. Dlatego mam nadzieję, że tekst o agentach Putina nie był ostatnim z serii i wkrótce ekipa z Czerskiej opublikuje jakąś syntezę, w której pozornie osobne nici zostaną związane w całość. Całą moją nadzieję pokładam tu w Tomaszu Piątku, który niezbicie wykaże zbieżność i rezonowanie argentyńskiego faszysty, gospodarza Kremla i pisowskiej dyktatury z Nowogrodzkiej. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

TEMAT TYGODNIA

16 JAN FIEDORCZUK
ZWODNICZA ŚCIEŻKA GEOPOLITYKI
Niebezpieczne pomijanie znaczenia wartości w polityce

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
POLSKI PODZIAŁ WOJTYLIAŃSKI
Kolejna linia podziału w Polsce

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIEMIECKIE ZAGROŻENIE DLA POLSKI

26 ROZMOWA Z DR. ANDRZEJEM ANUSZEM
TO NIE OSTATNIA BITWA KACZYŃSKI – TUSK

28 ŁUKASZ WARZECHA
KONIEC GOTÓWKI

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
UNIA ZŁYCH INTERESÓW

32 TOMASZ ROWIŃSKI
AGRESYWNI MŁODZI

34 ZUZANNA DĄBROWSKA
MARIANNA W KAMASZACH

KULTURA

36 ROZMOWA Z DR. MICHAŁEM LASZCZKOWSKIM
ZABYTKI TO NIE OBOWIĄZEK. TO SZANSA
Najbardziej porusza powolne umieranie

40 PIOTR GOCIEK
SERIALE PREMIUM W TVP

NIE PRZEGAP

43 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

49
SKUTECZNOŚĆ POLSKICH SĄDÓW ZA GRANICĄ
Prawna obrona przed polonofobią

OPINIE

66 WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ
CZY POLSKA ROZDAJE KARTY W EUROPIE?
Wielka gra o wpływy

70 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
KOCIA MAMA, KOCIE DZIECKO, PSI MĄŻ

HISTORIA

72 GRZEGORZ KUCHARCZYK
„SŁUP ŻELAZNY". KARDYNAŁ ADAM STEFAN SAPIEHA
Wielka postać polskiego Kościoła

76 PAWEŁ WITASZEK
PRAWDZIWY WRÓG GOMUŁKI

ŚWIAT

78 JACEK PRZYBYLSKI
NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI
Antyzachodni blok szybko rośnie w siłę

82 MACIEJ PIECZYŃSKI
UCHODŹCY CZY NAJEŹDŹCY?

84 CEZARY WIŚNIEWSKI
ŁUKASZENKA UDERZA W KOŚCIÓŁ?

86 ADAM HLEBOWICZ
ATAK NA SOŁY

EKONOMIA

88 JAKUB WOZINSKI
CZESKI WZÓR
Zawstydzająca korona

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (69), PRZYBYLSKI (81), GABRYEL, WARZECHA (90), KOMUDA (92), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 5501c57294

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Kilka myśli po lekturze książki Piotra Skwiecińskiego „Koniec ruskiego miru?"

Dzień dobry!
Na wstępie tego krótkiego listu pozwolę sobie wyrazić podziękowanie za Państwa pracę i tygodnik – jestem czytelnikiem i prenumeratorem „Do Rzeczy" od kilku lat, niezwykle cenię sobie zanikający już dziś nie tylko w przestrzeni publicznej zdrowy rozsądek, a Państwa pismo wydaje się jedną z ostatnich ostoi tego deficytowego, a tak potrzebnego przymiotu zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym. Niezwykle cenię sobie także fakt wielu niejednokrotnie burzliwych polemik na Państwa łamach, które dowodzą, że pluralizm myśli i opinii w mediach jest ciągle możliwy – gratuluję!

Jestem w trakcie lektury bardzo ciekawej książki Piotra Skwiecińskiego „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji". Pozycję tę w entuzjastycznym tonie zrecenzował w ostatnim numerze Państwa pisma p. Piotr Semka. Ja szczególnie chciałbym zwrócić uwagę szanownych czytelników na fragment rozdziału „Rosyjska cywilizacja umiera", w którym autor tworzy bardzo plastyczną analogię obecnej wojny z rokiem 1914 i początkiem pierwszej wojny światowej. Pozwolę sobie na krótki cytat: „[...] Powtórzmy: obecna Rosja – to Austria z 1914 roku, obecne Chiny – to kajzerowska Rzesza, Ukraina – to ówczesna Serbia, a obecny kolektywny Zachód, ze szczególnym uwzględnieniem Ameryki – to Rosja, ta z 1914 roku". Ciekawa analogia stanowi punkt wyjścia do opisania genezy pierwszej wojny światowej i w tym miejscu pozwolę sobie na jeszcze jeden krótki cytat: „[...] potem, gdy kryzys nabrał już tempa, w Wiedniu i Berlinie pojawiły się oznaki zaniepokojenia, bo dostrzeżono, że przeciwnik nie reaguje tak, jak sobie rządzący Austrią i Rzeszą założyli. Ale było już za późno na wycofanie się, bo rozmaite procesy zdążyły już nabrać własnej dynamiki. [...] A wielkiej wojny subiektywnie nie chciał nikt".

Pozwoliłem sobie na przytoczenie tego fragmentu, bo doskonale oddaje on istotę tego, o czym od dłuższego czasu piszą i mówią redaktorzy Lisicki i Warzecha, czegoś, co w najlepszym razie spotyka się z niezrozumieniem, a zdecydowanie bardziej powszechnie – bezmyślnym zarzutem o „onucyzm". Trafnie nakreślone historyczne tło warto ekstrapolować na obecną sytuację za naszą wschodnią granicą, bo jeśli historia ma być „nauczycielką życia", to bez wątpienia można oczekiwać od naszych rządzących pewnej strategicznej rozwagi, uwzględniającej wielość i różnorodność nieprzewidywalnych jeszcze nawet dziś czynników. W tym kontekście zdjęcia marszałek Gosiewskiej w czołgu i z podpisem „Na Moskwę!" traktować można jako absolutne horrendum, a myśli bezwiednie kierują się w stronę drogi na Zaleszczyki...

Pozdrawiam serdecznie cały zespół redakcyjny i czytelników „Do Rzeczy"!

Grzegorz Gamon, Mysłowice

Wyjaśnienie

W ostatnim wydaniu „Do Rzeczy" w recenzji książki „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" pomyliłem w jednym miejscu wydawnictwo. Książkę wydała zasłużona Teologia Polityczna. Za błąd przepraszam.

Piotr Semka

eprasa.pl 5501c57294

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Oczy Stefana Wilmonta

Upiorne, pełne satysfakcji z uczynionego zła oczy Stefana Wilmonta, zabójcy Pawła Adamowicza, zostaną nam w pamięci. Morderca z Gdańska nie okazał żadnej skruchy. Wyrok dożywocia przyjął z prawdziwą lub wystudiowaną obojętnością. Jego twarz przypominała genialną aktorską kreację Anthony'ego Perkinsa, który grał mordercę – Normana Batesa – w filmie „Psychoza" Alfreda Hitchcocka. Tyle że Bates z „Psychozy" był chory psychicznie, a – jak stwierdził sąd – Wilmont jest poczytalny i nie może być uważany za szaleńca.

Sąd zadał kłam twierdzeniom Platformy Obywatelskiej, że śmierć prezydenta Gdańska była wynikiem nienawiści politycznej. Zaburzony człowiek szukał jako celu człowieka, a nie polityka

W sferze sporu politycznego wyrok jest istotny z innego powodu: sąd zadał kłam twierdzeniom Platformy Obywatelskiej, że śmierć prezydenta Gdańska była wynikiem nienawiści politycznej. Zaburzony człowiek szukał jako celu człowieka, a nie polityka.

Sędzia Aleksandra Kaczmarek tak uzasadniła wyrok: „Sprawa ta nie była sprawą polityczną […] i motywacja oskarżonego taka nie była. Powiązanie zamachu z polityką ma charakter nadinterpretacji, wynikający z publicznego komentowania sprawy, a nie rzeczywistych przekonań oskarżonego […]. Żadne dowody nie wskazują na zlecenie zabójstwa ani na inspirowanie Stefana Wilmonta przez inne osoby, a wszelkie publikacje medialne na ten temat są nieprawdziwe". I dalej: „Skrajność jego [Wilmonta – przyp. P.S.] poglądów była niezależna od konkretnych uwarunkowań politycznych. Szukał on jakiegokolwiek wytłumaczenia dla swojego poczucia krzywdy. Brak jest dowodów na to, aby oskarżonemu towarzyszyły obsesyjne myśli dotyczące obiektu ataku, tj. Pawła Adamowicza. […] Był on przypadkową osobą, symbolizującą w umyśle oskarżonego pierwotne źródło krzywdy postrzegane przez niego, tj. wymiar sprawiedliwości w Gdańsku i Platformę Obywatelską. Był też w mniemaniu oskarżonego osobą znaczącą, której zabicie będzie spektakularne".

Czy Platforma wycofa się teraz z politycznych oskarżeń wobec TVP czy PiS? Nie sądzę. W wojnie polsko-polskiej nikt nie rezygnuje z żadnej pałki. Zbyt wiele zainwestowano w wykreowanie Pawła Adamowicza na ofiarę prawicy. Ale po werdykcie sądu w Gdańsku gra zbrodnią z Targu Węglowego w Gdańsku będzie dla Platformy znacznie trudniejsza. A casus Stefana Wilmonta stanie się kolejnym przyczynkiem do refleksji nad tajemnicą zła tkwiącego w niektórych ludziach. Zła absolutnego. ©℗

FOT. AREK MARKOWICZ/PAP, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

PUBLICYŚCI „DO RZECZY" NAGRODZENI

14 marca na uroczystej gali ogłoszono laureatów 29. edycji Konkursu Nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Wśród nagrodzonych znalazł się Piotr Semka, który otrzymał Laur SDP za „niezależność, odwagę i konsekwencję". Nasza publicystka Małgorzata Wołczyk otrzymała z kolei Nagrodę im. Stefana Żeromskiego za tekst „W imię dzieci". ***(jap)***

eprasa.pl 5501c57294

Maciej Rosalak (1947–2023)

Nie mogę uwierzyć, że Maćka Rosalaka nie ma już z nami. Mimo że był najstarszym członkiem zespołu „Historii Do Rzeczy", miał najwięcej młodzieńczego entuzjazmu spośród nas wszystkich. Tryskał energią i pomysłami. Swoje teksty zawsze pisał grubo przed terminem i zżymał się, gdy reszta ekipy nie była w stanie dotrzymać mu kroku: – Piotrusiu, wstyd! Znowu zawaliłeś termin. Jak ja byłem w twoim wieku…

Uśmiechałem się wtedy pod nosem i myślałem, że Maciek jest nie do zdarcia. Wszystkie kolejne przeszkody – których życie mu nie szczędziło – pokonywał dzięki niezwykłemu uporowi i sile woli. Był prawdziwym mistrzem organizacji. Gdy coś postanowił – realizował to z żelazną konsekwencją. Maciek, co tu dużo gadać, to była solidna firma.

Poznaliśmy się ponad 20 lat temu w redakcji „Rzeczpospolitej". Maciek występował jako „stary redaktor", a ja jako „żółtodziób". Pracował wcześniej w „Kurierze Polskim", „Tygodniku Demokratycznym" i „Wspólnocie", był redaktorem naczelnym „Dziennika Łódzkiego". Zjadł zęby w naszym zawodzie.

W „Rzeczpospolitej" wydawał niezwykle popularne dodatki historyczne. Między innymi „Zwycięstwa Oręża Polskiego", „Chwała Oręża Polskiego", „Księga Kresów Wschodnich". Historia była jego wielką namiętnością i pasją. Bitwy, wodzowie, uzbrojenie, wojny. Potrafił o tym mówić godzinami. Napisał tysiące artykułów, mnóstwo książek.

Maciek, rocznik 1947, był absolwentem historii na Uniwersytecie Warszawskim.

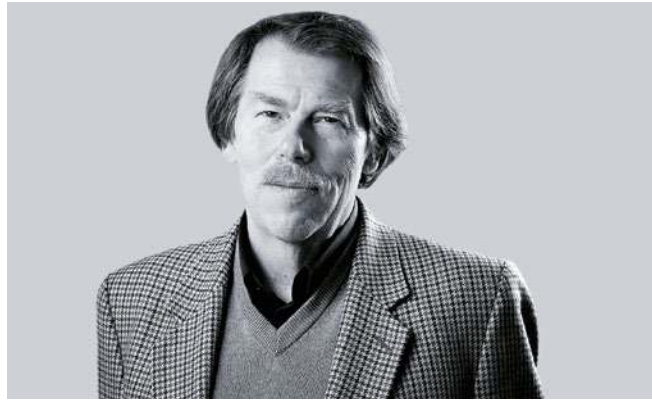

FOT. ARCHIWUM DO RZECZY

Świadek i uczestnik Marca 1968 r. W PRL zapisał piękną, opozycyjną kartę. Był członkiem Solidarności. Po latach ze swadą i z poczuciem humoru opowiadał nam o swoich ówczesnych perypetiach, m.in. o zatrzymaniu i – nieudanej – próbie werbunku podjętej przez SB. – Jeszcze się zobaczymy, redaktorze! – powiedział mu na odchodnym rozwścieczony esbek.

Przez ostatnie kilkanaście lat współpracowaliśmy z Maćkiem bardzo blisko. Najpierw redagowaliśmy miesięcznik „Uważam Rze Historia", a potem przygotowaliśmy blisko 120 numerów „Historii Do Rzeczy"! Szmat czasu, ogrom pracy.

Jaka szkoda, że nie spisałem setek dyskusji historycznych, które stoczyliśmy. Sens powstań narodowych, Napoleon Bonaparte, polityka Becka, Wołyń, Żołnierze Wyklęci. Relacje polsko-żydowskie. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Maćka, tonu jego głosu, gdy ze swadą wytaczał kolejne argumenty. Ten błysk w oku…

Maciek był patriotą absolutnym. Tak, wiem, to brzmi jak truizm. Szczególnie w czasach, gdy patriotyzm stał się dla wielu intratnym zawodem. Patriotyzm Maćka był inny. Był patriotyzmem bezinteresownym, czystym. Za swoją pracę nie oczekiwał nagród i zaszczytów. Polska była wielką miłością jego życia. Myślę, że była to miłość odwzajemniona.

Wolne chwile spędzał z ukochanymi wnuczkami lub w domu w Zalesiu, gdzie fachowo rąbał drewno siekierą. – Bo widzisz, tu nie chodzi o siłę – tłumaczył. – Do drzewa trzeba mieć oko…

Maciek do końca był aktywny zawodowo. W ostatnich miesiącach sprawował funkcję redaktora naczelnego „Historii Do Rzeczy". Właśnie przygotowywał do druku kolejny numer. Niestety, numer ten ukaże się po jego śmierci. Maciek nie zrobi już ostatniej korekty, nie naniesie poprawek. Nie podmieni zdjęcia…

Maćku, przyjacielu, byłeś szlachetnym, dobrym człowiekiem, wspaniałym dziennikarzem. To wielki zaszczyt, że mogłem z Tobą pracować. Bez Ciebie nic już nie będzie takie samo. Tej wyrwy w szeregu nie da się zapełnić.

Piotr Zychowicz

Przepełnieni głębokim smutkiem i bólem żegnamy naszego drogiego kolegę

śp. Macieja Rosalaka

Wspaniałego dziennikarza, redaktora naczelnego miesięcznika „Historia Do Rzeczy"

Łączymy się w bólu z jego Rodziną: żoną, córką, wnuczkami i wszystkimi Bliskimi

Przyjaciele z „Do Rzeczy" i „Historii Do Rzeczy"

Żegnaj, Redaktorze

eprasa.pl 5501c57294

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Do utraty tchu

Pan premier oznajmił, że sprzeciwienie się tzw. polityce klimatycznej Unii Europejskiej oznaczałoby opuszczenie jej. Byłaby to wypowiedź zupełnie akceptowalna, gdyby nie kontekst, w jakim padła – kontekst, z którego wynika, że opuszczenie UE traktuje pan premier jak coś w rodzaju apokalipsy, coś, do czego w żadnym razie nie wolno dopuścić i za uniknięcie czego warto zapłacić każdą cenę. Nawet cenę utraty wszystkich korzyści wiążących się z przynależności do Unii. Więcej jeszcze: nawet cenę utraty wszystkich korzyści, które dały nam wyzwolenie spod dominacji sowieckiej, transformacja ustrojowa i gospodarcza oraz rozpoczęte wraz z nią 30 lat stałego wzrostu gospodarczego (okupione, nie zapominajmy, wielkimi kosztami społecznymi). Bo przecież tego właśnie żąda od nas Unia: żebyśmy pod względem konsumpcji mięsa, dostępności dóbr luksusowych – zwłaszcza takich jak samochody, mieszkania i zagraniczne wakacje – wrócili do PRL. A nawet gorzej: głośne wytyczne organizacji C40 przyznają nam przecież mniej jedzenia, ubrań i obuwia niż kartkowe przydziały za Jaruzelskiego.

Tymczasem w istocie „polityka klimatyczna UE" to tylko nowa ideologia czy raczej nowa religia, sankcjonująca stare niemieckie „Drang nach Osten". Cała razem wzięta Europa wytwarza poniżej 10 proc. światowej emisji „gazów cieplarnianych", a udział Polski w tym urobku jest taki, że nawet gdybyśmy w ogóle zniknęli z tego świata, klimat ani by to zauważył. Zauważyłyby to natomiast zachodnioeuropejskie rynki, z tym największym na czele. O całkowitym zniknięciu nie ma na razie mowy, ale jest o takim obniżeniu naszego wysokiego tempa rozwoju, żeby zachodnioeuropejskich polityków przestała straszyć (jak niedawno lidera brytyjskiej Partii Pracy) wizja Polski bogatszej od państw „starej Unii", zdolnej robić im konkurencję gospodarczą oraz prowadzić samodzielną politykę.

Nieszczęściem jest, że przekonanie, iż poza Unią nie ma dla nas życia i nas samych wilki by zjadły, to nie fanaberia premiera ani jego politycznego plemienia, ale bodaj jedyna sprawa, w której PiS i PO wydają się całkowicie zgodne. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Sejm i Papież

Irlandczycy za granicą zakładają puby, gdzie można posłuchać ich muzyki. Włosi – restauracje, gdzie można zjeść spaghetti, pizzę albo ciekawsze potrawy ich kuchni. A my? Nasza tożsamość jest bardziej wycofana, a właściwie – głębsza. My na całym świecie zakładamy kościoły albo przynajmniej prosimy o Mszę, a polski dom można łatwo poznać po ikonie Matki Bożej Częstochowskiej, a jeszcze bardziej – po zdjęciu polskiego Papieża. Dewojtylizacja uderza w samą podstawę naszego poczucia narodowego.

Sejm RP podejmował przez 30 lat wiele uchwał podkreślających wagę pontyfikatu i nauczania Jana Pawła II dla niepodległej Polski. Przyjmując teraz uchwałę „w sprawie obrony dobrego imienia" Papieża, potwierdził aktualność wszystkich tych poprzednich aktów. Zawsze uważałem, że od demonstrowania emocji ważniejsze jest – jak pisał Władysław Konopczyński – „wysnucie z przekonań religijno-społecznych silnej myśli państwowej". Tym razem jednak manifestacje uczuć są wyjątkowo na miejscu.

Biskup Damian Muskus OFM napisał jednak, że potrzebny jest (!) „wyraźny sprzeciw wobec wykorzystywania osoby papieża, podobnie jak i religii, do bieżącej polityki [...]. Ani trzymanie w dłoni obrazka z jego wizerunkiem, ani wieszanie go na ścianach instytucji publicznych nie odmieni oblicza tej ziemi [...], nie utwierdzi będących »za«". Szczególnie ten ostatni sąd wydaje mi się rozmijać z prawdą socjologii. Siła milczenia bywa przytłaczająca. I w ogóle lepiej nie oceniać cudzych intencji, gdy ktoś się na milczenie nie zgadza.

Solidarność demonstrowana na forum publicznym to część demokracji. Pod panowaniem obdarzonej suwerenną władzą monarchii życie publiczne może się toczyć w gazetach, klubach, na audiencjach. W demokracji toczy się w parlamencie i wokół parlamentu. Byłoby bardzo źle, gdyby nie ujawniały się tam uczucia narodu. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Triumf politycznej poprawności

Bruno Vespa (79 lat), jeden z najwybitniejszych włoskich dziennikarzy telewizyjnych, autor znakomitych książek o historii najnowszej Włoch, i niewiele od niego młodsza dawna gwiazda ekranu i estrady Loretta Goggi ucięli sobie rozmówkę na antenie telewizji publicznej RAI. Rozprawiali o tym, jak to drzewiej bywało i jak się zmienia język. Trochę, choć z umiarem, obśmiali coraz powszechniejsze używanie słowa „ministra" w odniesieniu do szefowej resortu.

Związek zawodowy dziennikarzy RAI, a konkretnie komisja ds. równouprawnienia płciowego, wystosował do dyrekcji ostry protest przeciwko szerzeniu nagannego wstecznictwa w telewizji publicznej, i to w czasie najwyższej oglądalności, o godz. 20. Żurnaliści stojący na straży równouprawnienia wyjaśniali, że każda epoka niesie ze sobą zespół nowych refleksji i wartości, które należy wyznawać.

Następnego dnia Vespa wyprowadził cios nokautujący: „Gdy prezydent Mattarella w Pałacu Kwirynalskim zaprzysięga radę ministrów, mówi »minister« bez względu na płeć. Jeśli protokół się w tym względzie zmieni, to będę grzecznie mówił »ministra«". Jak to zwykle po nokaucie – zapanowała cisza.

W mediolańskim metrze i na dworcu głównym, podobnie jak w Rzymie, plagą są kieszonkowcy, a właściwie, jak chce żurnalia RAI, kieszonkówki, wszystkie jak jeden mąż – przepraszam, jak jedna dama – narodowości romskiej. W newspeaku to zapewne „Romki". Są albo bardzo nieletnie, albo w ciąży, więc w żaden sposób karać ich nie można. Mediolańska młodzież zaczęła filmować telefonami złodziejki w akcji i robić im zdjęcia z bliska. Trafiają potem na specjalną stronę na Instagramie (170 tys. śledzących) wraz z instrukcją, co robić, żeby nie dać się okraść.

Postępowa radna Mediolanu Monica Romano stwierdziła, że należy tę stronę natychmiast zamknąć, bo narusza prywatność złodziejek, a na dodatek je stygmatyzuje. Zawyrokowała, że to przemoc porównywalna z działaniem i metodami bojówek faszystowskich za Mussoliniego. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 5501c57294

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

ŚWIAT DOMINIKI TO NIE ŚWIAT KASJERKI

Są dwie grupy ludzi – ci, którzy z problemami muszą radzić sobie sami, bez trąbienia o nich naokoło; są też ci, którzy przez to, że są celebrytami bądź bogatymi ludźmi z koneksjami, mają po prostu łatwiej, bo często ich problemy są załatwiane przez sam fakt noszenia na czole nalepki z napisem „gwiazda". Przedstawicielką tej drugiej grupy jest Dominika Kulczyk, szefowa Kulczyk Foundation oraz jedna z liderek Okresowej Koalicji (od razu uprzedzam, ja tego nie wymyśliłam, tak panią Dominikę przedstawiają media). Córka Jana Kulczyka postawiła sobie za cel „normalizację okresu", czyli sprawienie, aby rozmowa o miesiączce przestała być wstydliwa. Przy tej okazji podzieliła się ze światem kopernikańskimi wręcz odkryciami, jak np. to, że „bez miesiączki nie ma życia, to dzięki niej trwamy jako rodzaj ludzki" (dzięki, Dominiko, nie wiedzieliśmy) czy to, że „pochodzimy z waginy" (już dziękowałam?). Ale wracając do kwestii radzenia sobie z problemami. W rozmowie z portalem gazeta.pl Kulczyk opowiedziała wielce pouczającą historię o tym, jak to ona odważnie mówi o okresie w swojej pracy. – Na radzie nadzorczej mówię tak: szanowni panowie, ja dzisiaj mam okres. Mogę więc być nieco mniej skupiona i może być tak, że będę musiała nagle przerwać nasze obrady albo w ogóle wcześniej je zakończyć. Początkowo panowie byli bardzo zdziwieni, wpadali w konsternację, a ich twarze przybierały barwę buraka – relacjonuje Dominika. Pani Kulczyk chyba nie jest świadoma, jak absurdalnie to brzmi i jak abstrakcyjne jest dla większości Polek, z których naprawdę niewielka grupa zasiada w jakiejkolwiek radzie nadzorczej (według danych na koniec 2021 r. kobiety stanowiły 30,6 proc. ogółu członków rad nadzorczych). Jednak w świecie takich pań Dominik każda kasjerka może wstać zza kasy, ogłosić klientom, że dziś pracuje wolniej albo w ogóle, bo ma okres, i wszystko będzie absolutnie w porządku.

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/DOTNW/EAST NEWS

PLANETA KORPORACJA

Dalej jest jeszcze lepiej. Wygląda bowiem na to, że Kulczyk tak bardzo oderwała się od planety Ziemi i szybuje radośnie gdzieś w przestworzach, iż w jej galaktyce wszystkie pracujemy w korporacjach.
– Mam ten komfort, że nikt nie wyciągnie w stosunku do mnie konsekwencji, nie dostanę reprymendy czy kary dyscyplinarnej. I całkowicie rozumiem, że niektóre kobiety mogą się zastanawiać, czy w ich kulturze korporacyjnej w ogóle wolno im coś takiego powiedzieć – wskazuje bizneswoman. Niby brzmi to jakoś bardziej ludzko, ale jednak nie do końca. Bo według córki Kulczyka każda z nas pracuje w korporacji, stąd odmienne „kultury korporacyjne". I tak np. pani Krysia pracuje w „korporacji dyskontowej", a pani Ania w „korporacji szkolnej".

AFERA O SKRĘTA?

Kilka słów na temat człowieka katastrofy, czyli aktora Antoniego Królikowskiego. Usłyszał zarzut kierowania samochodem osobowym pod wpływem substancji psychotropowej w postaci delta-9-tetrahydrokannabinolu. Królikowski przekonuje, że narkotyk w jego organizmie to medyczna marihuana, którą zażywa w związku z chorobą. Sednem afery, czyli wyjaśnieniem, czy doszło do przestępstwa, zajmie się już sąd. My za to zajmiemy się wątkami pobocznymi. A te w sensie plotkarskim są smakowite. W odpowiedzi na zarzuty prokuratury Antek wydał oświadczenie, w którym zarzucił wciąż-obecnej-żonie-z-którą-już-nie-jest-ale-oficjalnie-wciąż-jest-jego-żoną, Joannie Opoździe, że ta przeprowadzała mu testy na obecność marihuany, gdy byli jeszcze razem. Za każdy pozytywny musiał jej zapłacić 45 tys. zł. Na odpowiedź Opozdy nie trzeba było długo czekać. Aktorka przekonuje, że w ich „układzie" wcale nie chodziło o „maryśkę". „Mieszasz mnie znowu w te rozgrywki i upubliczniasz, w jaki sposób starałam się walczyć z twoim nałogiem, że robiłam ci testy i ty już dobrze wiesz, że nie chodziło o testy na marihuanę... To już jest inna sprawa. [...] Mieszasz mnie co chwila z błotem, kłamiesz, manipulujesz faktami, próbujesz mnie dyskredytować, opowiadając bajki, kiedy ja wychowuję i utrzymuję naszego syna. [...] nie obchodzisz mnie ani Ty, ani Twoje »medyczne« skręty. Jak wiesz, wszystkie sprawy przekazałam prawnikom. Niech sąd zdecyduje, co dalej. A Ty, skoro nie pomagasz, nie utrudniaj nam życia" – zaapelowała Opozda. Sprawa ma zdecydowanie potencjał rozwojowy.

BO PRZYJACIEL JEST OD TEGO...

Jakby tego było mało, swoje trzy grosze postanowił dorzucić Tomasz Karolak.
– Z tego, co wiem, Antek leczy się i leczył już, kiedy razem kręciliśmy filmy, lekami na bazie medycznej marihuany. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy też o chorobie, która go dotknęła. Nie znam okoliczności, które były przyczyną zatrzymania. Wiem za to, że używał takich leków. Wiedziałem o tym przynajmniej rok wcześniej, a zagraliśmy w międzyczasie w dwóch czy trzech filmach fabularnych – powiedział aktor. Na tym jednak nie skończył. – Wydaje mi się, że Antek ma w sobie dobre intencje, ale przytłoczyło go życie. Jestem ostatni od oceny jego osoby. Media tylko węszą w tym sensację – stwierdził aktor. Jak to szło? „Boże, strzeż mnie od przyjaciół...". ©℗

eprasa.pl 5501c57294

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, obserwujemy w ostatnich dniach, iż nasz zaprzyjaźniony homopozytywny Zim, będący współczesną dekonstrukcją mroźnej waginododatniej osobozimy, nie może się zdecydować, czy chce w tym kraju zostać i ustąpić miejsca Wiosenowi, czy też może odejść i wrócić w październiku.

Zastanawialiśmy się więc z całym kolektywem, co może powodować takie wahania u Zima. Zrobiliśmy więc krótką listę. Postępowy Zim chce zostać, iż: podoba mu się dekonstrukcja wizerunku papieża Polaka i zmiana narracji na temat jego osoby, połączona ze spadającym odsetkiem wiernych na niedzielnych mszach. Podoba mu się pewnie też to, iż młodzież coraz śmielej w treści i w formie manifestuje w trakcie lekcji swoje niezadowolenie z nauczycieli. Pewnie też nie bez znaczenia będzie nowy „Znachor" na Netflixie – w pełni rozumiemy, iż chciałby go obejrzeć, sami się nie możemy doczekać.

A co może powodować, iż Zim chciałby nas opuścić? No, z pewnością inflacja i zbliżający się sezon na grill. W ubiegłych latach zdarzało się, iż Zim zasiedział się do początku maja i potem uciekał w popłochu, czując wszechobecny swąd przypalanych na grillu karkówek i kiełbas. Poza tym niebawem mecz polskiej reprezentacji piłkarskiej, więc bezpieczniej jest tego nie oglądać, a także Spring Holidays, a więc kolejny festiwal churchingu w połączeniu z antycznymi tradycjami typu oblewanie się wodą i święcenie jajek. A niemal jednocześnie rocznica pewnej katastrofy. Rozumiemy, iż Zim takiej kumulacji mógłby nie znieść.

Osobiście chcielibyśmy, iżby Zim został, ale jednocześnie uważamy, że Wiosen też jest fajny, a nie chcemy dyskryminować żadnego z nich. Na szczęście osoba miesięczna marzec jest na tyle elastyczna, że jeszcze jakiś czas możemy się cieszyć nimi oboma naraz, co chyba nawet czyni nas trochę poliamorycznymi xD.

Bardzo podoba nam się ostatnio FIFA. Wiecie, ta globalna organizacja od piłki nożnej. W ogóle nie chodzi nam o jakieś zasady uprawiania tego sportu itd. Mamy na myśli za to bardzo szeroko prowadzone działania na rzecz inkluzywności i prosimy o jeszcze.

Otósh kolejne mistrzostwa świata odbędą się aż w trzech krajach (z drugiej strony można by zapytać, czy ktoś pomyślał o pozostałych 200…) z udziałem 48 zespołów, niestety narodowych (tu można by zapytać, czy ktoś myślał o pozostałych, yyy, wielu).

Jak zatem się domyślacie, mistrzostwa są poszerzane o kolejne słabsze zespoły, które nie miałyby szans zagrać w nich, gdyby nadal promowano fashystoffskie modele turnieju liczącego 32 lub 24 – tak, były takie czasy – zespoły.

Dzięki temu poziom turnieju może i się obniży. Ale czy ostatecznie chodzi o poziom? Czy futbol musi być wyłącznie rozrywką? Skoro ma szansę stać się narzędziem do promowania równości i tolerancji?

Of kors nie ma co przesadzać z zachwytem, a do pełnej równości jeszcze daleka droga, jednak musimy doceniać te drobne kroki na drodze do wielkiej sprawy.

Potem jeszcze tylko wprowadzić obowiązkowe remisy dla wszystkich oraz zdenacjonalizować drużyny, które będą brały udział w rozgrywkach. Odwagi, FIFA, dasz radę, bo jak dałaś radę upchnąć mundial w Katarze, to nie ma dla Ciebie rzeczy niemożliwych! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Na Moskwę!

Panie generale, mam taką prośbę małą, jeśli mogę…
Słucham uważnie, panie ministrze.

Bo widzi pan… My mamy problem z panią poseł. Wie pan, z którą. Ona jak tylko zobaczy jakiś czołg, to włazi od razu, krzyczy, że „na Moskwę", każdą broń bierze do ręki i drze się, żeby „ruskich bić". Oficjalnie to my nic nie możemy, bo niby też za tym jesteśmy, ale to się robi kłopot.
I co bym miał zrobić?

Chodzi o to, że jak ona gdzieś do jakiejś jednostki będzie jechać, to żeby, bo ja wiem, wszystkie czołgi przed nią pochować? I może broń też?
Broń to może jeszcze jakoś…
Ale z czołgami będzie trudniej.
Bo jakieś tam jeszcze nam zostały,
a to duże cholerstwo jest, tak łatwo
nie schowamy.

Ech… No trudno, trzeba będzie wszystkie wysłać na Ukrainę… Przepraszam: do Ukrainy, chciałem powiedzieć. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Codziennie słyszę od ludzi – jak oni znowu wygrają, to tu już się nie da żyć".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 5501c57294

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wielki Post. Czas namysłu i modlitwy. Na przykład w warszawskim ratuszu zanoszone są modły za PiS. No może nie za cały, a tylko za jednego PiS-owca. A konkretnie za Konstantego Radziwiłła, czyli wojewodę mazowieckiego. Z kolei osobą, która połączyła PiS i PO, jest niejaka Monika Strzępka, dyrektor Teatru – nomen omen – Dramatycznego. Dyrektor w stanie dymisji. Jak wiadomo, dymisję zarządził Radziwiłł i ratusz jest jej przeciwny. Ale tylko oficjalnie.

Nas oficjalne informacje rzadko interesują. A nieoficjalne są takie, że duża część zespołu Teatru Dramatycznego, zwłaszcza ta starsza i bardzo rozpoznawalna, ma serdecznie dość dr Moniki paradującej ze złotą waginą. Od biedy przyjęli do wiadomości, że dyrektor nie urzęduje już w gabinecie, ale w waginecie. Kolejne szaleństwa tego typu przestały już jednak wywoływać rozbawienie, a wywołują zażenowanie. Jeden z szanowanych aktorów wygłosił nawet deklarację: „Jeśli sąd uwali decyzję Radziwiłła o dymisji Strzępki, to ja zagłosuję za PiS". A jak wiecie, takie deklaracje wśród luminarzy sceny są przejawem wyjątkowej determinacji. No i stąd modły w ratuszu, żeby sąd jednak decyzji Radziwiłła nie uwalał.

Przestrzegaliśmy niedawno przed natrętami z Eine Totalopposition, którzy grasują w poszukiwaniu kobiet. No tych, które chcą wciągać na listy wyborcze. Teraz jeszcze gorzej – nawet nie można po warzywa iść do sklepu, żeby nie natknąć się na jakiegoś antykaczystę robiącego sobie zdjęcia z pomidorami. Albo kiszonymi ogórkami. To już prawdziwa plaga. Trzeba więc jakoś nazwać to zjawisko. Proponujemy „Gang Świeżaków". Fakt, że są to świeżaki drugiej świeżości.

Oczywiście, ponieważ nadchodzą wybory, grasujący po warzywniakach osobnicy udają Gang Swojaków, Gang Słodziaków i Gang Fajniaków. Niestety, lider gangu ma raczej wilcze oczy. I chyba niedowidzące, bo nader łatwo wykazać, że dzieło porównywania cen wychodzi mu średnio. Strasznie zawyża. A jeśli się gościa na takim procederze przyłapie, to co? Odpowiedź jest prosta – drugi raz się u niego nie kupuje. Czego i państwu życzymy w trudnym roku wyborczym.

Fajniaki z Nowej Lewicy postanowiły pobić rekord świata w świeżakowaniu i zorganizowały w Kielcach konfę pod hasłem „Najwyższe ceny od roku 1996". Czemu tak skromnie? A dlaczego nie od roku 1986? Albo 1696? Chętnie poznalibyśmy zmienne dzieje cen szyszaków i buzdyganów i dowiedzielibyśmy się, jak przeliczyć pomidory na duby smalone.

W związku z nadchodzącymi świętami Wielkiej Nocy niesłychanie uaktywnili się także chrześcijanie niewierzący. Pijemy tutaj do wielkiej kariery, jaką w internetach robi rozpowszechniane przez nich nagranie posła Kazimierza Smolińskiego z kobiecą peruką na głowie, oddającego się ponoć szalonej zabawie w Wielki Post. Oczywiście zabawne są nie tylko oskarżenia ze strony ludzi, którzy: a) nie wiedzą, co to dokładnie Wielki Post; b) same go w życiu nie przestrzegały. Równie wesołe było tłumaczenie Smolińskiego: „To nie była zabawa, tylko fotobudka". Uważamy, że politycy

eprasa.pl 5501c57294

PiS powinni trzymać się z daleka od fotobudki. Podobnie jak od Borysa Budki.

Chryja o to, co można w Wielki Post, natychmiast przypomniała nam o herszcie Gangu Świeżaków, czyli o Złym Donaldzie z Sopotu. Otóż głównym elementem swego oburzenia na drożyznę uczynił on lament nad ceną klasycznego wielkopostnego dania, którym jest „ukochany schaboszczak". Platforma, jak wiadomo, nie klęka przed księdzem. Ukochany schaboszczak to zupełnie co innego.

Czas rozważań nad własnymi postępkami, autorefleksji i pokuty u niektórych wywołuje skutki odwrotne do zamierzonych. Bo jak inaczej określić to, że Rysiek Petru-Swetru znowu ogłosił, że wraca do polityki, gdyż Polska go potrzebuje?

Donald głównym elementem swego oburzenia na drożyznę uczynił lament nad ceną klasycznego wielkopostnego dania – „schaboszczaka"

Rysiek chce być aktywny w kampanii wyborczej, przypominając wszystkim, że są darmozjadami przekupionymi przez kaczystów. I że droga do lepszej przyszłości to zabrać ludziom to, co dał im PiS, a następnie zabrać im jeszcze to, co pozostanie. Nie możemy się doczekać.

Mamy przeczucie graniczące z pewnością, że Rysiek Petru-Swetru nie będzie jedynym w kampanii heroldem turboliberalizmu kompradorskiego. Jest przecież jeszcze osoba autorytetu Leszka Balcerowicza i osoby pomniejszych autorytetów, jak Bogusław Grabowski, czy zupełnie bez autorytetów – jak Andrzej Rzońca. Skoro już dziś jesteśmy wszyscy w pluszowym nastroju, to mamy dla nich zbiorczą nazwę: Gang Bystrzaków.

Kończąc wątki religijne w dzisiejszej rubryce: nie wiemy, czy słyszeliście, ale politycy Nowej Lewicy zażyczyli sobie od Rafcia Trzaskowskiego przekształcenia Centrum Myśli Jana Pawła II w „neutralne religijnie centrum dialogu międzykulturalnego i międzyreligijnego". Ta inicjatywa natchnęła nas, by wezwać do neutralności Instytutu Daszyńskiego albo robikowo-Biedroniowego Instytutu Myśli Demokratycznej. Ten ostatni np. jest „proekologiczny", a powinien być „neutralny ekologicznie". Chodzą nam też po głowie inne hasła: „neutralny marksistowsko", „neutralny demokratycznie". Choć to ostatnie to raczej coś dla Instytutu Obywatelskiego, czyli think tanku Platformy.

Przy okazji też mamy petycję do Rafcia Trzaskowskiego vel Czajkowskiego. Wiąże się ona z warszawskim metrem. Na przykład na stacji Centrum w godzinach szczytu ławeczki okupowane są przez osobników obdarzonych charakterystycznym zapachem, którzy tam sobie koczują, żyją i śpią. A pomyśleć, że całkiem niedawno przybysze z Zachodu podziwiali polskie metro jako wzorowe w porównaniu z ichnimi. Cóż, Rafcio postanowił najwyraźniej dogonić Zachód. Przynajmniej metrem. I zapachem. Cóż to dla Czajkowskiego.

Sprawy międzynarodowe. Po raz pierwszy w sprawach dyplomatycznych to my mamy z górki, a bracia starsi z Izraela – pod górkę. Jak wiadomo, ponad rok temu Izraelczycy kazali się wynosić naszemu ambasadorowi. Urządzili dziką awanturę, ale się okazało, że się przeliczyli, bo tym razem USA bardziej potrzebuje sojusznika nad Wisłą niż nad Jordanem. I sprawa się rypła. Teraz Tel Awiw rozpaczliwie wygląda następcy Magierowskiego, Polska się specjalnie nie rozpędza w tej kwestii. Do tego stopnia, że decyzja wciąż nie zapadła. Mówi się o kandydacie z Krakowa. Problem polega na tym, że nosi takie samo nazwisko jak pewien polski polakożerca. Ale rozważana jest też kandydatura pewnej pani, która w odróżnieniu od pierwszego kandydata już zna Izrael.

Jak wiadomo, z uwagą śledzimy działalność Amnesty International, ale bynajmniej nie z powodu naszego głębokiego zachwytu nad działaniami tej organizacji. Informujemy więc, że nagrodę AI Pióro Nadziei za rok 2022 otrzymała Agnieszka Jędrzejczyk, dziennikarka OKO.press. Za co? Oj, teraz będzie zabawnie, więc cytujemy dosłownie: „za wprowadzenie do debaty publicznej tematu SLAPP-ów, nowego zagrożenia dla praw człowieka". Proszę trzymać się mocno.

Izraelczycy, którzy kazali się wynosić Magierowskiemu, się przeliczyli. Tym razem USA potrzebuje bardziej sojusznika nad Wisłą niż nad Jordanem

Najpierw wyjaśnijmy, co to SLAPP. Strategic Lawsuit Against Public Participation. Strategia polegająca na „wykorzystywaniu prawa, kierowania pozwów sądowych przeciwko społecznikom, aktywistom i aktywistkom, osobom demonstrującym, aby uniemożliwić działanie, organizowanie protestów oraz wywołać tzw. efekt mrożący w społeczeństwie" – alarmuje Amnesty. Aha. Czyli społeczników, aktywistów i NGO-sów z założenia pozywać nie wolno. No faktycznie, trochę nas zmroziło.

Widzicie, wszystko to zgodne jest z tzw. etyką rewolucyjną, wedle której rację zawsze mają rewolucjoniści, a nigdy burżuazja. Niestety, z naszego dziennikarskiego doświadczeni wynika, że najgorsze są nie SLAPP-y, tylko SLAM-y. To znaczy: pozwy przeciw mediom. Działa to tak: gdy tylko ma pojawić się w gazecie bomba o przewałach wpływowych misiaczków, natychmiast w redakcji materializują się prawnicy tych misiaczków z propozycjami nie do odrzucenia: albo dajecie spokój, albo was prewencyjnie pozywamy na kilka milionów. Nie przypominamy sobie jednak, by Amnesty broniła takich redakcji. Być może jej zdaniem w tym przypadku dziennikarze to burżuazja, a prawnicy – rewolucjoniści. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

Zatrzymać wodę w przyrodzie

Woda to życie. Zdanie to, traktowane przez wielu ludzi jak frazes, ostatnimi czasy nabiera coraz większego znaczenia. Wszystko to przez zmiany klimatyczne i globalne ocieplenie, które sprawia, że ilość wody dostępnej dla ludzi i roślin ciągle się zmniejsza. Warto więc już teraz uzmysłowić sobie, jak ważne jest jej magazynowanie w przyrodzie

Większości ludzi magazynowanie wody w przyrodzie kojarzy się – jeśli w ogóle z czymkolwiek – z wielkimi akwenami wodnymi lub rzekami. Pojezierza to miejsca, gdzie wodę można jeszcze dostrzec gołym okiem, a nawet się w niej zanurzyć. Jednak już dzisiaj i tam łatwo zauważyć, że wody najzwyczajniej ubywa. Jak temu zapobiegać?

Oczywiście kluczowe jest oszczędzanie wody na wszelkie możliwe sposoby oraz jej retencjonowanie, czyli właśnie magazynowanie. Problemem naszego kraju, a także innych krajów europejskich, jest bowiem nadmierne korzystanie z wód podziemnych, które odnawiają się niewystarczająco szybko. Za przyczyną tego faktu stoi jeszcze jedna kwestia, a więc brak pokrywy śnieżnej zimą. I choć wielu z nas, śledząc doniesienia medialne o śnieżycach w Tatrach, może się na to stwierdzenie zdumiewać, to fakt pozostaje faktem – śniegu na terenie Polski jest mało, a jeśli już nawet się pojawia w ilości większej niż minimalna, to szybko spływa po powierzchni zmarzniętego gruntu, nie zasilając wód podziemnych. To, niestety, także dzieje się z deszczem, którego opady nie zmieniły się znacząco na minus, a niekiedy nawet wzrosły, lecz który przybiera formy gwałtownych ulew, a więc postać deszczu, który nawet, a może przede wszystkim, nie ma możliwości wsiąknąć w ziemię, zasilając w ten sposób nie tylko korzenie roślin, lecz także wody gruntowe.

LEŚNY MAGAZYN H_2O

Dlatego nader istotną kwestią jest retencja wody. I tu prym wiodą lasy, które potrafią zmagazynować znaczne ilości wody. Szacuje się, że najbardziej rozpowszechnione w Polsce lasy iglaste, z sosną jako gatunkiem przeważającym, magazynują od 200 do 300 m sześc. wody na każdy hektar powierzchni! A skoro lasów mamy w Polsce ponad 9 mln ha i z roku na rok ich przybywa, to wielkość możliwej do zmagazynowania wody robi wraże-

eprasa.pl 5501c57294

Szacuje się, że najbardziej rozpowszechnione w Polsce lasy iglaste, z sosną jako gatunkiem przeważającym, magazynują od 200 do 300 m sześc. wody na każdy hektar powierzchni!

nie – wynosi bowiem 1,83 mld m sześc.! Zakłada się, że każdy przeciętny Polak zużywa dziennie średnio 10 m sześc. wody wodociągowej, łatwo więc sobie wyobrazić, jak wielki potencjał drzemie w lasach.

Niestety, wspomniane problemy z opadami śniegu i deszczu je także trapią. Efektem braków wody są susze, które pozbawiają drzewa zdolności obronnych przed szkodliwymi dla ich zdrowia i życia owadami, grzybami czy pasożytami. I choć cykl życia drzew przewiduje również ich starzenie, a także śmierć, to, niestety, ostatnimi laty obserwowane jest ich przedwczesne wymieranie. Dlatego leśnicy od lat starają się wodę w lesie zatrzymać. Służą temu przede wszystkim dwa duże projekty dotyczące retencji nizinnej i górskiej, finansowane ze środków własnych Lasów Państwowych oraz z Programu Infrastruktura i Środowisko, które pozwoliły już do tej pory na zmagazynowanie ponad 43 mln m sześc. wody! Dodatkowo powstające z tej inicjatywy liczne oczka wodne, kanały czy spiętrzenia cieków stają się przyczynkiem do rozwijania się fauny i flory, a więc zwiększania bioróżnorodności gatunkowej środowiska. W takich miejscach schronienie i warunki do życia znajdują liczne i skrajnie narażone na suszę gatunki płazów czy gadów. To także doskonałe wodopoje dla ssaków, a także miejsca ptasich kąpielisk. Nie bez znaczenia są także wartości krajobrazowe, które niosą za sobą wszelkiej maści oczka wodne. To wszak przy nich, w cieniu drzew i pośród ptasich treli, wypoczywa się najlepiej!

NATURALNA GĄBKA

Jednak wody magazynowane na powierzchni to nie wszystko. Pozostaje bowiem bardzo duża i chyba jeszcze bardziej istotna grupa gruntów, które o wodę w przyrodzie dbają. Mowa o terenach podmokłych – torfowiskach, mokradłach czy bagnach. Według szacunków na terenie naszego kraju mokradła naturalne i odwodnione występują na obszarze około 4,4 mln ha. Wśród nich ok. 1,3 mln ha zajmują torfowiska o powierzchni większej od 1 ha. Niestety, to właśnie one należą do najszybciej zanikających ekosystemów naszej strefy klimatycznej. Zdegradowane torfowiska przyczyniają się także do wzrostu emisji CO_2.

Niestety, są one pod nieustanną presją człowieka, jako że traktowane są często jako nieużytki lub miejsca potencjalnie przydatne pod uprawę. Wiąże się to jednak z ich eksploatacją i osuszaniem – to przecież z torfowisk pozyskiwano niegdyś torf lub próbowano je przekształcać w pastwiska. Do pogorszenia stanu tych obszarów dochodzi także przez zanieczyszczenia i wspomniane już zmiany klimatyczne.

A to właśnie na tych terenach obserwujemy największe zróżnicowanie biologiczne spośród wszelkich innych gruntów leśnych i nieleśnych. Jednak miejsca te to przede wszystkim naturalne „gąbki", które wprost idealnie wodę magazynują, gdy jest jej dostatek, a oddają, gdy jej w otoczeniu brak.

Stąd pomysł, aby stan ten odwrócić. Jego pokłosiem jest największy jak dotąd projekt przyrodniczy w Polsce, który ma na celu właśnie odtworzenie i zachowanie obszarów podmokłych. Zaangażowani są w niego przyrodnicy, naukowcy i leśnicy, czyli te grupy zawodowe, które temat znają i monitorują od lat. Projekt ten ma z jednej strony stworzyć narzędzie planistyczne umożliwiające wszechstronną ocenę stanu tych obszarów, a z drugiej zadbać o ochronę i przywrócenie ważnych funkcji torfowisk, bagien i terenów podmokłych – w taki sposób, by poprawić ich jakość, stan oraz warunki zamieszkujących je gatunków.

Propozycja grona specjalistów obejmuje m.in. ochronę czynną tych terenów, co w rezultacie zapobiec ma utracie jakże ważnej bioróżnorodności.

O tym, jak istotne są mokradła i tereny podmokłe, świadczyć może to, że w Polsce i na świecie tereny te mają swoje święto. Światowy Dzień Mokradeł, obchodzony 2 lutego, upamiętnia rocznicę podpisania w 1971 r. w Ramsar w Iranie międzynarodowej konwencji o ochronie obszarów wodno-błotnych i zwraca uwagę na fakt, jak istotne są te tereny w funkcjonowaniu otaczającego nas świata. Podpisało ją ponad 170 państw, w tym Polska. W naszym kraju święto to obchodzone jest od 2002 r.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 5501c57294

Zwodnicza ścieżka geopolityki

FOT. ADOBE STOCK

Jan Fiedorczuk

Miraż geograficznego determinizmu, który znamionuje geopolitykę, to niebezpieczna ścieżka, na której można łatwo zbłądzić. Polscy geopolitycy robiący oszałamiającą karierę w Internecie dają proste odpowiedzi na niezwykle złożone problemy. Część tych recept jest jednak zwyczajnie groźna dla państwa polskiego

Kilka tygodni temu głośnym echem odbił się wpis Jacka Bartosiaka na temat słów Siergieja Ławrowa, który to twierdził, że „warunki Rosji lepiej spełnić po dobroci, inaczej działać będzie rosyjska armia". Publicysta skomentował to w następujący sposób: „Chyba że zostanie pobita w polu. I wtedy nie trzeba liczyć się już z polityką i sprawczością rosyjską. Tyle w temacie. I to trzeba zrobić i wystawić wojsko polskie do tego zadania. Inaczej trzeci pośrednicy będą nas co rusz namawiać, by ustąpić Rosji to tu, to tam… Proste i jasne".

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji", założyciel Strategy & Future, a przede wszystkim główny popularyzator geopolityki w Polsce wywołał prawdziwą burzę w Internecie. Nawet zazwyczaj przychylni mu komentatorzy wskazywali, że ten wpis można zrozumieć jako wezwanie, aby Polska weszła do wojny z Rosją.

Ten krótki epizod był ciekawym momentem w dynamicznej karierze Bartosiaka, gdyż bodaj po raz pierwszy – przynajmniej na taką skalę – jego przekaz spotkał się ze zdecydowaną krytyką opinii publicznej. Fala negatywnych komentarzy była na tyle duża, że w kolejnych dniach szef Strategy & Future tłumaczył się ze swojego wpisu, zapewniając, że nie nawołuje do wojny.

WOJENKA, CZYLI SZANSA

Komentarz Bartosiaka był o tyle niepokojący, że wpisywał się w szerszą retorykę, w której to stosunki międzynarodowe są traktowane jak gra, a ewentualna wojna – jak szansa. Szansa na przejęcie inicjatywy na „pomoście bałtycko-czarnomorskim", szansa na wypchnięcie wpływów rosyjskich, szansa na odtworzenie wielkiej Rzeczypospolitej.

Jak podkreślał Bartosiak w rozmowie z PAP, „w interesie Polski i państw Międzymorza jest wykończenie Rosji". Oczywiście taka perspektywa jest miła sercu większości Polaków, problem jednak w tym, że w procesie takiego „wykańczania" sama Polska może stać się główną ofiarą.

Aby mogło dojść do „wykończenia Rosji", najpierw musi nastąpić jakaś forma eskalacji konfliktu i groźba rozszerzenia go z wojny regionalnej w konflikt światowy. Polityka to nie jest gra komputerowa,

eprasa.pl 5501c57294

w której należy wykorzystywać kolejne „szanse", a wojna nie jest rozgrywką, którą można zapisać i przejść ponownie w razie niepowodzenia. Stawką jest los blisko 40-milionowego kraju oraz perspektywy rozwoju kolejnych pokoleń.

A przecież tuż po wybuchu wojny (27 lutego) w rozmowie z portalem Onet sam Bartosiak całkiem rozsądnie stwierdził, że wojska NATO nie mogą wejść na Ukrainę, gdyż groziłoby to wybuchem trzeciej wojny światowej. Dodatkowo zwracał uwagę, że gdyby w ramach bezpośredniego starcia z Zachodem Putin zdecydował się użyć broni atomowej, to w pierwszej kolejności uderzyłby nią w Polskę.

Minął jednak zaledwie miesiąc, a w rozmowie z Radiem Wnet szef Strategy & Future prezentował już stanowisko odwrotne, domagając się wejścia wojsk NATO na Ukrainę. Niejako szło to w parze z pomysłami Jarosława Kaczyńskiego dotyczącymi misji stabilizacyjnej państw Zachodu (warto dodać, że te pomysły w dość ostrych słowach jednoznacznie odrzucił sam Zełenski). Trudno zrozumieć, dlaczego w tak krótkim czasie doszło do tak głębokiej rewizji poglądów polskiego geopolityka. Co gorsza, o ile w pierwszym wywiadzie Bartosiak bagatelizował ryzyko nuklearne („to się da rozegrać"), ale przynajmniej o nim wspomniał, o tyle w rozmowie z Radiem Wnet zupełnie je pominął.

Temat powrócił w rozmowie szefa Strategy & Future z Jerzym Markiem Nowakowskim, prezesem Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego oraz publicystą „Nowej Konfederacji", który również stwierdził, że jeżeli Rosjanie zdecydują się na atak bronią jądrową, to oprócz samej Ukrainy celem będą prawdopodobnie albo państwa bałtyckie, albo Polska.

Obaj zresztą – Bartosiak i Nowakowski – opowiadają się za tym, aby Polska dała Ukrainie gwarancje bezpieczeństwa, widząc w takim scenariuszu niebywałą okazję dla wzmocnienia Rzeczypospolitej. Bartosiak ocenia, że takie rozwiązanie to „szansa największa od Połtawy", podczas gdy Nowakowski stwierdził, że „jest to szansa powrotu przynajmniej do tej pozycji, jaką Polska miała w czasach Sobieskiego".

Zresztą temat powraca od jakiegoś czasu, gdyż w jednym ze swoich niedawnych tekstów Bartosiak wprost opowiadał się za zawarciem sojuszu militarnego z Ukrainą. Problem w tym, że taki sojusz nie jest organizacją wspólnej imprezy sportowej – to nie jest jedynie „szansa", lecz także zagrożenie. Sojusz ewidentnie opłacałby się Kijowowi, ale na polskie barki składałby obowiązek wejścia do wojny z Rosją. Rosyjskie rakiety spadałyby nie tylko na Kijów, lecz także na Warszawę, Rzeszów i Białystok.

Dla Bartosiaka to chyba jednak nie jest szczególnie niepokojąca perspektywa. W rozmowie z Piotrem Zychowiczem, jeszcze przed inwazją na Ukrainę, snuł rozważania, że zakup systemu Patriot oraz ogólnie program „Wisła" są niepotrzebne. Zychowicz nie krył zdumienia, wskazując, że bez nich na Polskę posypią się pociski wroga. – No to co? Niech się posypią – odparł wprost Bartosiak, dodając, że trzeba poczekać, aż Rosjanie się po prostu „wystrzelają". Jego zdaniem powinno do tego dojść w ciągu kilku pierwszych godzin wojny.

Z kolei kilka tygodni temu całkiem otwarcie stwierdził, że skoro Rosjanie są tak słabi, że nie potrafią sobie poradzić z Ukrainą, to przy ewentualnej „dogrywce" za kilka lat być może Polska powinna wejść do wojny, aby wypchnąć Rosjan z regionu Międzymorza.

Problem w tym, że w procesie „wykańczania Rosji" sama Polska może stać się główną ofiarą

Prowojenny ton ponownie trafił do debaty publicznej w ostatnim czasie za sprawą Krzysztofa Wojczala – prawnika i zarazem pasjonata geopolityki (który, co paradoksalne, popularność zdobył na krytyce flagowego projektu Strategy & Future – Armii Nowego Wzoru).

Wojczal opublikował kilka tygodni temu głośny artykuł pod wymownym tytułem „To jest nasza wojna", w którym stwierdzał, że Polsce nie tyle grozi wojna z Rosją, ile właściwie Polska już jest w stanie wojny. Jak argumentował, NATO powinno potraktować linię Dniepru jako nieprzekraczalną granicę, a w razie naruszenia jej przez Putina po prostu wkroczyć na Ukrainę i „neutralizować" agresora – czyli, mówiąc już wprost, rozpocząć konwencjonalną wojnę NATO-Rosja, w której to (o czym Wojczal już nie wspomina) Polska będzie pierwsza na linii frontu. Na jakiej jednak zasadzie sojusz obronny miałby rozpocząć wojnę z Rosją (zwłaszcza że żaden z bezpośrednich członków konfliktu nie należy do NATO)? Jak do takiego działania mielibyśmy przekonać Węgry, Austrię czy Niemcy? Tego geopolityk nie precyzuje, ale geopolitycy rzadko precyzują cokolwiek, ograniczając się do kreślenia „wielkiej wizji".

W kolejnym tekście, w którym tworzy dość karkołomną analogię między III Rzeszą Hitlera a Rosją Putina, Wojczal dodaje, że właściwie do takiej wojny nie musiałoby wejść stricte NATO, tylko „wybrane państwa pod przewodnictwem USA". Czy członkiem takiej koalicji miałaby być Polska? Jeżeli tak, a biorąc położenie naszego państwa, taki jest naturalny wniosek, to na rzecz mglistych i niepewnych ustaleń z Waszyngtonem zrezygnowalibyśmy na własne życzenie z jedynego solidnego atutu, którym dysponuje III RP.

Wojczal ponadto uważa, że siły Zachodu „powinny demonstrować potencjał do wykonania zmasowanych uderzeń na obwód kaliningradzki i Białoruś, w celu neutralizacji zgromadzonego tam arsenału rakietowo-jądrowego". Czyli kierując się zasadą „to nasza wojna", Polska powinna de facto dążyć do rozpoczęcia konfliktu nuklearnego przy własnej granicy.

ZWIĄZEK Z UKRAINĄ

Kwestia sojuszu polsko-ukraińskiego dobrze obrazuje zjawisko zafiksowania się geopolityków na modelu stosunków międzynarodowych rodem z XIX w., tak jakby sposób prowadzenia polityki zupełnie nie zmienił się od czasów Mackindera.

Jak stwierdza Leszek Sykulski – obok Bartosiaka główny popularyzator geopolityki w ostatnich latach – „przyszłość należy do »wielkich przestrzeni«, kontynentalnych lub pankontynentalnych ośrodków siły, które możemy nazwać umownie »imperiami«" (tekst z 2012 r.). W geopolitycznym paradygmacie nie ma miejsca na „małe" państwa narodowe, które muszą zostać złożone na ołtarzu

eprasa.pl 5501c57294

budowy rozległych mocarstw. Liczą się przestrzeń i wyznaczane przez nią „naturalne" granice dla przepływu kapitału, a nie jakieś „sztuczne" twory ludzkiej ręki. Skoro Ukraina i Polska tworzą serce „pomostu bałtycko-czarnomorskiego", to oczywiste jest, że w naturalny sposób dążą do konsolidacji (chociaż warto dodać, że akurat Sykulski pozostaje dość sceptyczny do kwestii samej Ukrainy i ewidentnie nie można go uznać za zwolennika budowy federacji).

Sam Bartosiak już na wczesnym etapie kariery wskazywał na rolę sojuszu polsko-ukraińskiego, który miałby przekształcić się w „oddzielny konstrukt geopolityczny". Początkowo, jak pisał, miałaby powstać unia gospodarcza łącząca oba państwa, a „po ukonstytuowaniu się ścisłego związku polsko-ukraińskiego stałby się on z czasem nieodzownym elementem sieci transportowej z północnej Europy w kierunku południowym (i odwrotnie)". W ostatnim czasie Bartosiak poszedł jednak dalej, domagając się zawarcia sojuszu stricte militarnego z Kijowem, a nawet dość przychylnie odnosząc się do propozycji Ołeksija Arestowycza dotyczącej powołania unii polsko-ukraińskiej. Publicysta nie precyzuje, w jaki sposób taki zażyły związek miałby dojść do skutku, skoro Ukraina pozostaje poza Unią Europejską i poza NATO.

Związek z Ukrainą miałby stać się sercem rodzącego się Międzymorza, które Bartosiak definiuje jako „samodzielną strategicznie koalicję państw Europy Środkowo-Wschodniej". Jak dodaje, taka formuła wprost wynika „z obiektywnych geopolitycznych uwarunkowań". Międzymorze miałoby być robione „po polsku", czyli pozostawać niezależne od USA. Problem w tym, że aby stworzyć taką suwerenną strukturę, Międzymorze musiałoby być w znacznym stopniu scentralizowane i połączone siecią wzajemnych zależności polityczno-gospodarczych.

Trzeba jednak przyznać, że Bartosiak expressis verbis nie opowiada się za powołaniem państwa polsko-ukraińskiego. Naczelny polski geopolityk za każdym razem urywa narrację tuż przed postawieniem przysłowiowej kropki nad „i". Z drugiej strony taki postulat wprost wynika z całości prezentowanych przez niego poglądów. Jeżeli oba kraje mają łączyć unia gospodarcza i sojusz wojskowy, to kierunek zalecanych zmian jest ewidentny.

Oprócz Budzisza możliwość zniesienia polskiego państwa narodowego rozważali również Romuald Szeremietiew, Paweł Kowal, Bartłomiej Sienkiewicz czy nawet prezydencki doradca prof. Andrzej Zybertowicz

MARZENIA O FEDERACJI

Tej wstrzemięźliwości, która cechuje Bartosiaka, pozbawieni są jednak już inni publicyści i analitycy. Największym echem odbiła się bodaj propozycja Marka Budzisza – dziennikarza tygodnika „Sieci" i współpracownika Strategy & Future – który na łamach portalu wPolityce.pl wprost ogłosił potrzebę powołania federacji polsko-ukraińskiej. Nie była to ani pierwsza, ani z pewnością najbardziej pogłębiona tego typu propozycja, jednak to właśnie ona zyskała szerszy oddźwięk (czego dowodzi choćby fakt, że była dyskutowana podczas grudniowej konferencji Warsaw Summit). Oprócz Budzisza możliwość zniesienia polskiego państwa narodowego rozważali również Romuald Szeremietiew, Paweł Kowal, Bartłomiej Sienkiewicz czy nawet prezydencki doradca prof. Andrzej Zybertowicz, który zastanawiał się, czy „koncepcja jakiejś unii polsko-ukraińskiej albo Rzeczypospolitej wielu narodów nie mogłaby być wspaniałą przygodą (sic!) dla pokolenia młodych ludzi". Jednak te wszystkie wizje ograniczają się wyłącznie do rzucenia „atomowego" hasła, które ma wstrząsnąć debatą publiczną, ale za którym nie ma żadnych konkretów poza wzniosłymi hasłami o „wspólnocie losu" narodów wschodniej Europy.

Myśląc w schemacie geograficznego determinizmu z jednej strony oraz logiki grossraumów, czyli wielkich przestrzeni mających zastąpić „małe" suwerenne państwa, z drugiej geopolitycy zupełnie pomijają kwestie stricte empiryczne, jak choćby czynnik ludzki. Mówiąc wprost, trzymając się już przykładu federacji, to obywatele państwa polskiego czują się Polakami i nie tylko nie widzą powodu, by rezygnować ze swojego państwa, lecz także nie uśmiecha im się redefiniowanie swojej tożsamości narodowej w celu urzeczywistnienia jakiejś abstrakcyjnej konstrukcji intelektualnej.

Jeszcze dziwniejszy pomysł proponuje jednak wspomniany wcześniej Jerzy Marek Nowakowski, który na łamach „Nowej Konfederacji" przekonywał, że minął już czas polskiego państwa narodowego i czas budować Rzeczpospolitą wielonarodową. Uchodźcy z Ukrainy, którzy osiądą na stałe w naszym kraju, nie mieliby się asymilować, a ich przyszłe dzieci nie miałyby się stać Polakami i tym samym budować siłę państwa, tylko służyć za taran do zniszczenia państwa narodowego. Zdaniem Nowakowskiego powinny powstawać „organizacje ukraińskich inżynierów, lekarzy, kluby rodziców i dziesiątki innych form organizacji życia społecznego". W rzeczywistości jest to program separacji obu narodów oraz ich antagonizacji. Powód jest taki jak zawsze: „Szansa, by powrócić do mocnej wspólnoty Międzymorza".

To instrumentalne podejście do kwestii imigrantów, a nawet kwestii tożsamości narodowej, nie jest novum w środowisku „Nowej Konfederacji", gdyż szef organizacji – Bartłomiej Radziejewski – już dawno temu opowiedział się za masową migracją w celu walki z kryzysem demograficznym. To znamienny, gdyż typowy dla geopolityki, postulat ukazujący skupianie całej uwagi na czysto teoretycznym potencjale danego rozwiązania i całkowitym ignorowaniu empirii. Problem z demografią? Ściągnijmy miliony imigrantów. Polska jest za słaba, by wypchnąć Rosję? Zbudujmy wspólne państwo z Ukraińcami. Rakiety będą spadać na Polskę? Niech spadają, w końcu się Rosjanie wystrzelają. Na papierze wszystko się ładnie dodaje, tylko dyskutujemy o realnym życiu ludzi, a nie pionków przesuwanych po mapie.

Co ciekawe, Nowakowski jest nie tylko zwolennikiem państwa polsko-ukraińskiego, lecz także eurofederalizmu i budowy jednolitego, europejskiego mocarstwa. Prezes Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego postulował ten pankontynentalny projekt

eprasa.pl 5501c57294

na łamach rzeczonej „Nowej Konfederacji", która idei „imperium europejskiego" poświęciła nawet jeden z numerów swojego miesięcznika.

Zresztą postulat budowy europejskiego mocarstwa jest jednym ze stałych elementów geopolitycznego myślenia, czego przykładem jest Tomasz Gabiś – jeden z pierwszych propagatorów geopolityki w III RP. Słynny „postkonserwatysta" ewidentnie intelektualnie góruje nad resztą rodzimych wizjonerów, ale zasadniczo popełnia ten sam błąd – ulega pokusie intelektualnej zabawy, która jest oderwana od prawdziwego życia. „Imperium Europaeum" z Gabisiowej wizji jest w rzeczywistości postmodernistyczną wariacją, z której nic nie wynika. To sztuka dla sztuki. Piękna wydmuszka. W dodatku w perspektywie kolejnych działań Brukseli wymierzonych w Polskę jest to wydmuszka, przy całym niewątpliwym uroku intelektualnym, po prostu szkodliwa.

Najdalej w tego typu wizjonerstwie poszedł jednak wspomniany Leszek Sykulski, który kilka lat temu opowiadał się za pogłębioną integracją kontynentalną, wieszczył nadejście epoki postnarodowej, a ostatecznie podnosił nawet postulat powołania rządu światowego, gdyż postępujący rozwój „eurosfery" ma być jego zdaniem jedynie preludium do nastania „cywilizacji planetarnej".

W jednej ze swoich prac Sykulski opisuje, że jednym z wyznaczników geopolityki nowoczesnej mają być jednocześnie „supernacjonalizm" oraz „denacjonalizacja polityki". Innymi słowy, świat przyszłości to świat wielkich przestrzeni, pogłębiającej się integracji, zaniku narodów i suwerenności oraz przezwyciężenia bogactwa różnorodności poszczególnych kultur. Zasadniczo myśl Sykulskiego nawet jeżeli jest najbardziej ekstrawagancka w swym futurologizmie, to w istocie jest jedynie konsekwentnym rozwinięciem założeń geopolityki. Autor jest po prostu bardziej skrupulatny w wyciąganiu logicznych wniosków z poczynionych założeń niż jego bardziej umiarkowani koledzy.

GEOPOLITYCZNY KONIEC HISTORII

Nieco upraszczając, można powiedzieć, że w polskiej debacie publicznej pojęcie „geopolityki" funkcjonuje w trzech odsłonach: po pierwsze, jako podejście, które wskazuje na zależności między polityką a geografią, starając się używać tychże powiązań w celu analizy sytuacji międzynarodowej; po drugie, jako synonim specyficznie rozumianego realizmu politycznego, co implikuje założenie, że odrzucenie prawideł geopolityki spycha daną osobę w rejony (pejoratywnie rozumianego) politycznego romantyzmu; trzeci powszechny sposób stosowania terminu „geopolityka" wskazuje, że jest on po prostu tożsamy z pojęciem „polityki międzynarodowej" albo „stosunków międzynarodowych". Z tych trzech podejść jedynie pierwsze jest uprawnione i tylko ono ma jakikolwiek sens, podczas gdy pozostałe służą budowaniu wizerunku geopolityki jako „nauki" bezalternatywnej.

Geograficzny determinizm służy polskim geopolitykom do budowy własnej wersji końca historii, gdzie geografia staje się polityczną alfą i omegą. Jak jednak sprawa wygląda w praktyce? Na ile te proroctwa znajdują potwierdzenie w rzeczywistości?

Postulat budowy europejskiego mocarstwa jest jednym ze stałych elementów geopolitycznego myślenia, czego przykładem jest Tomasz Gabiś

W jednym ze swoich wczesnych tekstów (rok 2013) na łamach „Nowej Konfederacji" Bartosiak tak opisywał sytuację międzynarodową: „Wycofanie strategiczne USA z regionu, amerykańska potrzeba sojuszu z Rosją w celu powstrzymania Chin oraz zbliżenie Berlina i Moskwy". Od tych słów minęła dekada, a my widzimy, że nie sprawdziło się żadne z tych proroctw: USA wzmocniły swoją obecność w regionie, relacje USA-Rosja są najgorsze od czasów zimnej wojny, podobnie sprawa wygląda między Rosją a Niemcami. Do tego NATO, którego skuteczność podważano od lat, w minionym roku dowiodło swojej sprawczości, a Unia Europejska nie tylko się nie rozpadła pod naporem wewnętrznych sprzecznych interesów, lecz także wprost przeciwnie – zmierza w kierunku centralizacji i uformowania się w pankontynentalne państwo.

Ktoś mógłby powiedzieć, że wyciąganie tekstu sprzed dekady to nieuczciwe zagranie. Zasadniczo to prawda, tylko skoro geopolityka jest prezentowana jako obiektywna nauka tłumacząca nieubłagane prawidła rządzące światem, pod których naporem znaczenie traci zarówno ludzka wola, jak i wszelkie wartości, to marne 10 lat w tej analizie nic nie powinno znaczyć. Oczywiście tu nie chodzi o samego Bartosiaka, który popełnia błędy jak każdy człowiek, tylko o fetysz geografii, która ma być odpowiedzią na każdy polityczny dylemat.

WARTOŚCI W POLITYCE

„Geopolitycy wychodzą z założenia, że idee, ideologie, filozofie pojawiają się i zamierają, podczas gdy istota dążenia do władzy oraz przestrzeń trwają nieustannie" – pisze Sykulski w jednej ze swych prac. Z kolei Bartosiak dodaje: „Siła jest walutą w stosunkach międzynarodowych". Coś takiego jak wartości – mówią nasi geopolitycy – to opowieść dla naiwnych.

Pomijanie znaczenia wartości w polityce jest nie tylko błędne, lecz także niebezpieczne. Nie chodzi tu o romantyczne uniesienia oraz różowe okulary idealizmu, tylko o zagrożenie wynikające z sytuacji, w której geopolityka przestaje być narzędziem, a staje się celem samym w sobie – sztuką dla sztuki. Zapominamy wówczas, że podmiotem polityki są realni ludzie, a nie anonimowe masy, którymi można dowolnie zarządzać w ramach „gier statusowych". Ostatecznym celem polityki powinno być dobro wspólnoty narodowej, a nie wzrost gospodarczy czy potęga państwa. Geopolityka, przynajmniej w swojej spopularyzowanej formie, myli środek z celem.

Konsekwencją takiego rozumowania są utopijne, paradoksalnie zupełnie nierealistyczne, koncepcje, które – być może – pięknie wyglądają na mapie, jednak w rzeczywistości prowadzą nas na manowce. Dopóki geopolityka pełni rolę narzędzia, dopóty może być pomocna w analizie sytuacji międzynarodowej. Gdy jednak staje się celem samym w sobie, zaciemnia nam obraz i utrudnia racjonalną ocenę sytuacji politycznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Piotr Semka

Założenie ludzi chcących marginalizować rolę Kościoła w Polsce jest długoplanowe. Chodzi o to, by stworzyć wokół postaci Karola Wojtyły, a potem Jana Pawła II, trwałą moralną atmosferę dwuznaczności. Spór o papieża Polaka rozgrywać się będzie już przez kolejne dekady

Polski podział wojtyliański

Przyjdzie nam się przyzwyczaić do tego, że spór o stosunek do Karola Wojtyły będzie kolejną linią podziału na polskiej scenie politycznej i intelektualnej. Tak być nie musiało, bo polski papież zdawał się symbolem, który mógł łączyć ponad podziałami. Posiadanie takiego pozytywnego symbolu pomagało łagodzić spory między ludźmi wierzącymi a niewierzącymi, między lewicą a prawicą. Wzmacniało też międzynarodowy prestiż Polski na świecie.

Ale ten consensus został z premedytacją wysadzony w powietrze przez wszystkich tych, którzy podjęli decyzję o nagłośnieniu filmu „Franciszkańska 3" i książki „Maxima culpa" Ekkego Overbeeka. Pojawienie się zarówno tego filmu, jak i tej książki nie jest niczym nadzwyczajnym. Nikt nie byłby w stanie zabronić ich autorom zaprezentowania swoich ustaleń publicznie. Ale wykreowanie ich na dzieła stwarzające wielki kopernikański przewrót w myśleniu o Karolu Wojtyle to decyzja konkretnych osób w TVN i Agorze, a reakcja na nie to kwestia decyzji poszczególnych polityków.

Na łamach „Gazety Wyborczej" Witold Mrozek z wyraźną satysfakcją ogłosił: „Nie ma już Ojca wszystkich Polaków. Jest oskarżony Karol W. i Święty Jan Paweł II Wielki". I właśnie tego nowego podziału będą pilnować wszyscy ci, którzy marzą o trwałym zredukowaniu roli Kościoła w Polsce. To oni będą już zawsze mówić, gdy będzie się pojawiać nazwisko Karola Wojtyły, że jest to postać kontrowersyjna, lub w wypadku co bardziej agresywnych antyklerykałów wprost, że ma krew na rękach. To oni będą próbowali dotrzeć do opinii młodego pokolenia, to oni będą bronić licealnych kontestatorów, rzucających w twarz katechetom, że bronią „patrona pedofilów". Założenie jest długoplanowe. Stworzyć wokół postaci Karola Wojtyły, a potem Jana Pawła II, trwałą moralną atmosferę dwuznaczności.

PIERWSZA LINIA PODZIAŁU: ZSZOKOWANI I RACJONALNI

Kwestia podejścia do pojawienia się materiałów Gutowskiego i Overbeeka jest najwyraźniejszą linią podziału. Ogólnie rzecz biorąc, polega na uznaniu lub nie, czy cała operacja ma moralny sens. Bo dla tych, którzy oburzyli się takim strącaniem papieża z piedestału, było jasne, że jest to element konfliktu z Kościołem, który trwa od ponad trzech dekad po 1989 r. Oni mieli świadomość, że bilans zasług i wielkości Jana Pawła II jest nieporównywalny z jakimikolwiek twierdzeniami o jego zaniechaniach lub uleganiu powszechnej w latach 60. i 70. taktyce biskupów, by przypadki pedofilii tuszować, a dobro kapłanów stawiać wyżej niż troskę o skrzywdzonych.

To poczucie ataku bardzo dobrze ujął w słowa publicysta „Teologii Politycznej" Wojciech Stanisławski, porównując zdjęcie Ekkego Overbeeka z portretem diabolicznej postaci wodzireja z filmu „Kabaret". W tym filmie w jednej z końcowych scen widać, jak salę kabaretową zaczynają zapełniać brunatne mundury, a perwersyjnego wodzireja wcale to nie martwi. Stanisławski oba portrety podsumował sentencją: „Kończy malować powiekę i odwraca się od lustra do kamery: – A teraz zniszczę to, co kochaliście, bo tak mi się podoba".

Stanisławski tak opisał stan, który poruszył miliony Polaków: „Komentatorzy »sprawy papieskiej« subtelnie i z namysłem nawołujący do umiaru oraz rozwagi, tłumaczący jak dziecku, iż »uznanie, że «wszyscy tak robili» nie oznacza uleczenia ran« – zachowują się tak, jakby nie dostrzegali lawiny nienawiści, której doświadczają w tych dniach wierni Kościoła, facebookowych deklaracji »wyprułbym kiszki tym klechom« i »zdelegalizować sektę«. Rychło obalić pomniki, przemianować ulice. […] Rysunku dzisiejszej »Polityki« (opiniotwórczy tygodnik polskiej inteligencji) piórka

eprasa.pl 5501c57294

FOT. PIOTR MOLĘCKI/FAST NEWS

Patryka Sroczyńskiego, który przedstawia JPII z diabelskimi rogami. Jakby nie wiedzieli, jak zachowuje się człowiek, którego w ciemnym zaułku kilku typów zaczyna bić, a potem bierze pod obcas [...], skulić się w kłębek, osłaniać rękami głowę, a nogami – podbrzusze. Wytrzymać kopnięcia w łokieć i w nery [...]. Być może wydawcy »Bielma« i »Maximy culpy« nie zdawali sobie sprawy, co będzie konsekwencją ich publikacji. A może zdawali. A może liczyli na nie. A może nie. [...] I dlatego, i to jest naprawdę istotne, rozsądny, koszmarnie zlekceważony postulat ks. Isakowicza i innych wnoszących od lat o otwarcie kościelnych archiwów będzie realizowany z dużo większym oporem, niż powinien. Bo człowiek kopany w nery niechętnie słucha apelu, by siąść przy stole i porozmawiać o przewinach z przeszłości".

Ten stan, bardzo dobrze opisany przez Stanisławskiego, spowodował zaskakującą mobilizację emocji mnóstwa Polaków. I to, czy powody do tej emocji się czuło czy nie, stało się pierwszą linią podziału wśród Polaków. Bo oczywiście można bronić prawa dziennikarza do badania przeszłości, jak to teraz czyni były rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, można mówić Polakom, że płacą teraz cenę za zbytnie ubóstwienie Jana Pawła II, jak to czynią niektórzy „chłodni katoliccy publicyści nurtu otwartego", ale nie zmienia to tego, że albo się czuje klimat operacji socjotechnicznej wokół papieża albo nie.

Te dwa miliony Polaków, którzy obejrzeli w telewizji powtórkę z homilii papieskiej z warszawskiego placu Zwycięstwa z 1979 r., tę specyfikę chwili wyczuło. Pytanie, czy będą w stanie przełożyć swoją instynktowną chęć obrony pamięci o JPII na najbliższe lata, jest oczywiście otwarte. Tak samo jak pytanie, czy owa reakcja psychologiczna obejmie tylko tych, którzy zapisali we własnej pamięci piękną i moralną siłę epoki wojtyliańskiej, czy też uda się zrozumienie jego znaczenia przekazać kolejnemu pokoleniu. Ci, którym marzy się nowa Irlandia nad Wisłą, zakładają, że sentyment wobec Karola Wojtyły będzie coraz częściej wyznacznikiem starszego pokolenia. Ale w tym sensie stosunek do papieża będzie taką samą linią podziału jak stosunek do Żołnierzy Wyklętych, do nocy czerwcowej i obalenia rządu Jana Olszewskiego czy do pytania o to, co naprawdę stało się w Smoleńsku. Polskie spory zyskają nową kolejną linię podziału.

CZEGO WYMAGAĆ OD POLITYKÓW

Prawo i Sprawiedliwość bardzo szybko wystąpiło w obronie pamięci o Janie Pawle II. Czy była w tym polityczna kalkulacja? Zapewne tak. Mateusz Morawiecki publikujący coś w rodzaju klipu z papieskim przesłaniem, przemówienie telewizyjne marszałek Elżbiety Witek czy uchwała sejmowa tworzone były zapewne ze świadomością, że mobilizacja katolickiego elektoratu jest korzystnym zwrotem w trakcie kampanii wyborczej, która przecież już trwa. Ale tak już jest w polityce, że dana tradycja jest tego, kto uważa ją za ważną i kto nie waha się jej bronić. Płaci za to zaszufladkowaniem ze strony przeciwników, ale wygrywa wtedy tym, że jest partią integralną. Że wyborcy wiedzą, iż właśnie tak, a nie inaczej zareaguje na szarganie ich świętości. I że partia ta uzna tę świętość za coś ważniejszego niż aktualne mody polityczne czy opinie intelektualnego salonu.

Dobrym kontrapunktem w zachowaniu PiS była postawa Polskiego Stronnictwa Ludowego. Uznało ono, że nie czas jest dzielić włos na czworo, i poparło uchwałę PiS w sprawie ochrony dobrego imienia Jana Pawła II. A przecież nikt nie może zakwestionować wyraziście opozycyjnego nastawienia partii Władysława Kosiniaka-Kamysza. Zachowanie Koalicji Obywatelskiej, która nie wzięła udziału w głosowaniu, było przykładem moralnego paraliżu tej partii. O tym, że tak być nie musiało, świadczy przykład samotnego głosowania za uchwałą broniącą JPII przez Joannę Fabisiak, posłankę Platformy.

Platformersi, którzy niegdyś prezentowali się jako uczniowie Jana Pawła II, tak jak Paweł Kowal natychmiast ukryli się za parawanem wygodnej formuły, że PiS wziął za zakładnika Kościół katolicki w Polsce. Ale przykład PSL pokazuje, że Platforma mogła postąpić inaczej. Owszem, zagłosować za uchwałą PiS-owską, a potem w płomiennym przemówieniu Donald Tusk mógł wytłumaczyć, dlaczego Platforma w imię wyższego dobra poparła ustawę, a potem zdezawuować domniemane partyjne rachuby, które PiS wiązał z tym aktem sejmowym.

Równie drastyczne było zachowanie Szymona Hołowni. Polityk, który organizuje konferencje prasowe na temat dziury w moście w jakimś małym miasteczku na Pomorzu, teraz jedyne, co miał do powiedzenia, to dość chaotyczny wywód na Facebooku, łączący w sobie tezy, że „fakty trzeba ujawniać", z podkreślaniem, że szacunek dla JPII należy zachować. Ale już osoba numer dwa w ruchu Polska 2050 – Michał Kobosko – zdążyła publicznie skrytykować PSL za to, że „w sprawie sejmowej uchwały w obronie Jana Pawła II PSL zagrał w obronie PiS".

W wypadku publicystów sprzyjających Platformie moralne oburzenie na to, że PiS zawłaszcza papieża Polaka dla politycznych celów, stało się wygodnym wyjaśnieniem, dlaczego sami nie występują w obronie papieża Polaka. Paweł Kowal grzmiał: „Wy chcecie zapisać Jana Pawła II do PiS, nie chcecie go bronić. Wasze działanie niczemu dobremu nie służy".

Żadnych już moralnych hamulców nie ma lewica. Maja Staśko ogłosiła światu, że „ofiary gwałtu w Polsce będą umierać, bo posłowie musieli złożyć honory obrońcy gwałcicieli". Na portalu Krytyki Politycznej można było przeczytać felieton o „bestii z Wadowic", a w Internecie zobaczyć memy: „Dla gwałcących biedaków ukrytych przez Wojtyłę JPII zawsze będzie świętym". Joanna Scheuring-Wielgus już ogłasza, że lewica szykuje ekipy, które będą prowadzić akcje na rzecz dewojtylizacji polskich miast z ulic nazwanych imieniem Jana Pawła II. W Warszawie Agata Diduszko-Zyglewska wysunęła postulat, by finansowany przez miasto Warszawę Instytut Jana Pawła II zamienić w neutralny światopoglądowo ośro-

eprasa.pl 5501c57294

dek refleksji nad różnymi filozofiami i kulturami.

Jak w tej walce o Jana Pawła II sytuować się będą w przyszłości obozy polityczne? Dotychczasowa praktyka pokazuje, że Platforma w zaskakująco szybkim tempie ulega w takich sprawach kanonom narzucanym przez skrajną lewicę. Rafał Trzaskowski na razie zapewne odrzuci skrajne żądania Agaty Diduszko i zachowa Instytut Jana Pawła II, ale gdy skończy się kampania, za jakiś czas może ulec takim propozycjom.

O tym, jaka jest już skala pochwały nihilizmu wobec postaci JPII, niech poświadczy komentarz Jana Radomskiego na łamach „Wyborczej". Publicysta z Czerskiej gromi w nim PO, że nie głosowała przeciw sejmowej uchwale w obronie czci papieża Polaka. Fragment będzie długi, ale pokazuje, gdzie jesteśmy w procesie polowania na JPII.

Radomski pisze: „Ten błąd opozycji może mieć poważne konsekwencje. Jan Paweł II jest postacią tak polaryzującą, że zachowanie bezstronności oznacza trafianie w próżnię. A w dodatku zirytuje tych, których politycy i polityczki opozycji mieliby reprezentować.

Jeśli komuś wydaje się, że żarty z Jana Pawła II są marginesem czy internetowym folklorem, to naprawdę niewiele wie o polskim społeczeństwie. Od piętnastu lat słownik tzw. cenzopapy rozrasta się na bezprecedensową skalę, zarówno pod kątem językowych i kulturalnych konotacji, jak i powszechności ich stosowania. Symbole takie jak liczba 2137 [Jan Paweł II zmarł o godz. 21.37] stały się powszechnie znane i są przetwarzane na tysiące sposobów. [...]

Wyśmiewanie Jana Pawła II od dawna wykroczyło poza bańkę określonego medium czy pokolenia. W grze »Wiedźmin 3« jedną z trzecioplanowych postaci jest Cyrus Hemmelfart, przywódca rasistowskiego, ultrareligijnego kultu. Mieszkańcy uniwersum muszą go czcić, a artyści i artystki są prześladowani za żarty czy krytykę. Jakby tych aluzji nie było wystarczająco dużo, na jednym z portretów Hemmelfart do złudzenia przypomina polskiego papieża. Mówimy o grze, która na całym świecie sprzedała się w ponad 40 milionach egzemplarzy – nie ma w tym stuleciu popularniejszego wytworu polskiej kultury! [...]

Twórcy i twórczynie gry mrugnęli w ten sposób okiem do »rzułtej mordy«, czyli określenia nawiązującego do słynnego portretu Jana Pawła II [to zdjęcie papieża, zabarwione na żółto, stało się internetowym memem i zyskało miano »rzułtej mordy«]. Kilka dni temu Radio ZET przekonało się o randze tego określenia, gdy w mediach społecznościowych przeinaczyło słowa Adriana Zandberga, mówiącego o »żółtej twarzy« – redaktorzy stwierdzili, że Zandberg mówił o »złotej twarzy«. Wywołało to takie wzburzenie w sieci, że kilka godzin później stacja radiowa opublikowała sprostowanie: »Oczywiście, chodziło o rzułtą. Pomyłka. Przepraszamy tych, którzy poczuli się urażeni. Nie było to naszą intencją«. Ten wpis zebrał prawie półtora tysiąca polubień.

Może nas to śmieszyć albo oburzać, możemy uważać to za głupie albo mądre. To nie ma znaczenia i nie o tym jest ten tekst. Ważne, że takie są emocje wielu ludzi. Dekonstrukcja wizerunku papieża związana jest bowiem z tym, jaki problem z przesadnym i jednowymiarowym upamiętnieniem tej postaci ma znaczna część społeczeństwa. [...]

Nie oczekuję od Donalda Tuska, że wyjdzie na ulice i własnymi rękoma obali pomniki papieża. Jeśli jednak za kilka miesięcy chce rządzić, musi zacząć być wiarygodny dla ludzi, którzy mogą na niego zagłosować. Tą częścią Polski, dla której papież jest ważny, opiekuje się Prawo i Sprawiedliwości. Tuskowi – czy mu się to podoba, czy nie – zostali ci od »rzułtej mordy«.

Tyle Radomski.

OBROŃCY PAPIEŻA I OBROŃCY OFIAR

Chłodny stosunek do ataku na Jana Pawła II, jak byliśmy ostatnio świadkami, można też wyprowadzać z przesłanek katolickich. Próbką takiego myślenia podzielił się z użytkownikami Twittera były szef Klubu Jagiellońskiego Marcin Kędzierski. W swoim komentarzu do sporu o pamięć o papieżu Polaku Kędzierski napisał: „Na koniec refleksja chrześcijańska. Jezus nie jest obecny w honorze, dumie, dobrym imieniu kogokolwiek czy czegokolwiek. Jezus jest obecny w bliźnim, biednym, skrzywdzonym, poranionym. Wybierając walkę o dobre imię JPII, odrzucamy Jezusa. Odwracamy się do niego plecami". Kędzierski stawia tezę, że wzmożenie wokół obrony Jana Pawła II utrudni działanie Fundacji św. Józefa, która stara się dotrzeć do ofiar i zadośćuczynić ich krzywdom. Tego typu obawy oczywiście nie są bezzasadne. Ale czy można tworzyć antynomię: troska o dobre imię JPII kontra dobro ofiar?

Inne zjawisko pokazujące pęknięcie wewnątrz Kościoła zaprezentował krakowski biskup pomocniczy Damian Muskus, zachęcając do zaniechania ocierających się o naiwność działań podejmowanych rzekomo w imię obrony świętości Jana Pawła II. Muskus ironizował, że „ani trzymanie w dłoni obrazka z papieskim wizerunkiem, ani wieszanie go na ścianach instytucji publicznych nie odmieni oblicza tej ziemi". We wpisie zatytułowanym „Błogosławieni rozsądni" Muskus przeciwstawił sobie „szereg przeciwstawnych reakcji". Pisał: „Słychać głosy wzywające do obalania pomników i emocjonalne apele o obronę szarganej świętości. Tym, dla których święty Jan Paweł II jest wciąż największym autorytetem i najwybitniejszym Polakiem, trudno pogodzić się z faktem, że ktoś ośmiela się mówić i pisać o nim inaczej". Wszystko to okraszone ostrzeżeniem, że nikomu nie jest potrzebna dzisiaj nowa odsłona wojny polsko-polskiej, którą od lat fundują nam środowiska polityczne. Za najważniejsze zadanie uznał wyraźny sprzeciw wobec wykorzystywania osoby papieża, podobnie jak religii, do bieżącej polityki.

Retoryka bp. Damiana Muskusa to zapowiedź nurtu, który za pewien czas może stanowić w episkopacie istotną siłę. W wypadku wszelkich kolejnych ataków na Kościół lub jego świętości nurt ten będzie się skupiał głównie na gromkim powtarzaniu: „Nie brońcie nas, politycy" i „Z pokorą przyjmijmy głosy krytyków Kościoła". Będzie to oczywiście uzasadnione tym, że wszelka obrona ze strony prawicy będzie powodować utożsamianie religii z jedną partią, a to z kolei przyczyni się do dalszego opustoszenia kościołów. Oczywiście dla Kościoła to taktyka samobójcza, ale niespecjalnie to martwi tych, którzy reprezentują typ katolicyzmu otwartego.

Wszystkie wymienione powyżej przykłady pokazują, że spór o Jana Pawła II rozgrywać się będzie już przez kolejne dekady. Pytanie, która strona będzie w tym starciu skuteczniejsza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Niemieckie zagrożenie dla Polski

Thomas Bagger, ambasador Niemiec w Polsce FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Nakręcane przez polityczne plemiona oskarżenia i emocje wojny na symbole zupełnie przysłoniły Polakom polityczną ofensywę naszego zachodniego sąsiada. Tymczasem w ciągu zaledwie nieco ponad tygodnia Niemcy dali kilka znaczących sygnałów, które powinny być nad Wisłą zauważone i wzięte pod uwagę

Zacznijmy od ożywionej aktywności ambasadora Thomasa Baggera. W kolejnych wypowiedziach dla niemieckiej i polskiej prasy, a także w mediach społecznościowych, oskarżył Polskę, że płacąc „miliardy" za ropę i inne nośniki energii, sfinansowała rosyjską agresję na Ukrainę w co najmniej porównywalnym stopniu jak Niemcy. Fakt, że to jednak Niemcy zbudowały dwie rury Nord Stream oraz różnymi metodami wymusiły na całej Europie uzależnienie się od rosyjskiego gazu, uznanego pod ich naciskiem za paliwo „ratujące planetę", zbył ambasador stwierdzeniem, że był to błąd, ale Niemcy w ostatnich miesiącach bardzo zmienili swoje podejście do Rosji, więc nie ma już o czym mówić (podobnie jak o „zamkniętej" sprawie reparacji za popełnione w Polsce zbrodnie wojenne, której niepotrzebne podnoszenie szkodzi pojednaniu). Warto dodać, że dzieląc się z Polską winą za sfinansowanie zbrojeń Putina, ambasador Bagger mówił niemal słowo w słowo z politykami PO i jej mediami; podobną zgodność wykazuje oskarżenie, że rząd Polski w sztuczny sposób kreuje Niemcy na wroga, gdy w istocie są one Polsce przyjazne, a dla bliskiej współpracy polsko-niemieckiej nie ma alternatywy.

Tę ostatnią tezę podniósł przewodniczący rządzącej Niemcami partii SPD, Lars Klingbeil, który złożył w Warszawie wizytę niemal zupełnie nieodnotowaną w polskich mediach, ale szeroko komentowaną w Niemczech. W tamtejszych

eprasa.pl 5501c57294

komentarzach uznano przemówienie, wygłoszone przez Klingbeila podczas sfinansowanej przez Fundację Eberta sesji w warszawskim muzeum Polin, wręcz za przełomowe, wyznaczające nową „Ostpolitik" i otwierające nowy rozdział w stosunkach z państwami Europy Środkowej. „Nowe partnerstwo z Europą Wschodnią i Środkową – ale pod niemieckim przywództwem" – zaanonsował je dziennik „Die Welt".

Co takiego powiedział przewodniczący SPD? Z pozoru same frazesy, z których wynikać miało, że Niemcy gotowe są stanąć na czele naszego regionu i objąć środkowoeuropejskie państwa szczególną troską. W jakiś sposób zabrzmiało to symetrycznie do powtarzanych przez kanclerza Scholza deklaracji o gotowości objęcia przez Berlin przywództwa nad Europą Zachodnią i poprowadzenia jej przez proces pogłębiania integracji, budowy nowego systemu jednolitego, scentralizowania zarządzania kontynentem oraz ratowania planety przed niezależnością energetyczną poszczególnych krajów. Nie to jednak było najważniejsze, co Klingbeil powiedział, ale to, o czym nie wspomniał – otóż nie padło tym razem ani słowo o konieczności uwzględnienia w nowej architekturze regionu interesów rosyjskich. A jeszcze do niedawna była to w każdym przemówieniu każdego liczącego się niemieckiego polityka wręcz mantra.

Niemcy pracują nad tym, by w nowej optyce polityki USA, nakreślonej przez prezydenta Joe Bidena, nie oddać pola Polsce FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

OSKARŻANIE I UMNIEJSZANIE

W medialnej krzątaninie ambasadora Niemiec oraz prominentów niemieckiej polityki zwraca uwagę jeszcze jeden wątek: od pewnego czasu Niemcy nie tylko wydają wielkie pieniądze na wmawianie światu, że nikt w Europie nie pomaga tak hojnie i tak intensywnie jak oni Ukrainie, lecz także niezwykle nerwowo reagują na każde zwrócenie uwagi, że tej propagandowej tezy dowodzą, rozmnażając składane Ukrainie obietnice sztuczkami „kreatywnej księgowości", a momentami wręcz kłamiąc w żywe oczy. Co dla nas szczególnie przykre, swoje rzekome zaangażowanie we wspieranie Ukrainy Niemcy usiłują w oczach świata uwydatnić poprzez pomniejszanie tego, co dla Ukrainy robi i z czego jest dumna Polska. W wiodących mediach niemieckich powtarzane są opinie, że Polska przekazuje walczącej Ukrainie szmelc, czołgi ze złomowiska i wybuchające w rękach karabinki (analogiczne publikacje w polskojęzycznym Onecie są tylko echem „przełożenia wajchy" w centrali) i że w żaden sposób nie można stawiać polskiej pomocy na równi z obiecywanymi przez Niemcy nowoczesnymi rodzajami broni.

Towarzyszy tym publikacjom wzmożenie w oskarżaniu Polski o zbrodnie na naszej wschodniej granicy. Operacja „Śluza" trwa już od ponad roku i nie była dotąd zbyt intensywnie odnotowywana w niemieckich mediach. Być może decydowała o tym świadomość, że w istocie bronimy tu Niemiec, bo „nachodźcy" Putina i Łukaszenki nie próbują przecież ani nie zamierzają bynajmniej osiedlać się w Polsce. W ostatnich tygodniach wyraźnie się to zmieniło. Mamy istny wysyp lamentów nad rzekomo masowo ginącymi w polskich lasach i chowanymi potajemnie przez straż leśną w zbiorowych mogiłach „uchodźcami". Wszystko to w ten czy inny sposób prowadzone jest ku morałowi: „Może i Polacy coś tam zrobili dla uchodźców z Ukrainy, ale to tylko dowodzi, jak wielkimi i nieuleczalnymi są rasistami – pomagają tylko białym i kulturowo sobie bliskim, ale kolorowych prześladują bezwzględnie". Tu także istotnym elementem propagandy, w którym niektóre niemieckie ośrodki posuwają się do nazywania Polaków „narodem morderców", jest uaktywnienie agentur wpływu w Polsce. Stanowią one nie tylko główne źródła tych „rewelacji", lecz także ich uwiarygodnienie antypolskiej narracji przed zachodnią opinią publiczną – by wskazać tylko europosłankę Ochojską czy organizację o nazwie Grupa Granica, prezentowaną jako jakieś szlachetne bractwo bojowników sumienia, niemogących się pogodzić z panującym w ich kraju nieludzkim reżimem. Niestety, to nie polskie publikacje i oficjalne wypowiedzi, ale właśnie tego rodzaju oskarżenia rezonują w tej chwili w mediach zachodnioeuropejskich.

Te i wiele pomniejszych sygnałów wyznaczają politykę informacyjną Niemiec wobec regionu, który w tradycji tamtejszej polityki kojarzy się z projektem politycznym o nazwie Mitteleuropa. Z jednej strony Niemcy z większą niż kiedykolwiek intensywnością dyskredytują Polskę, otwarcie przyznając co prawda nasze „rosnące znaczenie", ale skupiając uwagę na rozmaitych „ale", mających dowieść, że Polska już tyle dobrego, ile mogła, zrobiła i do niczego więcej nie jest zdolna; z drugiej natomiast mamy coraz bardziej wyraźne deklaracje odrzucenia jako „błędów" dotychczasowej polityki „szanowania interesów rosyjskich w regionie".

SKUPIAĆ UWAGĘ USA

Skąd ta zmiana? Co takiego się stało, że Niemcy, którym przez wiele miesięcy zależało przede wszystkim na „trzymaniu otwartych drzwi dla Rosji", na prezentowaniu się w jej oczach jako partner gotów w imię „realistycznego" przekonania, że „z Rosją nie można

eprasa.pl 5501c57294

wygrać", a zwłaszcza jej zniszczyć, wrócić, gdy tylko stanie się to możliwe, do obopólnie korzystnego status quo ante – teraz wyraźnie starają się zaprezentować Zachodowi jako prymus we wspieraniu Ukrainy i państwo gotowe „zagospodarowywać" jej dawną strefę wpływu, w domyśle – po wypchnięciu z niej dotychczasowego hegemona?

Podczas swej wizyty w Warszawie prezydent USA Joe Biden bardzo stanowczo wskazał cele swojej polityki: wschodnią granicą Zachodu ma być obecna wschodnia granica Białorusi i Ukrainy, Rosja ma zostać zepchnięta w głąb Azji. Jest to polityka stojąca w skrajnej sprzeczności z podstawowym po 24 lutego 2022 r. założeniem polityki niemieckiej – że „Rosja musi zostać pokonana, ale nie może zostać zmiażdżona" (to akurat słowa prezydenta Francji, ale w pełni zgodne z postępowaniem Olafa Scholza). Zgodnie z tym założeniem Niemcy twardo obstawały, że wojna musi się skończyć jakimś rozejmem, po którym nastąpi „reset" – w najlepszym wypadku poprzedzony mniej lub bardziej kosmetyczną „pierestrojką" na Kremlu, ale jeśli do niej nie dojdzie, to i z „taką Rosją, jaka jest".

Nowa niemiecka polityka jest dla nas wielkim zagrożeniem. Jej powodzenie oznaczałoby zmarnowanie szansy na trwałe wybicie się do roli państwa „sprawczego"

Wydaje się, że niemieckie nastawienie zmieniło kilka czynników. Po pierwsze, wspomniana już stanowczość okazana w kwestii „deimperializacji" Rosji przez USA. Po drugie, klęski rosyjskiej armii, od dziewięciu miesięcy trykającej bezowocnie i przy ogromnych stratach głową w umocnienia Bachmutu. Obie te sprawy spotkały się jednak z zupełnie u nas niedostrzeżonym gestem Waszyngtonu: zaledwie gdzieś po marginesach serwisów ekonomicznych przemknęły wiadomości o deklarowanej przez rząd USA gotowości złożenia dużych zamówień zbrojeniowych dla przemysłu niemieckiego, w tym na podzespoły dla zaawansowanych technologicznie systemów obrony powietrznej. Niejako w odpowiedzi ze strony niemieckiej pojawiły się deklaracje chęci budowy terminalu do odbioru amerykańskiego gazu i zawarcia w tej kwestii stosownych długoterminowych kontraktów.

Co prawda, równocześnie Berlin trwa na prorosyjskich pozycjach, np. torpedując plany umieszczenia w oficjalnych dokumentach UE zapisu o konieczności zapłacenia przez Rosję reparacji za zniszczenia i zbrodnie na Ukrainie. Ale coraz wyraźniej jest to gra na dwóch fortepianach. Niemcy, którzy w przeciwieństwie do Polaków myślą nad swoją polityką, definiują swoje długofalowe interesy i z całym cynizmem dążą do ich realizacji, wyraźnie zaczęły sygnalizować gotowość do porzucenia mrzonek o powrocie neobismarckowskiego ładu wyznaczonego polityką Merkel i do odnalezienia się w nowym europejskim „Pax Americana" – za cenę pozostawienia im jako strefy wpływu obszaru wschodniego.

Częścią tej polityki jest wykazywanie Ameryce, że Polska, słaba, skłócona i dopuszczająca się rasistowskich zbrodni na uchodźcach i mniejszościach seksualnych, nie może być poważnie traktowana jako kandydat na strategicznego partnera USA w regionie. Może kiedyś, po ucywilizowaniu niemiecką kuratelą, i ona dorośnie do poważnego traktowania – na razie jednak taki kandydat jest tylko jeden.

Ta nowa polityka niemiecka jest dla nas wielkim zagrożeniem: jej ewentualne powodzenie oznaczałoby po prostu zamknięcie historycznego „okienka" i zmarnowanie szansy na trwałe wybicie się do roli państwa „sprawczego". Tym bardziej że trafia ona w Waszyngtonie na podatny grunt. Jeśli Polska nie uświadomi sobie tego i jak najszybciej nie podejmie walki o przywództwo w regionie, nie uruchomi mechanizmów politycznego lobbingu wśród sojuszników oraz nie wystąpi z konkretnymi propozycjami powiązania interesów państw wschodniej „dziewiątki", to nasze przysłowiowe pięć minut w światowej polityce może się rzeczywiście okazać tylko pięcioma minutami, po których pozostaną nam jedynie gołosłowne pochwały i inne frazesy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Saga historyczna, która trzyma w napięciu jak najlepsza powieść sensacyjna!

eprasa.pl 5501c57294

Z dr. Andrzejem Anuszem, politologiem z Instytutu Piłsudskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

To nie ostatnia bitwa Kaczyński – Tusk

FOT. SIACH ANTKOWIAK/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: PiS wygrywa jesienne wybory, ale nie jest w stanie samodzielnie rządzić. Opozycja oskarża PiS o sfałszowanie wyborów, ale jest zbyt podzielona, żeby stworzyć większość pozwalającą jej na stworzenie rządu. Czy po wyborach parlamentarnych czeka nas polityczny chaos, jakiego dawno w Polsce nie było?

DR ANDRZEJ ANUSZ: Moim zdaniem będzie miał miejsce inny proces. Scenariusz bazowy jest taki, że Zjednoczona Prawica wygrywa wybory, ale nie na tyle, żeby mieć większość. Pytanie, czy dojdzie do koalicji z Konfederacją? Moim zdaniem Konfederacja po usunięciu grupy wolnościowców będzie bardziej podatna na taką koalicję.

Konfederacja, w której za polityczny kurs odpowiadać będą Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen...

Tak. Sądzę, że pod takim przywództwem Konfederacja będzie bardziej otwarta na porozumienie się z PiS. W takim układzie, jeśli PiS zabrakłoby kilku czy kilkunastu głosów do zbudowania większości, to można oczekiwać trwającego pewnie kilka miesięcy procesu wyrywania pojedynczych posłów z opozycji. Tym bardziej że opozycja pójdzie do wyborów na kilku listach. Osoby, które mogłyby zostać dokooptowane do obozu tworzonego przez PiS, prawdopodobnie będą pochodziły z PSL, a przede wszystkim z Ruchu Hołowni. Wiadomo, że nowe ugrupowania, które wchodzą na scenę polityczną, tzw. jednosezonowe, mają taką podatność. Tego uczy doświadczenie Nowoczesnej czy Ruchu Kukiza. Wracając do pańskiego podstawowego pytania, w momencie, w którym uda się stworzyć większość z dominującą rolą Zjednoczonej Prawicy, bardzo prawdopodobny jest proces dekompozycji opozycji. Rozliczeń w Platformie Obywatelskiej i na Lewicy. Pytanie, jak wytrzymają to PSL i Ruch Hołowni. W mojej ocenie taki scenariusz jest dużo bardziej prawdopodobny niż ten, w którym opozycja będzie w stanie wygenerować jakieś protesty, które będą szły w kierunku kwestionowania wyniku wyborczego i próby delegitymizacji nowego układu rządzącego Polską.

Czy w takim scenariuszu Tusk jest bardziej balastem dla opozycji czy liderem, dla którego nie ma alternatywy?

W tej chwili sytuacja zaszła tak daleko, że Tusk jest bezalternatywnym liderem największego ugrupowania opozycyjnego. Oczywiście ten stan będzie obowiązywał do wyborów. Jeśli opozycja w takiej czy innej formule nie będzie w stanie utworzyć rządu, to moim zdaniem będzie to oznaczać koniec Tuska w polityce. On zapłaci największą cenę polityczną za to, że opozycja nie stworzy rządu. Podstawowe pytanie do Tuska brzmi, czy będzie on w stanie przekroczyć próg swojej ambicji politycznej, kiedy opozycja będzie choćby na podstawie kruchej większości próbowała stworzyć rząd, kiedy pojawią się głosy, że jego premierem nie może być Tusk. Czy w takiej sytuacji Tusk będzie w stanie zachować się tak jak Kaczyński czy Krzaklewski, którzy wskazali swoich kandydatów na premiera?

Zakładając, że strategicznym celem Tuska jest urząd prezydenta, mogłoby to oznaczać, że w wypadku wygrania przez opozycję jesiennych wyborów byłby gotowy zrezygnować z kierowania rządem?

Tak, ale pod warunkiem, że musiałby wskazać jedną osobę. Ta osoba nazywa się Rafał Trzaskowski. Taki ruch mógłby otworzyć Tuskowi drogę do kandydowania w wyborach prezydenckich. W sytuacji, w której wskazałby inną osobę, a nie byłby to Trzaskowski, prawdopodobnie

eprasa.pl 5501c57294

zaostrzyłoby to ich rywalizację. Ta walka cały czas ma miejsce, choć jest teraz nieco schowana w Platformie. Po dobrym wyniku Trzaskowskiego w ostatnich wyborach prezydenckich i sondażach, które potwierdzają, że ma on dużo większy potencjał polityczny niż Tusk, mogę sobie wyobrazić, że w Platformie Obywatelskiej jest grupa, która forsowałaby kandydaturę Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. W wariancie, w którym premierem byłby ktoś inny, mogłoby dojść do bratobójczej wojny w Platformie między Tuskiem a Trzaskowskim jako potencjalnymi kandydatami na prezydenta. Jednak jeśli opozycja przegra jesienne wybory, to Tusk jako kandydat na prezydenta jest skończony.

Przyjmijmy, że po wyborach Zjednoczona Prawica w koalicji z Konfederacją, uzupełniona o kilka czy kilkanaście szabel poselskich wyłuskanych z innych ugrupowań, zdoła stworzyć rząd. Jego mandat będzie jednak prawdopodobnie dużo słabszy niż w minionych dwóch kadencjach, co będzie musiało negatywnie rzutować na praktykę rządzenia.

Trzeba pamiętać, że nawet w zmienionych okolicznościach politycznych po wyborach ten rząd będzie miał bardzo istotny atut: przez dwa pierwsze lata nowej kadencji prezydentem będzie nadal Andrzej Duda. W tej sytuacji rząd mógłby nadal liczyć na dość duże wsparcie ze strony prezydenta. Poza tym na czele instytucji fundamentalnych z punktu widzenia funkcjonowania państwa, takich jak Narodowy Bank Polski, Najwyższa Izba Kontroli czy Trybunał Konstytucyjny, nadal będą stały osoby, które w sensie formacji są związane z tym obozem. W efekcie przez te dwa lata nowa koalicja, której powstanie prawdopodobnie będzie związane z dużym bólem, miałaby szansę umocnić się, być może poszerzyć swoją bazę. To tworzy scenariusz odbiegający od reguły, w której nowa ekipa z impetem rozpoczyna rządy, a później, w miarę upływu kadencji, traci, zużywa się, odchodzą tworzący ją poszczególni posłowie. Ten schemat może być złamany, przez pierwsze dwa lata rządów nowa koalicja Zjednoczonej Prawicy miałaby szansę się umocnić, wykorzystując możliwą dekompozycję opozycji.

Jaki wpływ na przebieg kampanii wyborczej w Polsce będzie miała tzw. zagranica? Mam na myśli przede wszystkim Komisję Europejską i inne agendy unijne. Należy oczekiwać z ich strony ostrego wzmożenia działań wymierzonych w rząd Zjednoczonej Prawicy, w imię nadrzędnego celu, którym dla tych ośrodków wydaje się odsunięcie go od władzy?

Jeśli chodzi o politykę zagraniczną i jej wpływ na bieg polskich spraw, to mamy tu dwa elementy, które trzeba rozdzielić. Z jednej strony mamy relację obozu rządzącego z Komisją Europejską czy szeroko pojętą „Brukselą". Jest jednak drugi fundamentalny element, związany z rosyjską agresją na Ukrainę, czyli polityka bezpieczeństwa związana ze szczególnym charakterem relacji ze Stanami Zjednoczonymi. To są procesy równoległe. Gdyby nie było, dobrej w mojej ocenie, polityki Polski wobec konfliktu na Ukrainie realizowanej we współpracy ze Stanami Zjednoczonymi, to wpływ instytucji unijnych na polskie sprawy w okresie wyborczym byłby zdecydowanie większy. Moim zdaniem segment naszej polityki zagranicznej związanej z bezpieczeństwem neutralizuje albo przynajmniej równoważy wpływ owej „zagranicy". Jestem przekonany, że decydujący wpływ na wynik wyborów będą miały polityka wewnętrzna i to, co wydarzy się podczas kampanii wyborczej, a nie działania instytucji unijnych wobec Polski. Wybory to polityka błędów, o wyniku zdecyduje to, która ze stron popełni mniej błędów, jakie będą konstelacje, czy pojawią się nowe listy, które wywołałyby zamieszanie po stronie opozycyjnej. To będzie miało decydujący wpływ na wynik.

Brak mitycznych funduszy z Unii nie wpłynie na wynik wyborów?

Gdyby udało się je pozyskać, na pewno zwiększyłoby to szanse obozu rządzącego. Ale to nie jest tak, że brak tych pieniędzy sprawi, że PiS skazany jest na klęskę.

Przyjmując, że do jesieni wojna na Ukrainie wygaśnie i zawarty zostanie jakiś rozejm czy tymczasowy pokój, potwierdzający status quo po rosyjskiej agresji. Co to będzie oznaczać dla Polski w kontekście przebiegu wyborów?

Moim zdaniem w kategoriach politycznych Ukraina już wygrała tę wojnę, bo skutecznie obroniła swoją niepodległość. W oczywistym interesie Polski jest, żeby Ukraina mogła w jak największym stopniu odbić swoje okupowane ziemie i złamać Rosję, w sensie osiągnięcia na tyle mocnego rozejmu czy pokoju, które dawałyby jej gwarancję bezpieczeństwa ze strony Zachodu, które Rosja musiałaby przyjąć. Taki scenariusz jest naszym najwyższym priorytetem. Truizmem jest tu powtarzanie, że niepodległość Ukrainy równa się niepodległość Polski. To naczynia połączone. Jeśli ten pozytywny dla Ukrainy scenariusz zbiegłby się z październikowymi wyborami lub przynajmniej pojawiłyby się takie sygnały, to nie ma co ukrywać, że byłaby to dobra wiadomość dla obozu rządzącego, która mogłaby zwiększyć poparcie w wyborach. Wynika to z tego, że polityka rządu PiS wobec wojny na Ukrainie jest w większości popierana przez Polaków. W tej grupie są też zwolennicy opozycji.

Wróćmy na wewnętrzną scenę. Czy kampania plugawienia pamięci Jana Pawła II podjęta przez media wspierające opozycję będzie przez nią wykorzystywana jako polityczne paliwo w kolejnych miesiącach kampanii?

Kampania dekonstrukcji postaci i dziedzictwa Jana Pawła II jest prowadzona w mediach utożsamianych z opozycją, zwłaszcza z jej lewicowo-liberalną częścią. Część polityków opozycji, jak lider PSL Kosiniak-Kamysz, dystansuje się od tej kampanii, ale generalnie opozycji będzie trudno odciąć się od tej akcji. Część polityków opozycji angażuje się w działania zmierzające do usuwania z przestrzeni publicznej pomników Jana Pawła II i odbierania ulicom, placom i szkołom jego imienia. W perspektywie krótkoterminowej obrona dobrego imienia Jana Pawła II przez obóz rządzący, a z takimi działaniami mamy do czynienia w Sejmie i mediach, będzie sprzyjała rządzącym. Długoterminowo jest to bardzo niebezpieczny proces, który zatruwa fundamenty naszej wspólnoty narodowej.

Czy nadchodzące wybory będą ostatnią wielką polityczną bitwą o Polskę między Kaczyńskim a Tuskiem?

Na pewno nie. Obaj ci politycy odcisnęli bardzo mocne piętno na polskiej scenie politycznej w ostatnich trzech dekadach, żeby teraz odeszli z niej, wskazując, ot tak, swoich następców. Moim zdaniem ani Kaczyński, ani Tusk nie zrobią tego wprost. Proces wyłaniania się ich następców być może już trwa, ale nie sądzę, że będzie on szybki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

FOT. ADOBE STOCK

Koniec gotówki

Łukasz Warzecha

Jeżeli ktoś woli posługiwać się gotówką nawet przy poważniejszych transakcjach po prostu dlatego, że ceni sobie swoją prywatność, to powinien nadal mieć taką możliwość. Niestety, rząd zamierza mu ją odebrać. Dlaczego?

W połowie lutego ubiegłego roku napięcie między organizatorami protestu kierowców ciężarówek w Kanadzie przeciwko regulacjom covidowym a rządem w Ottawie sięgnęło zenitu. Trwał pat, premier Justin Trudeau publicznie uznawał protestujących za obywateli drugiej kategorii. Ci natomiast nie zamierzali – mimo coraz trudniejszych okoliczności i mrozu – opuścić blokowanych przez siebie ulic w centrum kanadyjskiej stolicy. Premier sięgnął wtedy po raz pierwszy w historii kraju po specjalną ustawę o stanach zagrożenia i na jej podstawie umożliwił policji zamrażanie środków finansowych osób powiązanych z protestem lub w nim uczestniczących. To był moment przełomowy. W ciągu tygodnia protest został rozbity, uczestnicy zatrzymani, ciężarówki odholowane.

Tak skuteczne działanie policji, wymierzone w finanse protestujących, było możliwe dzięki temu, że Kanada już dzisiaj jest krajem o bardzo rozbudowanym systemie transakcji bezgotówkowych. Do 2025 r. w ten sposób ma przebiegać 97 proc. transakcji w punktach sprzedaży. W 2016 r. do płatności gotówką przyznawało się wciąż ponad 45 proc. Kanadyjczyków. W roku 2020 płatności bezgotówkowe stanowiły natomiast 63 proc.

Kanada nie jest jednak na czele krajów, w których obywatele preferują bezgotówkowe formy płatności. Global Web Index przeprowadził w październiku 2020 r. badanie, obejmujące ponad 600 tys. osób w 46 państwach świata. Średnia dla całości badania to 60 proc. Kanada przebiła ją o osiem punktów i znalazła się na dziewiątym miejscu wspólnie z Danią i Holandią. Za to Polska zajęła miejsce na podium z 75 proc. Przed nami była tylko Korea Południowa (77 proc.), a za nami, na trzecim miejscu – Szwecja (74 proc.). Przy czym to w Kanadzie oficjalnie mówi się o ambicji zostania pierwszym na świecie krajem całkowicie bezgotówkowym.

CO ZAPISANO W POLSKIM ŁADZIE?

Nasz rząd aż tak ambitnych planów oficjalnie nie ogłasza, ale po cichu dąży do stopniowej eliminacji gotówki. Kolejne drastyczne ograniczenia rozliczeń gotówkowych, zapisane w Polskim Ładzie, miały zacząć obowiązywać już w tym roku, ale odsunięto je o 12 miesięcy. Limity są bardzo niskie: w rozliczeniach pomiędzy osobą fizyczną a przedsiębiorcą – czyli w praktyce przy każdym dokonywanym przez nas zakupie – mają wynosić 20 tys. zł i będzie to pierwszy raz, gdy taki limit dotknie zwykłych ludzi; pomiędzy przedsiębiorcami będzie to zaledwie 8 tys. zł.

Uzasadnienie jest to samo co zawsze: ma to ograniczać szarą strefę. Ten argument jest jednak mało przekonujący. Wprowadzając różne rozwiązania, takie jak choćby kasy fiskalne on-line, rząd PiS i tak bardzo już omijanie systemu ograniczył. Czy istnieją jakiekolwiek szacunki, mówiące o tym, co dodatkowo można osiągnąć poprzez tak radykalne kroki?

Można mieć podejrzenie, że nie chodzi tu wcale o uszczelnianie systemu, tylko o powiększenie zakresu kontroli nad obywatelami – co jest naturalną tendencją prawie każdej władzy centralnej. Im więcej transakcji bezgotówkowych i im niższe limity gotówki, tym łatwiej prześledzić działania obywateli. Zaledwie kilkanaście miesięcy temu Krajowa Administracja Skarbowa została wyposażona w budzący olbrzymie wątpliwości instrument: otrzymała prawo do wglądu w rachunki bankowe obywateli bez

eprasa.pl 5501c57294

postanowienia sądu. Wobec mnożących się niejasności z czasem sprecyzowano, że aby taki wgląd otrzymać, KAS będzie musiała wszcząć w sprawie danej osoby postępowanie przygotowawcze, ale to wciąż słabe pocieszenie. Takie postępowanie można wszcząć pod byle pretekstem – wystarczy byle jak umotywowane podejrzenie popełnienia przestępstwa karnoskarbowego – a potem, po uzyskaniu potrzebnych informacji, umorzyć.

Nie jest zaś tak, jak rutynowo przekonują niektórzy, że „uczciwi nie mają się czego bać". Nie mamy żadnego obowiązku ujawniać przed władzą wszystkich naszych zakupów, a jeśli chcemy je ukryć, to niekoniecznie dlatego, że łamią prawo. Jeżeli ktoś woli posługiwać się gotówką nawet przy poważniejszych transakcjach – po prostu dlatego, że ceni sobie swoją prywatność – to powinien nadal mieć taką możliwość. Niestety, rząd zamierza mu ją odebrać. Poza tym im więcej możliwości ingerencji w prywatność obywateli i inwigilacji, tym większa pokusa korupcyjna dla tych, którzy do takich informacji mają służbowy dostęp, a także dla rządzących, aby używać takich instrumentów przeciwko tym, którzy prawa nie złamią, ale ogólnie będą kłopotliwi. Niestety, obserwacja poczynań władzy – nie tylko zresztą w Polsce – wobec różnego rodzaju dysydentów nie pozwala ufać, że tego typu uprawnienia będą wykorzystywane jedynie w zbożnych celach.

NOWE NARZĘDZIE REPRESJI

Innym negatywnym skutkiem wypierania gotówki jest stworzenie nowego instrumentu represji – dokładnie tego, którego rząd Trudeau użył wobec niepokornych kierowców ciężarówek w czasie kanadyjskich protestów. Brak gotówki to możliwość zablokowania każdemu dostępu do jego pieniędzy.

Jednak są też skutki mniej wymierne, a nie mniej znaczące: pieniądz zostaje całkowicie oderwany od swojej realnej wartości i zamienia się w punkty przyznawane obywatelom. Proces odklejania pieniądza od jego wartości został zapoczątkowany mniej więcej w XVIII w., gdy pieniądze, złote czy srebrne, a więc będące naturalnymi nosicielami wartości kruszcu, z którego były zrobione, zaczęły zastępować bilety płatnicze. Wciąż jednak w normalnych warunkach pieniądz miał kotwicę w postaci parytetu złota. To skończyło się definitywnie po drugiej wojnie światowej wraz z ustanowieniem systemu z Bretton Woods. Odchodzenie od fizycznej waluty to kolejny etap, a może nawet duży skok na tej drodze.

Jednym z rezultatów może być znacznie większa skłonność do wydawania wirtualnych pieniędzy. Potwierdzają to eksperymenty. Znany badacz psychologicznych aspektów ekonomii Drazen Prelec, profesor w Sloan School of Management na prestiżowym Massachusetts Institute of Technology, przeprowadził w 1999 r. następujące doświadczenie. Dla studentów zorganizowano aukcję wyprzedanych już w normalnej sprzedaży biletów na mecze ligi NBA – czyli towar w USA niezwykle pożądany. Połowie uczestników powiedziano, że mogą zapłacić jedynie w gotówce, drugiej połowie – że w grę wchodzi tylko karta kredytowa. Okazało się, że należący do drugiej grupy byli gotowi licytować nawet dwukrotnie wyżej. A nie jest to jedyne tego typu doświadczenie. Pokazuje ono, że odejście od fizycznego pieniądza leży w interesie tych podmiotów, którym zależy na sprzedawaniu nam jak największej liczby towarów.

CYFROWE WALUTY. TO CEL?

Ostatecznym celem może być przejście na „central banks digital currency" (CBDC), czyli cyfrowe waluty banków centralnych. Oznaczałoby to całkowitą już eliminację fizycznego pieniądza. Prace nad elektroniczną walutą prowadzi wiele krajów na świecie, w tym również Unia Europejska. Pilotażowy program realizują m.in. Szwecja, Australia czy RPA. Najbardziej pouczająca i zarazem znacząca może być historia Nigerii – afrykańskiego państwa niezaliczanego jednak do upadłych czy będących w stanie rozkładu, jak Somalia albo RPA. Nigeryjska gospodarka funkcjonuje w miarę normalnie: jej PKB był na 31. miejscu na świecie w 2022 r., choć słabo wypada PKB per capita (145. miejsce).

W ubiegłym roku rząd w Abudży zaczął wprowadzanie eNairy, cyfrowej waluty, z planem przejścia na pieniądz stuprocentowo wirtualny. Mimo zastosowania różnych chwytów, zachęt, a ostatecznie drastycznych restrykcji w wybieraniu gotówki z banków i bankomatów Nigeryjczycy nie chcą się pogodzić z tą polityką, a przez kraj przetaczały się fale protestów.

Projekty stworzenia CBDC były zwykle uzasadniane tym, że na popularności zyskują kryptowaluty – będące przecież również pieniędzmi wirtualnymi – więc banki centralne muszą stworzyć dla nich alternatywę. To jednak mało przekonujące tłumaczenie. Kryptowaluty to wciąż domena promila obywateli, a więc nie bardzo wiadomo, dlaczego banki centralne miałyby z nimi konkurować. Poza tym natura tych dwóch projektów jest, wbrew pozorom, całkowicie odmienna, choć może to być na pierwszy rzut oka niedostrzegalne dla laików. W końcu w obu przypadkach nie mówimy o pieniądzu fizycznym.

Jednak w przypadku walut cyfrowych banków centralnych mowa jest o systemie punktów, emitowanych i kontrolowanych całkowicie przez te banki. Kryptowaluty to coś kompletnie odmiennego. Nie tylko nie ma nad nimi kontroli żadna centralna instytucja, lecz także ich fundamentem jest technologia tzw. blockchainu, która gwarantuje całkowitą prywatność. Mówiąc w ogromnym uproszczeniu, kryptowaluta posiadana przez daną osobę nie jest „zdeponowana" na jakimś koncie ani nawet na twardym dysku jej komputera, ale w zaszyfrowanej formie istnieje w rozproszonej cyberprzestrzeni. To zasadniczy powód, dla którego państwa zwalczają kryptowaluty: dają one faktyczną i niespotykaną niezależność od ich systemów finansowych, a także prywatność, choć oczywiście niosą też ze sobą ryzyko niestabilności czy braku jakichkolwiek instytucjonalnych gwarancji. To ryzyko ich posiadacze jednak akceptują.

W Polsce obrońcą gotówki okazywał się dotychczas prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński. W październiku 2021 r. media cytowały jego słowa, wygłoszone podczas otwarcia VII Kongresu Obsługi Gotówki: „Gotówka odgrywa kluczową rolę w systemie ekonomicznym, a jej eliminacja byłaby działaniem sprzecznym ze społecznymi oczekiwaniami". Na razie jednak szef NBP nie odniósł się do planów radykalnego ograniczenia limitów płatności gotówkowych, począwszy od 2024 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Unia złych interesów

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Urzędnicy Komisji Europejskiej omawiali z przedstawicielami wielkich koncernów spoza UE, jak sztuczkami prawnymi pozbyć się z rynków polskiego produktu do przewożenia dzieci w samochodzie. Czy uda im się zniszczyć polskich przedsiębiorców?

O tej bulwersującej sprawie pisaliśmy już dwa lata temu („Jak to się robi w UE", „Do Rzeczy" nr 7/2021). Wskazaliśmy wówczas, że Polacy z firmy Smart Kid SA opracowali system Smart Kid Belt pozwalający przewozić dzieci w samochodzie, który jest dużo tańszy od fotelików. Wówczas nagle na poziomie ONZ zaczęto zmieniać regulacje, tak by polski produkt z rynku wykluczyć. Gdy to się nie powiodło, Komisja Europejska uruchomiła dyrektywę pozwalającą krajom członkowskim wycofywać homologację dla polskiego urządzenia – nawet zanim ta mogła w ogóle być wykorzystana w porządku prawnym. Ostatecznie z tego Komisja się sama wycofała.

Teraz wyszły na jaw kulisy tego, jak w rzeczywistości wyglądają próby wyrugowania polskiej innowacji z rynków. Polscy przedsiębiorcy zmusili Komisję Europejską do ujawnienia wymiany informacji w ich sprawie. Okazało się, że urzędnicy KE w wiadomościach e-mail omawiali z przedstawicielami potentatów na rynku fotelików samochodowych, jak można zablokować ich polską konkurencję. Byli to przedstawiciele firm spoza UE, a sprawą zajmowali się urzędnicy DG GROW – komórki w Komisji Europejskiej, której celem ma być dbanie m.in. o mniejszych europejskich przedsiębiorców.

„NIEBEZPIECZEŃSTWO" I POPRAWKI W PRAWIE

Krucjata przeciw polskiej firmie zaczęła się od wiadomości wysłanych do holenderskiego organu zatwierdzającego homologacje – RWD. Przedstawiciel tej jednostki 18 kwietnia 2018 r. zaalarmował Komisję Europejską, twierdząc w wysłanej wiadomości, że polski produkt został „nieprawidłowo homologowany". Załączył swoją poprzednią korespondencję w tej sprawie i widać w niej, że Holendrów zawiadomił przedstawiciel firmy Britax – dużego producenta fotelików samochodowych dla dzieci z Wielkiej Brytanii.

Tak się złożyło, że w DG GROW sprawą zajął się Peter B., który – jak wynika z jego profilu w portalu LinkedIn – wcześniej pracował w holenderskim RWD. „Analiza" sprawy zajęła urzędnikowi dokładnie 53 minuty. Po takim czasie bowiem wysłał e-mail do Stałego Przedstawicielstwa RP, żądając wyjaśnień. Wiadomość zatytułował „Niebezpieczny CRS [urządzenie przytrzymujące dziecko w aucie – przyp. red.] zatwierdzony przez Polskę". W treści wiadomości polski produkt określił jako „ekstremalnie niebezpieczny". Wiadomo dziś, że nie dysponował wówczas żadnymi dowodami na „niebezpieczeństwo" – nikt nie przeprowadził ani testów, ani badań na to wskazujących.

Polski Transportowy Dozór Techniczny szczegółowo wyjaśnił urzędnikowi KE podstawy homologacji udzielonej Smart Kid Belt. Polacy podkreślali, że została udzielona prawidłowo. Peter B. przyjął to do wiadomości, ale w odpowiedzi do TDT pozwolił sobie dopisać m.in., że „przemysł nie jest tym zachwycony". To szokujące zdanie. Tak samo, jak bezpośrednia wymiana e-maili Petera B. z przedstawicielem firmy Britax.

Człowiek z brytyjskiego koncernu żalił się bowiem przedstawicielowi DG GROW, że sam próbował interweniować w Polsce w sprawie homologacji, ale nic nie

eprasa.pl 5501c57294

uzyskał. W odpowiedzi wysłanej 9 września 2019 r. Peter B. polski Smart Kid Belt nazwał „ustrojstwem" i zasugerował: „powinniśmy przygotować poprawkę" w regulaminie homologacyjnym, która pozwoli „natychmiast zabronić sprzedaży". Urzędnik podpowiadał też, że w regulaminie powinno się dodać „obrazki" do definicji, żeby wskazać, jak taka zabroniona rzecz wygląda.

Przedstawiciel Britax po pół godzinie w odpowiedzi e-mailowej podchwycił tę propozycję. „Prawdopodobnie lepszym pomysłem jest przygotować poprawkę [do regulaminu – przyp. red.], która wyeliminuje takie rzeczy, niż próbować przekonać administrację". Pracownik koncernu fotelikarskiego w tej wiadomości zaproponował nawet, jak zapis powinien wyglądać – to zdanie, które mówi wprost, że takie systemy jak Smart Kid Belt nie mogą samodzielnie uzyskiwać homologacji jako systemy przytrzymujące dzieci w samochodach.

Niedługo po tej wymianie e-maili 26 września 2019 r. Komisja Europejska wniosła pod obrady grupy roboczej GRSP w UNECE (ciała ONZ, które ustala regulaminy, na podstawie których przyznawana jest homologacja m.in. dla urządzeń przytrzymujących dzieci w samochodach) projekt zmiany Regulaminu EKG. Poprawka mówiła o tym, że urządzenia takie jak Smart Kid Belt zostają zakazane bez względu na to, jak dobrze przeszły testy zderzeniowe, oraz bez względu na homologację i zawierała… obrazki, na których polski produkt zestawiono z paskiem do zapinania dzieci innej produkcji.

Poprawkę przegłosowano podczas sesji grupy roboczej GRSP w dniach 10–13 grudnia 2019 r. W tych dniach trwała też wymiana e-maili w sprawie brzmienia tej poprawki. Wiadomości wymieniali między sobą – oprócz przedstawiciela Britax – także pracownicy innych gigantów branży fotelikarskiej, również spoza Europy: Cybex (chińska grupa kapitałowa), Newell Brands (amerykańska grupa kapitałowa), Dorel (kanadyjska grupa kapitałowa).

PANICZNE SZUKANIE „DOWODÓW"

To był moment, w którym przedstawiciele polskiej firmy dopiero zorientowali się, że trwają zabiegi mogące zniszczyć ich firmę. Poprosili wówczas o spotkanie z urzędnikiem DG GROW Komisji Europejskiej.

Peter B. w tym czasie – 21 lutego 2020 r. – wysłał e-mail do przedstawicieli firm Britax, Dorel, Cybex, Newell oraz do prywatnej organizacji konsumenckiej Consumentbond z Holandii, pisząc: „Wyciągam do Was rękę po pomoc". Przyznaje, że ma spotkanie z firmą Smart Kid SA, której przedstawiciele „nie są zadowoleni i chcą tym się podzielić z moimi przełożonymi". Następnie Peter B. prosił przedstawicieli koncernów fotelikarskich o „dowody" na to, że Smart Kid Belt nie spełnia norm wymaganych podczas testów zderzeniowych. To oznacza, że już po przeforsowaniu przepisów bijących w polski produkt nie miał wystarczających danych potwierdzających to, iż jest on „niebezpieczny".

I takie dowody trudno było znaleźć. 21 lutego 2020 r. do producentów fotelików oraz urzędników Komisji Europejskiej wiadomość wysłała przedstawicielka IDIADA – laboratorium i władz homologacyjnych w Hiszpanii. Przyznawała w niej, że testowali tam Smart Kid Belt i „rezultaty testów dynamicznych były dobre".

Z kolei 8 maja 2020 r. przedstawiciel firmy Cybex w wiadomości do urzędników KE i m.in. innych producentów fotelików wyznał, że nie posiada testów Smart Kid Belt, które dowodziłyby, że to „niebezpieczny" produkt. „Moglibyśmy spróbować coś zorganizować, ale robiąc to, ryzykujemy uwiarygodnienie produktu jako urządzenia przytrzymującego dla dzieci" – czytamy w tej wiadomości.

W tym momencie wiadomości Petera B. zaczynały brzmieć rozpaczliwie. 8 maja 2020 r. urzędnik KE pisał: „Strasznie mi przykro, że muszę Was o to prosić, i naprawdę żałuję, że to robię: Czy macie jakieś niezbite dowody na to, że Smart Belt Kid jest całkowicie bezpieczny lub całkowicie niebezpieczny?". Wiadomość ta została wysłana do tego samego grona z wielkich firm. Trzy dni później B. alarmował, że „sprawy nie idą gładko" i KE raczej będzie musiała wycofać się ze swojej poprawki. W tej wiadomości także prosi o jakiekolwiek dowody na to, że polski produkt jest wadliwy. „[…] czy są dostępne jakieś dane/dowody dotyczące przebiegu testu FMVSS 213 bez żadnego urządzenia i jakie były wyniki? Inna możliwa informacja, jeśli test dynamiczny zostanie przeprowadzony z przetwornikiem obciążenia na taśmie prowadzącej, jakie obciążenie zobaczymy? Czy ktoś to zrobił? Jeśli jest to obciążenie znikome, to co można obiektywnie stwierdzić? A co w przypadku znacznego obciążenia…? Czy to w ogóle czegoś dowodzi?" – dopytywał.

Potem, jeszcze w innej wiadomości – z 13 maja 2020 r. – pisząc w sprawie Smart Kid Belt do Japonii, ostrzegał przed polskim produktem i zaznaczał: „Ale nie mogę jasno udowodnić, że to jest urządzenie niebezpieczne".

CZY EUROPOSŁOWIE OCALĄ POLSKĄ FIRMĘ?

Sprawę polskiego produktu grupie lobbującej przeciw niemu udało się „rozwiązać" prawnie. Niebawem w życie wejdzie nowy regulamin – Regulamin 129. Zakłada on takie warunki homologowania, które w ogóle wykluczają możliwość badania urządzeń niebędących fotelikami lub podkładkami.

Z kolei inna poprawka prawna nr 17.24 (zaproponowana przez Petera B.) da każdej ze stron Porozumienia z 1958 r. ONZ możliwość zakończenia uznawania poprzedniego Regulaminu 44 – a wraz z nim zakończenia uznawania homologacji uzyskanych na jego podstawie. Mówiąc krócej: po 1 września 2023 r. każdy kraj będzie mógł uznać, że nie uznaje już Regulaminu 44 i nie uznaje homologacji, które według niego uzyskali producenci. Koncerny fotelikowe będą więc mogły przeprowadzić kolejne testy według Regulaminu 129, ale Polacy ze Smart Kid Belt już nie.

Gdy sprawa zaczęła być głośna, Komisja Europejska postanowiła w Europie odsunąć wejście w życie poprawki 17.24 – zatem kraje UE będą mogły przestać uznawać homologacje takie, jaką ma Smart Kid Belt, od września 2024 r.

Oprócz Petera B. w korespondencję dotyczącą wykluczenia ze sprzedaży polskiego produktu zaangażowanych było jeszcze dwoje innych urzędników DG GROW – jego przełożona, Polka – Joanna Sz. oraz Antony L. Żaden z nich nie pracuje już w tej komórce KE, wszyscy pracują w innych wydziałach.

Sprawą zakulisowych prób wyeliminowania produktu z europejskiego rynku zajęli się europosłowie. W kwietniu omawiana będzie ona na Komisji Petycji Parlamentu Europejskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Agresywni młodzi

Tomasz Rowiński

Pobicie 14-latka przez grupę rówieśników w Pruszkowie ożywiło zetlały nieco już temat przemocy wśród polskiej młodzieży szkolnej. Jeśli ktoś myślał, że problem ten zniknął, to był w błędzie. Raczej jako społeczeństwo odwróciliśmy od niego oczy

FOT. ADOBE STOCK

Bicie, kopanie, przypalanie papierosem i poniżanie polegające na nakłanianiu do klękania przed prześladowcami oraz przymuszanie do całowania butów. Wszystko w atmosferze dobrej zabawy. To zobaczyliśmy na nagraniu, które zarejestrowali nastoletni oprawcy z Pruszkowa.

W akcie przemocy wzięło udział trzech chłopaków i trzy dziewczyny. O wydarzeniu prawdopodobnie nikt by się nie dowiedział, gdyby nie to, że dziś w każdym telefonie znajduje się także aparat fotograficzny z kamerą, a grupa napastników z jakiegoś powodu uznała, że zarejestrowanie własnych, karygodnych wyczynów jest dobrym pomysłem.

Zanim doszło do zatrzymań, sprawa stała się głośna w mediach społecznościowych, do których nagranie wyciekło. Wielu użytkowników, udostępniając je, oznaczało profile policyjne. W kolejnej fazie popularności film udostępniano razem z wpisem jednej z uczestniczek zdarzenia, w którym prosiła, by nie podawać dalej w mediach jej wizerunku i danych, ponieważ ona „tylko nagrywała". Jak istotna dla sprawy okazała się swoista autodenuncjacja młodocianych agresorów, pokazuje to, że do zatrzymań doszło dopiero w marcu. Ostatni z uczestników spotkał się oko w oko z funkcjonariuszami policji dwa tygodnie po zajściu – w niedzielę 12 marca.

– Trzy osoby są nam znane, w tym miesiącu miały również dokonać pobicia innej osoby małoletniej. Były już wcześniej prowadzone czynności z tymi osobami. Jedna z nich sama zgłosiła się do komendy, cztery zostały zatrzymane w miejscu zamieszkania, jedna nie przebywała w miejscu zamieszkania i to ona została zatrzymana jako ostatnia – powiedział rzecznik stołecznej policji nadkom. Sylwester Marczak. Rzecznik dodał także, że „zabezpieczone zostały kolejne nagrania, z których wynika, że nie było to jedyne zdarzenie, w którym brali udział zatrzymani".

W poniedziałek 13 marca Sąd Rejonowy w Pruszkowie przychylił się do wniosku policji, by zastosować wobec sześciorga agresorów w wieku od 14 do 16 lat środek zapobiegawczy w postaci umieszczenia ich na trzy miesiące w schronisku dla nieletnich. Jednocześnie wszczęte zostały postępowania w dwóch sprawach.

ŚMIERĆ ERYKA

Pod koniec lutego doszło do głośnej zbrodni w centrum Zamościa, gdzie ze skutkiem śmiertelnym pobity został 16-letni Eryk. W zbrodni wzięło udział dwóch 16-latków, 17-latek i 16-latka, która została zatrzymana dopiero po tygodniu. Po zebraniu dowodów postawiono jej zarzut pomocnictwa w pobiciu. Siedemnastolatek został aresztowany i grozi mu 25 lat więzienia, pozostałych troje przebywa w schronisku dla nieletnich. Jak podała na początku marca Polska Agencja Prasowa, „przyczyną pobicia było rzekome rozpowszechnianie wiadomości na terenie szkoły o jednej z osób zatrzymanych". Miało chodzić o pierwotnie zwolnioną przez policję 16-latkę. Według relacji matki chłopca nie sprawiał on żad-

eprasa.pl 5501c57294

nych kłopotów wychowawczych, po prostu znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Prawdopodobnie rozpowiadano na jego temat informacje, które stały się dla napastników pretekstem do ataku.

O jeszcze jednej sprawie, nieco innego rodzaju, ale też z udziałem nastolatków, poinformowała 14 marca policja z warszawskiego Ursynowa. Dwóch 14-latków terroryzowało okolicę za pomocą atrapy broni. Dla uzyskania lepszego efektu obaj chłopcy, idąc na akcję, ubierali się na czarno i zakładali kominiarki. Po zatrzymaniu, według informacji przekazanej mediom przez policję, zostali rozpoznani jako sprawcy różnych aktów wandalizmu, trwających w okolicy ul. Szolca-Rogozińskiego od dwóch lat. Ostatnie napady rabunkowe, których się dopuścili, skierowane były przeciwko ich rówieśnikom spotykanym na ursynowskich ulicach. „Na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego policjanci z mokotowskiego wydziału do spraw nieletnich i patologii w obecności rodziców przesłuchali osoby nieletnie w charakterze nieletnich sprawców czynów karalnych, do których popełnienia się przyznali. Zostały im przedstawione zarzuty popełnienia ośmiu czynów karalnych. Decyzją sądu rodzinnego 14-latkowie zostali objęci tymczasowym nadzorem kuratora sądowego" – powiedziała PAP asp. Iwona Kijowska.

CYBERPRZEMOC TO NIE WSZYSTKO

W ostatnich latach sporo się pisze o różnych formach przemocy, która wiąże się z rozwojem technologii i mediów społecznościowych. W tych kontekstach chodzi przede wszystkim o psychiczną cyberprzemoc, która jest już interesująco opisana i sklasyfikowana. W omówieniach problemu pojawiły się nieznane wcześniej kategorie, takie jak flaming, czyli „agresywna wymiana zdań, np. na czacie lub w ramach grupy dyskusyjnej", happy slapping – „prowokowanie lub atakowanie innej osoby i dokumentowanie wydarzenia w postaci zdjęć lub filmu oraz upublicznienie nagrań lub zdjęć w Internecie", outing – „udostępnianie prywatnych materiałów ofiary, np. zdjęć". Szerzej o tych sprawach można przeczytać np. w raporcie Instytutu Badań Edukacyjnych „Przemoc w polskiej szkole. Jak naprawdę wygląda?".

Raport IBE z 2014 r. bazuje na badaniach datowanych na lata 2009–2012. Inne opracowanie – „Agresja i przemoc szkolna. Raport o stanie badań" – także pochodzi sprzed dziewięciu lat.

Nowsze publikacje często skupiają się na problemie cyberprzemocy, która jest dziś zjawiskiem bardziej nośnym i interesującym niż pobicia czy zastraszenia. Nie znaczy to jednak, że „stara" zła przemoc, znana wszystkim, którzy chodzili do szkół w epoce przedcyfrowej, zniknęła. Ciekawy naukowy artykuł na ten temat w „Kwartalniku Policyjnym" opublikował dr hab. Eugeniusz Moczuk. Wynika z niego, że tylko 24 proc. badanych uczniów stwierdziło, iż nie zetknęło się z przypadkami przemocy starszych uczniów wobec młodszych. Badanie przeprowadzono w szkołach powiatu mieleckiego. Jednocześnie ok. 18 proc. biorących udział w sondażu uczniów przyznało się, że „zdecydowanie" lub „raczej" doświadczali w przeszłości przemocy rówieśniczej. Artykuł „Zjawisko przemocy w szkole jako problem społeczny w świetle badań empirycznych w szkołach powiatu mieleckiego" również ukazał się już wiele lat temu, bo w 2015 r. Od tego czasu polska szkoła została przeorana kolejnymi reformami; zniknęły gimnazja, mieliśmy krótkotrwały projekt posyłania do szkół sześciolatków, a także okres reżimu sanitarnego związanego z pandemią COVID-19. Potrzebne jest nowe i szersze zainteresowanie tematem.

Interesujące – i jednocześnie niepokojące – dane, bliższe nam czasowo, można znaleźć w opracowaniu Kingi Poszwy i Dominiki Myślińskiej zatytułowanym „Analiza zjawiska przemocy rówieśniczej – teoria i badania własne", które ukazało się na łamach pisma „Dziecko Krzywdzone. Teoria, badania, praktyka" (vol. 19, nr 4, 2020). Podstawą tekstu były badania, które „objęły 500 uczniów szkół podstawowych z różnych województw w Polsce".

Według informacji podanych przez badaczki aż 49 proc. chłopców, którzy wzięli udział w analizie, stwierdziło, że doświadczyło przemocy w szkole lub w jej otoczeniu. Takiej samej odpowiedzi udzieliło 32 proc. dziewcząt. Oznacza to, że średnio aż 42 proc. testowanej młodzieży doświadczyło przemocy w kontekście szkolnym. Choć według badań wśród uczniów dominuje przemoc słowna, to wielu uczniów (od kilkudziesięciu do blisko 200 z 500 badanych) zadeklarowało, że doświadczyło rozboju, pobicia, straszenia pobiciem, kradzieży, wyłudzania pieniędzy, niszczenia rzeczy, zabierania jedzenia, kopania. Obiektem zaczepek oraz szturchania stało się ponad 350 z 500 badanych uczniów.

ERA FREAK FIGHT

Dane podane przez Marzenę Buchnat w artykule „Agresja i przemoc szkolna doświadczana przez uczniów i uczennice z lekką niepełnosprawnością intelektualną w trzech formach kształcenia. Studium różnicy płci" wskazują, że skala doświadczanej przez uczniów przemocy jest jeszcze większa i dotyczy aż 51 proc. chłopców i 39 proc. dziewcząt. Według szacunków podanych przez badaczkę nawet 30 proc. uczniów może być ofiarami przemocy fizycznej. W dodatku 15 proc. młodzieży deklaruje, że sytuacje przemocowe mają miejsce przynajmniej raz w tygodniu.

Nietrudno usłyszeć opinię, że przemoc rówieśnicza czy przemoc w szkołach jest czymś normalnym, ponieważ była tam zawsze. Trudno się zgodzić z taką postawą choćby dlatego, że na krzywdzenie nie powinno być nigdy przyzwolenia, a także dlatego, że przemoc panująca wśród młodych jest – fragmentarycznym, ale jednak – obrazem społeczeństwa, które tworzymy. Mówi o naszych rodzinach, o przekazywanych wzorcach, także o porażkach wychowawczych w skali mikro i makro. Pruszkowska szajka nękająca kolegę poniesie zapewne karę, a społeczeństwo będzie miało przez chwilę poczucie satysfakcji. Nie zmieni to jednak w żaden sposób sytuacji młodych ludzi każdego dnia doświadczających zagrożenia w miejscu, które nieraz bywa dla ich formacji ważniejsze niż dom.

Czego możemy się jednak spodziewać w czasach, gdy brutalne freak fighty zaczęły kształtować masową wyobraźnię, gdy lewicowy publicysta ogłasza, że racje merytoryczne chętnie rozstrzygnie w oktagonie, a równie lewicowa działaczka mówi, że MMA w klatce to nie przemoc? Można się spodziewać, że rejestrowanie przemocy, a także jej inspirowanie w celu rejestracji stanie się coraz powszechniejsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Zuzanna Dąbrowska

Marianna w kamaszach

Po próbie podboju światów modelingu oraz polityki Marianna Schreiber poszła do wojska. Choć niewielu wróżyło, że wytrwa, to wytrwała. Pobyt w armii jest na razie najbardziej udanym „projektem" kontrowersyjnej 30-latki

Marianna Schreiber początkowo chciała wstąpić do Wojsk Obrony Terytorialnej, ale ostatecznie postanowiła zostać żołnierzem zawodowym

FOT. MARIANNA SCHREIBER/FACEBOOK

Marianna Schreiber z dumą przypina naszywkę ze swoim nazwiskiem do munduru i pyta internautów, czy ich zdaniem po zbliżającej się przysiędze wojskowej zostanie w Wojsku Polskim – to jedno ze świeższych nagrań, udostępnionych w mediach społecznościowych przez żonę ministra Łukasza Schreibera. „Wszystkie 5 strzałów na 5 trafione. Cel ukazujący się 5 razy na 30 sekund. Okopałam się. 180 x 60, głębokość 60 cm w 20 minut. Każdego dnia silniejsza" – relacjonowała na Twitterze. Od 20 lutego założycielka partii Mam Dość 2023 brała udział w ćwiczeniach wojskowych jako kandydatka na żołnierza dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej. Szkolenie odbyła w stołecznym Pułku Ochrony im. gen. dyw. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego.

Jak to się stało, że aspirująca celebrytka polityczna trafiła do wojska? W grudniu wybuchła dyskusja na temat rzekomej fali powołań do armii. Wielu twierdziło, że władze przeprowadzają potajemną mobilizację, co było nieprawdą. Wtedy to żona ministra Schreibera oburzyła się w mediach społecznościowych na mężczyzn, którzy nie chcą bronić kraju. Zadeklarowała, że jeśli jej wpis na Twitterze zbierze 2 tys. serduszek (czyli polubień), to ona sama zgłosi się do odbycia służby. Internauci szybko okazali swoją wolę, a Marianna rozpoczęła publiczne przygotowania do szkolenia wojskowego. Początkowo chciała wstąpić do Wojsk Obrony Terytorialnej, ale ostatecznie postanowiła zostać żołnierzem zawodowym.

TRUDNE POCZĄTKI

Nie od początku 30-letniej aktywistce było łatwo. Po pierwszych dniach wyda-

eprasa.pl 5501c57294

wało się wręcz, że Schreiber zrezygnuje. „Mówiłam Wam, że pierwszy dzień w wojsku był trudny. Myliłam się. Ten ciężki dzień nadszedł dzisiaj (3. dzień). Nie wszyscy wytrzymują. Jest poziom level hardest. Osoby, które liczyły na to, że ktoś tu w wojsku będzie próbował mnie złamać psychicznie, da wycisk – wygrały 1:0 […]. Dawno tak mnie nikt nie »orał«. Może dam radę? Proszę o gromy wsparcia. Służyć Ojczyźnie piękna rzecz, ale jaka ciężka" – opisywała „Marysia". Jednak im dalej w las, tym było lepiej. „Wojsko Polskie to moje miejsce. Polska to mój dom. Służyć Polsce to zaszczyt. Wielka duma. Jestem wdzięczna. Jestem Polką, jestem patriotką, jestem żołnierzem Wojska Polskiego. Za Polskę oddałabym życie" – zapewniała celebrytka. „Kurs oficerski? Tak. Będę myślała nad tym. Myślę, że w pewnej mierze jestem przykładem na to, iż granice są tylko w naszej głowie. Sama przekonuję się o tym każdego dnia" – stwierdziła Schreiber, zachwalając przy tym nowe umiejętności pozyskane dzięki wojsku. „Zajęcia na poligonie to świetne doświadczenie w dobrowolnej zasadniczej służbie wojskowej. Wiadomo, nie zawsze jest lekko, ale… jakie przeżycia! Deszcz, śnieg, nauka praktyczna. Dałyśmy radę! Poznałam tu naprawdę strongwoman". I choć niektórych kłuło w oczy, że 30-latka zamiast skupiać się wyłącznie na szkoleniu, ma czas na relacjonowanie swoich przeżyć w social mediach, to trudno jej odmówić pewnej racji. „Zwracam się do wszystkich osób publicznych, które szydzą z tego, że jestem w wojsku – myślę, że jednego dnia byście tutaj nie przeżyli dobrowolnie. Co jak co, ale za tweetami z kanapy stoją odważni ludzie, których ta odwaga by się skończyła po przekroczeniu bramy koszar. Nie plujecie już na celebrytkę, tylko na mundur. Być może w sytuacji zagrożenia to właśnie ja będę chronić Was, a nie odwrotnie" – podsumowała krytyczne opinie.

– Pierwszym etapem w budowaniu marki osobistej jest uzyskanie rozgłosu. Rozgłos zyskuje się, robiąc coś niestandardowego. Im coś jest bardziej szokujące i nietypowe, tym większy rozgłos. I ten pierwszy etap Mariannie Schreiber całkiem dobrze się udaje – mówi „Do Rzeczy" dr Sergiusz Trzeciak, ekspert ds. wizerunku publicznego, autor książek i podcastu „Szlak Trafił". – Drugi etap to budowanie reputacji. Pytanie, na jakiej reputacji jej zależy. Jeśli chce być postrzegana jako osoba nieprzewidywalna, to raczej widziałbym obecną postawę Schreiber jako punkt wyjścia do bycia celebrytką, nie poważnym politykiem – ocenia dr Trzeciak.

SCHREIBER SHOW

Przypomnijmy, że Schreiber jest założycielką Partii Mam Dość 2023, której rys ideowy został określony jako centrowo-prawicowy. W programie ugrupowania czytamy, że najważniejsze postulaty do szybkiej realizacji (po wygranych wyborach – to, rzecz jasna, jest w domyśle) to m.in. obniżenie inflacji, uporządkowanie wynagrodzeń nauczycieli oraz zabezpieczenie rodzin wielodzietnych przed biedą. Trzeba jednak napisać wprost – niewielu politologów i publicystów daje założonej w maju 2022 r. partii szansę na prawdziwy polityczny sukces. Inicjatywa jest traktowana w kategorii happeningu politycznego. I to mimo że wsparcie dla formacji Schreiber zadeklarował były prezydent Lech Wałęsa, a w sondażu przeprowadzonym wkrótce po założeniu partii Mam Dość 2023 uzyskała ponad 2 proc. poparcia (więcej niż Porozumienie, kierowane jeszcze wtedy przez Jarosława Gowina).

– Droga od osoby znanej, celebryty, do polityka jest prostsza w przypadku osób, które osiągnęły konkretny sukces, np. byłego mistrza sportowego lub znanego muzyka. Takie postaci są chętnie zapraszane na listy wyborcze – wskazuje dr Sergiusz Trzeciak. Ekspert ds. wizerunku zaznacza, że działanie Marianny Schreiber, czyli pójście do wojska w efekcie głosowania internautów, przypomina reality show, w którym bohater robi to, czego życzą sobie widzowie. – Ona poszła do wojska pod wpływem głosowania internautów. To świadczy o tym, że Schreiber jest mocno skupiona na robieniu show ze swojego życia. Jeśli chce być celebrytką, to taka strategia może jej przynieść sukces. Będzie się przekładać na zasięgi w Internecie, a nawet kontrakty reklamowe – z zastrzeżeniem, że będzie reklamowała produkty firm bardziej skłonnych do ponoszenia ryzyka. Nie każda marka chce się wiązać z osobą nieprzewidywalną – zaznacza rozmówca „Do Rzeczy". Nawiązując jeszcze do politycznych aspiracji 30-latki, ekspert dodaje, że nie jest wykluczone, iż mogłaby ona ewentualnie w przyszłości startować z listy partii „zewnętrznej" – czy to w wyborach samorządowych, czy parlamentarnych. Natomiast szanse na powodzenie projektu politycznego firmowanego twarzą Marianny Schreiber są znikome.

Jednostka, w której szkoliła się na żołnierza żona ministra w rządzie PiS, nie komentowała całej sprawy. Przełożeni „Marysi" zakazali jej też oficjalnie udzielania wywiadów w trakcie odbywania szkolenia. Pytanie, na ile osoba znanej ministrowej wpłynie pozytywnie na wizerunek Wojska Polskiego. – Paradoksalnie może być tak, że pod wpływem wpisów Marianny Schreiber część osób pomyśli: „A może ja też spróbuję?". Czasami nawet taka forma promocji może zachęcić fanów danej osoby do naśladowania jej działań. To, że Schreiber opisuje trudy bycia w armii, koresponduje z ogólnym postrzeganiem wojska przez społeczeństwo, więc pesymistyczne wpisy, które niekiedy zamieszcza, nie powinny nikogo od służby wojskowej odstraszyć – przekonuje dr Trzeciak. Ekspert ds. wizerunku nie spodziewa się jednocześnie, że nagle, za sprawą Marianny Schreiber, Polacy zaczną masowo zapisywać się do armii. – Pospolitego ruszenia nie będzie – podsumowuje. Tymczasem sama zainteresowana udostępniła na Twitterze wiadomość od obserwatora, który wiedziony przykładem Schreiber postanowił pójść do armii.

JEDNO JEST PEWNE

Po zakończeniu szkolenia wojskowego „Marysia" będzie mogła w końcu zacząć rozmawiać z mediami, co zapewne z radością zrobi. Już wcześniej nie stroniła od wywiadów (rozmowę przeprowadziła z nią Monika Jaruzelska, której kanał w serwisie YouTube subskrybuje ponad 120 tys. osób).

W miniony weekend Marianna Schreiber miała złożyć przysięgę wojskową. Na razie nie wiadomo, czy rzeczywiście zostanie w armii czy jednak wybierze inną drogę. Pewne jest, że cokolwiek zrobi, pokaże to internetowej publiczności. Jednak obok ewidentnej potrzeby parcia na szkło żonie ministra nie można odmówić dwóch rzeczy – wytrwałości i bycia osobą dotrzymującą słowa. Odbycie szkolenia wojskowego pozwoliło zbudować Schreiber pewien kapitał. Pytanie, czy da radę zbyt szybko go nie roztrwonić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Z dr. Michałem Laszczkowskim,
p.o. dyrektorem Narodowego Instytutu Konserwacji Zabytków
rozmawia Radosław Wojtas

Zabytki to nie obowiązek. To szansa

Klasztor w Lubiążu jest drugim co do wielkości w Europie obiektem klasztornym. To zabytek większy od Wawelu. Od lat fundacja próbuje go ratować, ale skala inwestycji jest ogromna

FOT. ADOBE STOCK

RADOSŁAW WOJTAS: Na Ukrainie zarejestrowano już kilkaset przypadków zniszczeń dokonanych przez Rosjan na obiektach dziedzictwa kulturowego Ukrainy. Cerkwie, muzea, pomniki... Kiedy chce się zniszczyć naród, niszczy się jego kulturę. A więc i zabytki.

DR MICHAŁ LASZCZKOWSKI: Atak Rosji na Ukrainę uzmysłowił nam, że nasze poczucie bezpieczeństwa jest tak naprawdę czymś iluzorycznym. Przez kilkadziesiąt lat wydawało nam się, że wojna jest pojęciem albo odległym, albo historycznym, aż tu nagle bomby zaczęły spadać kilkadziesiąt kilometrów od naszej granicy. Działania Rosjan uświadomiły nam również, jak duże znaczenie mają zabytki dla kształtowania tożsamości każdego kraju, każdego narodu. Zabytki na Ukrainie niszczone są w sposób systemowy, bo jest to walka nie tylko o terytorium i wpływy, lecz także o duszę narodu ukraińskiego. Zabytki jako nośnik tożsamości okazały się czymś, co stanowi zagrożenie dla realizacji imperialnej polityki Rosji.

W myśl zasady stosowanej przez zbrodniarzy od wieków, a nazwanej przez Josepha Goebbelsa: „Odbierzcie narodowi jego kulturę, a przestanie istnieć jako naród".

Myślę, że to właściwy kontekst, by sięgnąć po ten cytat. Nasza część Europy była niszczona w podobny sposób regularnie w zasadzie od potopu szwedzkiego. Tym bardziej powinniśmy kultywować swoją odrębność i w okrojonym przez wojny zasobie obiektów historycznych szukać tego, co warto chronić i przekazywać kolejnym pokoleniom. W dzisiejszym tak szybko zmieniającym się świecie zabytki są kotwicą osadzającą nas w tradycji, pomagającą rozumieć, skąd pochodzimy i kim jesteśmy.

Być może to doświadczenia historyczne Polaków wpływają na to, że bardzo jednoznacznie oceniamy niszczenie zabytków. W badaniach IPSOS dla Narodowego Instytutu Konserwacji Zabytków 91 proc. respondentów uznało, że „niszczenie zabytków jest aktem zbrodniczym". Mocne.

To prawda. Badania pokazały, że zabytki są dla nas ważne i że jest duże oczekiwanie społeczne, by je chronić. Polacy bardzo lubią obcować z zabytkami. Jako swój udział w kulturze najwięcej, bo 22 proc., osób wskazało uczestniczenie w koncertach muzyki rozrywkowej, obcowanie z zabytkami było drugą najczęściej udzielaną odpowiedzią z wynikiem 20 proc. Ale mamy i drugą stronę medalu ukazaną w tych badaniach.

Jaką?

Polacy nie do końca wiedzą, co powinno się traktować jako zabytek. Zamek Królewski na Wawelu, Łazienki Królewskie czy Zamek Królewski w Warszawie to obiekty bezspornie postrzegane jako zabytki, mimo że ten ostatni obiekt został odbudowany. Stary kościół – zabytek. Ruiny zamku – zabytek. Ale już przedwojenna kamienica nie zawsze jest tak postrzegana. Z badań wyłania się taka zasada: jeżeli ktoś mieszka w domu, który ma 300 lat, to jest to dla tej

eprasa.pl 5501c57294

osoby jego dom, a nie żaden zabytek. No i nie traktuje go, jak powinno się traktować zabytkowy obiekt. Tu jest pewien paradoks: z jednej strony jesteśmy dumni z historii, czujemy do niej sentyment i chcemy, by zabytki przetrwały, a z drugiej – często sami je niszczymy, bo nie do końca rozumiemy, czym zabytek jest.

I ja się temu niespecjalnie dziwię, kiedy np. zaglądam do aktów prawnych i znajduję zapisy w stylu: „zabytek niebędący zabytkiem".

I tutaj jako przedstawiciel ludzi kultury zajmujących się zabytkami muszę uderzyć się w piersi. Stworzyliśmy metajęzyk, który rzeczywiście jest niezrozumiały dla większości Polaków. Stosujemy różne pojęcia, których ludzie nie rozumieją. Mówimy o rekonstrukcji, konserwacji, renowacji, restytucji, odbudowie, a dla ludzi to wszystko jest w zasadzie jednym i tym samym. To też pokazały badania IPSOS.

Czym więc jest zabytek?

Jeżeli mielibyśmy stworzyć tu potoczną definicję, to powiedziałbym, że zabytek jest czymś, co z jednej strony jest charakterystyczne dla swojej epoki, a z drugiej strony przedstawia jakąś wartość. To może być wartość historyczna, to może być wartość artystyczna, ważne, że powoduje, iż uznajemy coś za warte chronienia i przekazywania kolejnym pokoleniom. Tak bym to najogólniej zdefiniował. Przyjęło się uważać, że zabytek to coś starego, ale przecież nie wszystko, co stare, jest cenne i warte zachowania. System ochrony prawnej pozwala, aby eksperci mogli podejmować świadome decyzje odnośnie do tego, co powinno być chronione. Badania IPSOS pokazały, że Polacy w tym zakresie wierzą ekspertom i ich cenią. Choć z drugiej strony boją się kontaktu z konserwatorem zabytków. Kolejny paradoks.

Bo zabytek to problem, a konserwator to służbista, który nie odstąpi od sztywnych reguł ani o jotę, nawet jeśli to wbrew logice. Tego zabroni, tamto nakaże zrobić inaczej, najpewniej drożej.

Przy czym, jeśli prace konserwatorskie są wykonywane dobrze, to drożej znaczy lepiej i w ostatecznym rozrachunku – bardziej opłacalnie. Jeżeli jakiś obiekt jest objęty ochroną konserwatorską ze względu na jakieś swoje walory, to właśnie te jego walory długofalowo świadczą o wartości obiektu. Także materialnej. Znacznie cenniejszy będzie budynek z zachowaną substancją oryginalną niż po jakiejś biedakonserwacji. Musimy przestać dziadować, robić wszystko na skróty, i zaakceptować, że konserwator działa dla naszego wspólnego dobra i że nie jest to jego widzimisię.

Tylko że te wszystkie rygory prawne, ochrona zabytków to coś względnie nowego, kiełkującego gdzieś na przełomie XIX i XX w. albo i później. Wcześniej zabytki przetrwały i bez specjalnych regulacji. Dzięki temu – albo przez to, zależy, jak na to patrzeć – mamy zabytki czy przestrzenie miejskie będące pewną mozaiką stylów, gdzie w miejsce romanizmu wchodził gotyk, w miejsce gotyku renesans, później barok, rokoko itd. Czyli gdyby nie ta wolność, wiele zabytków, które przecież cenimy, wyglądałoby dziś zupełnie inaczej. Może czasem... gorzej? Kolejny paradoks?

Tworzyła się pewna mozaika i zabytki były dostosowywane do danej epoki. No i właśnie dlatego mamy średniowieczne zamki, które mają nawarstwienia w zasadzie do XIX w., bo to jest ten moment, kiedy była ostatnia taka duża fala przebudów. Paradoksów w dziedzinie ochrony zabytków jest wiele. Jest takie, bardzo denerwujące mnie, określenie, że „bieda konserwuje najbardziej". Ale czasem się sprawdza. Bo prawda jest taka, że np. krakowskie Sukiennice w XIX w. były przeznaczone do wyburzenia i głównie z uwagi na to, że koszty wyburzenia były zbyt duże, odstąpiono od tego pomysłu. Wyobraża pan sobie Kraków bez Sukiennic?

Wolę Kraków z Sukiennicami.

No właśnie. A od tamtego czasu technologia posunęła się do przodu, dziś moglibyśmy je wyburzyć bardzo szybko i nie tak drogo w porównaniu z renowacją. Skoro więc pojawiła się technologia sprawiająca, że człowiek jest w stanie niszczyć bezpowrotnie tak szybko, to pojawiła się i potrzeba skutecznej ochrony. Stąd wziął się cały system ochrony zabytków.

Szybko możemy też odbudowywać i często to robimy. Jest pan zwolennikiem odbudowywania zabytków?

Czy nam się to podoba, czy nie – w Polsce odbudowuje się bardzo dużo obiektów historycznych. Niestety, przeważnie bardzo źle się je odbudowuje. Zwykle są to inwestycje prywatne, niepoprzedzone odpowiednimi badaniami. To powoduje, że często w miejscu ruin buduje się obiekty, które nie mają wiele wspólnego z tym, co stało tu przez wieki. Często są to po prostu kreacje. Nie jestem twardym przeciwnikiem odbudowy, ale uważam, że jeżeli mamy już coś takiego robić, to róbmy to porządnie. Kiedyś bardzo przestrzegano zasady, że część odbudowana musi odróżniać się od oryginalnej, że nie można używać historycznych materiałów. No i teraz mamy zamki ze ścianami czy z wieżami odbudowywanymi np. z pustaków.

Nasze zabytki były niszczone nie tylko w czasie wojen, o których już zapomnieliśmy, nie tylko podczas drugiej wojny światowej, lecz także po niej. W PRL niektóre obiekty były skazane na zniszczenie ze względu na swoje niepolityczne wtedy pochodzenie. A potem przyszły straszliwe początki polskiej transformacji, kiedy świeżo utworzone samorządy zostały obarczone utrzymaniem wielu zabytków i pozbywały się ich za bezcen. Kłopot z głowy, nowi właściciele mieli w nie inwestować. W części się to udało, a w części zabytki trafiły w ręce ludzi nieuczciwych, którzy je poniszczyli albo porozkradali.

À propos prywatnych inwestorów. Niedawno minęło 25 lat od zamieszania wokół pięknego, ogromnego i niestety zrujnowanego zabytku – zespołu klasztornego w Lubiążu. Pamięta pan, kto ponoć miał go kupić?

Pamiętam. (śmiech)

Michael Jackson. Zwiedzał, podziwiał, podobno sprawdzał akustykę jednej z sal. Do transakcji nie doszło. A sięgam trochę żartem, a trochę jednak na poważnie do tego wydarzenia, bo – jak wspomniałem – minęło już 25 lat, a ten niewątpliwie wspaniały zabytek nie doczekał się pełnej renowacji.

Zespół klasztorny w Lubiążu to jeden z tych obiektów, za które państwo polskie powinno wziąć odpowiedzialność. Jest on własnością prywatnej fundacji założonej w latach 90. przez samorządowców, którzy uznali, że ten wyjątkowy w skali europejskiej zabytek – to drugi co do wielkości w Europie obiekt klasztorny – trzeba uratować i przywrócić do czasów świetności. Dzięki zaangażowaniu wspaniałych ludzi wiele udało się zrobić. Ostatnio byłem w Lubiążu w zeszłym roku. Niektóre sale z najcenniejszym wyposażeniem odrestaurowano, częściowo odrestaurowano też fasady. Tylko że minęło kilkadziesiąt lat, część osób zaangażowanych w projekt

eprasa.pl 5501c57294

już nie żyje, a osoby, które prowadzą obecnie fundację, dwoją się i troją, żeby zdobywać środki na dalsze prace. Pozyskują fundusze, udostępniają obiekt zwiedzającym etc., ale skala tych działań, ich możliwości, są ograniczone. Starają się o dotacje i je dostają. W ubiegłym roku na renowację 10 metrów bieżących jednej z elewacji. Tylko że ta elewacja ma 250 metrów bieżących, a takich elewacji jest tam kilka! Pracując w takim tempie, nie da się odnowić tak dużego obiektu. Na to potrzeba co najmniej kilkuset milionów złotych. Nie dziwię się, że Michael Jackson rozbudził w latach 90. wyobraźnię Polaków, bo myśmy wtedy o takich inwestycjach w zabytki nie śnili, a i dziś jest to ogromna kwota.

Zanim został pan szefem państwowej instytucji, przez lata zajmował się pan zabytkami jako prezes Fundacji Dziedzictwa Kulturowego. Na czym polegały działania fundacji i jak to doświadczenie przekłada się na działalność w Narodowym Instytucie Konserwacji Zabytków?

Praca w fundacji dała mi duże doświadczenie, jeżeli chodzi o obiekty trudne. Zajmowaliśmy się przede wszystkim obiektami, których właściciele nie mogli samodzielnie aplikować o środki, np. polskim dziedzictwem za granicą, stąd np. nasze prace na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie czy monumentalnych kolegiatach w Żółkwi i Ołyce. Zauważyliśmy, że najtrudniejsze są te zabytki, które albo porażają swoją skalą, albo mają nieuregulowaną sytuację. Już od kilku lat prowadziliśmy takie rozważania, że powinien pojawić się publiczny inwestor, publiczny podmiot, który byłby w stanie uporządkować sytuację własnościową takich obiektów, a także prowadzić przy nich prace remontowe, konserwatorskie i nadawać im jakąś funkcję. Stad pomysł na stworzenie Agencji Rewitalizacji Dziedzictwa. Jako Narodowy Instytut Konserwacji Zabytków przygotowaliśmy dla ministra kultury projekt ustawy w tej sprawie. Niedawno wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński ogłosił zamiar powołania Agencji. Taki podmiot jest niezbędny, żeby z jednej strony realizować takie projekty jak ten w Lubiążu, którego żaden samorząd czy fundacja nie udźwignie, a z drugiej – żeby rozwiązywać takie problemy jak nieuregulowana sytuacja własnościowa w przypadku mniejszych obiektów, jak np. ruiny dworów. Obiekty te mogłyby być

Część sal w zespole klasztornym w Lubiążu udało się odrestaurować... FOT. ADOBE STOCK

... inne wciąż czekają na swoją kolej. Zdaniem dr. Michała Laszczkowskiego Lubiąż jest przykładem zabytku, za który odpowiedzialność powinno wziąć państwo. Skala potencjalnych inwestycji jest bowiem ogromna FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 5501c57294

remontowane i pozostać w rękach Skarbu Państwa albo być przekazywane samorządom czy po prostu sprzedawane w drodze licytacji publicznej. Łatwiej sprzedać odnowiony zabytek niż ruinę.

„Rozwiązywać takie problemy jak nieuregulowana sytuacja własnościowa" – to chyba nie taka prosta sprawa. Jakie narzędzia ku temu będzie miała Agencja?

Oczywiście każdy przypadek jest inny, ale polskie prawo już teraz pozwala wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków wywłaszczyć na rzecz samorządu albo Skarbu Państwa obiekt, który jest zagrożony zniszczeniem. Takich przypadków jest bardzo mało, bo nikt nie chce brać sobie na głowę kłopotu. Cóż z tego, że istnieje przepis, skoro się z niego nie korzysta? Ale mówimy tu o drastycznych sytuacjach, o wywłaszczeniach, pamiętajmy jednak, że jest wiele obiektów, które formalnie nie mają właścicieli. Są też setki obiektów, które są we władaniu różnych jednostek państwowych czy samorządowych, które najchętniej by się ich pozbyły. Na przykład Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa ma co najmniej kilkadziesiąt takich zabytków, które są „dodatkami" do obiektów uprawnych czy hodowlanych. Jeśli jakaś spółka państwowa zajmuje się np. hodowlą koni, to jej celem statutowym nie jest kwestia związana z utrzymaniem obiektu zabytkowego. W KOWR zdają sobie sprawę z problemu. Wspólnie staramy się znaleźć rozwiązanie.

Wyobrażam sobie, że jednym z głównych celów Agencji będzie prowadzenie działań rewitalizacyjnych na terenie małych i średnich zabytkowych miast. Kiedy władze samorządowe takich miejscowości biorą się za rewitalizację, to często kończy się na wymianie nawierzchni, remoncie kilku fasad i tyle. Z powodu ograniczeń finansowych nie patrzą na historyczną przestrzeń całościowo. A biorąc się do rewitalizacji, należałoby myśleć kompleksowo.

Narodowy Instytut Konserwacji Zabytków został powołany rok temu, teraz słyszymy o tworzeniu Agencji Rewitalizacji Dziedzictwa. Sprawia to wrażenie mnożenia kolejnych podmiotów zajmujących się zabytkami.

W Polsce mamy kilka instytucji zajmujących się ochroną zabytków. Mamy sieć wojewódzkich konserwatorów zabytków. WKZ jest to urząd, który sprawuje ochronę prawną, czyli wydaje pozwolenia, sprawdza, czy prace są wykonywane zgodnie z pozwoleniem, zgodnie z prawem. Jest Narodowy Instytut Dziedzictwa, czyli instytucja ekspercka, która jest zapleczem merytorycznym dla służb konserwatorskich i dla ministra kultury. Tam powstają różnego rodzaju opinie, ekspertyzy, zalecenia. Narodowy Instytut Konserwacji Zabytków został pomyślany jako instytucja, która miałaby w sposób modelowy, edukacyjny prowadzić prace konserwatorskie, pokazywać, jak powinny one być prowadzone dobrze, wręcz modelowo. Instytut został powołany również po to, by zdiagnozować problemy systemu ochrony zabytków w Polsce. W ramach takiej diagnozy wskazaliśmy na potrzebę wypełnienia luki, którą wypełni Agencja. Zgodnie z projektem ustawy, który przygotowaliśmy dla ministra kultury, Instytut uległby wchłonięciu przez Agencję po to, aby nie dublować instytucji.

Browar w Jeżewie Starym. Ruina, która mogłaby przynosić zysk? FOT. P. WIERZCHOWSKI/REPORTER

Przyzwyczailiśmy się do myślenia o zabytkach jako o czymś, co raczej generuje koszt, niż przynosi wymierny zysk. Tymczasem nie musi tak być.

To też jest nasza wina, ludzi z sektora kultury zajmujących się ochroną zabytków. My cały czas mówimy o problemach związanych z konserwacją i troszeczkę się w tym zatraciliśmy. Polacy kochają zabytki, ale oczekują, że będą pełniły nie tylko funkcję kulturalną, lecz także rozrywkową, że zabytek będzie połączony z jakąś atrakcją typu przedstawienie, spektakl, koncert, że będzie tam można dobrze zjeść, miło spędzić czas. Patrzenie wyłącznie na substancję zabytkową tak naprawdę nie doprowadzi nas donikąd. Nie możemy myśleć tylko o substancji zabytkowej, trzeba też myśleć o funkcji zabytku. To jest coś, na co musimy zwracać uwagę. Na obie te kwestie.

Konkretny przykład?

Mój ulubiony. Browar w Jeżewie Starym zbudowany przez Zygmunta Glogera. Ponad 150-letnia ruina, zdewastowana, rozkradziona. Pozostały jakieś resztki kadzi, walą się stropy i ściany. Rewitalizacja na kilkadziesiąt milionów. Ale proszę sobie tylko wyobrazić – historyczny browar, historyczne technologie warzenia piwa. Obiekt, w którym – tak! – produkuje się piwo, gdzie ludzie mogliby je kupić, degustować, miło spędzić czas, zobaczyć ciekawy zabytek techniki, przenocować, kupić jakieś pamiątki. Czyli wydać pieniądze. Przecież to może być atrakcją turystyczną dla całego Podlasia i przynosić zysk. To oczywiście rozważania teoretyczne, wymagające uprzednich analiz funkcjonalno-użytkowych, ale na zabytki powinniśmy patrzeć również przez pryzmat rozwoju gospodarczego. Najwyższy czas, by myśleć o ratowaniu zabytków nie w kategoriach obowiązku, ale szansy. Szansy na rozwój, na przyciągnięcie turystów, na mieszkanie w przyjemnej przestrzeni miast i miasteczek.

A tymczasem zegar tyka...

Zabytek ma to do siebie, że jeśli go utracimy, to bezpowrotnie. Później pozostaje co najwyżej rekonstrukcja. Każdego roku tracimy co najmniej kilkanaście zabytkowych obiektów, np. wskutek pożarów. Najbardziej poruszające jest jednak powolne umieranie zabytków. To coś, co nie jest widowiskowe, co trudno zobrazować inaczej niż zestawieniem zdjęć „przed, po". Takich obiektów są w Polsce tysiące, gros z nich jest bardzo cenne.

Powolne umieranie... Wracając do początku naszej rozmowy i postrzegania niszczenia zabytków jako aktów zbrodniczych... Zaniechanie to też niszczenie?

Zaniechanie trwa długo i można łatwo rozmyć odpowiedzialność. Nie traktujemy go jako zbrodni, ale prawda jest taka, że obiekty, o których tu rozmawiamy, w dużej mierze właśnie poprzez zaniechanie zostały doprowadzone do stanu, który dzisiaj wymaga nadzwyczajnych środków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Michał Laszczkowski
– działacz społeczny, menedżer dziedzictwa, założyciel i wieloletni prezes Fundacji Dziedzictwa Kulturowego, od 2022 r. p.o. dyrektor Narodowego Instytutu Konserwacji Zabytków.

eprasa.pl 5501c57294

Seriale premium w TVP

Kadr z „Domu pod Dwoma Orłami"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

„Polowanie na ćmy", „Dom pod Dwoma Orłami", „Krucjata. Prawo serii" – telewizja publiczna wygrywa, gdy inwestuje w dobre seriale

Piękna, warszawska wiosna 1905 r.: bomby wybuchają w restauracjach, rewolucjoniści sypią z dachów ulotki, bandziory porywają kobiety, by sprzedawać je do Argentyny albo do lokalnych burdeli. Rosjanie władają miastem od ponad stulecia, ale wciąż nie mogą czuć się bezpiecznie. „Jak zrozumieć Polaków, którzy poświęcają własne życie, by odebrać je innym?" – zastanawia się świeżo przybyła z Petersburga rosyjska piękność.

Nowy serial TVP „Polowanie na ćmy" wskrzesza na małym ekranie świat pierwszej dekady XX stulecia, o którym wiemy „zatrważająco mało", jak zauważał Krzysztof Masłoń w zamieszczonej w „Do Rzeczy" recenzji powieści Wacława Holewińskiego „Pogrom 1905". „W PRL sprawę odfajkowywano hasłami rewolucyjnymi", a przecież „działo się wówczas wiele rzeczy strasznych". „Polowanie na ćmy" to adaptacja „Pogromu 1905", której dokonały piszące scenariusz Katarzyna Tybinka i Anna Gabryś, całość zaś wyreżyserował Michał Rogalski („Czas honoru", „Stulecie winnych", „Wojenne dziewczyny").

Adaptacja jest wybiórcza, bo nie dało się inaczej. – Trudno sobie wyobrazić, aby można było w serialu pociągnąć 12 równoważnych wątków, a tylu przecież jest w mojej powieści głównych bohaterów – mówi „Do Rzeczy" Wacław Holewiński. – Szczęśliwie miałem przez cały czas nadzór nad scenariuszem i jestem zadowolony z efektu. Panie wybrały historie kobiece (równie ważne jak inne), ale to dobrze. Bo w kolejnych częściach (mam nadzieję, że powstaną, TVP kupiła bowiem ode mnie już prawa do „Pogromu 1906") scenarzyści będą musieli wybrać już raczej męskie sprawy, bo tamte części dotyczą w zasadzie tylko rewolucji – opowiada Holewiński. Dodajmy, że trylogię zamyka powieść „Pogrom 1907".

POSTĘPOWA TELEWIZJA PUBLICZNA

Efekt decyzji scenarzystek jest bardzo ciekawy i czyni z „Polowania na ćmy" opowieść bardzo współcześnie poprowadzoną (modne jest dziś koncentrowanie się na wątkach kobiecych). I okazuje się paradoksalnie, że rzekomo wsteczna telewizja publiczna przedstawia serial dużo bardziej wyczulony na żeńskie niedole niż podobno postępowy Canal+, który w ekranizacji „Króla" Szczepana Twardocha kładł nacisk na zabawy męskie i chłopięce. W „Pogromie 1905"

eprasa.pl 5501c57294

świat wstrząsanej rewolucyjnymi konwulsjami i niepodległościowymi spiskami Warszawy poznajemy oczami młodej dziewczyny sprzedanej do najbardziej luksusowego domu publicznego w Warszawie (Sonia Mietielica), która ma też życie sekretne jako towarzyszka Aleksandra związana z PPS. A także oczami właścicielki owego domu, niejakiej Szlimakowskiej (Monika Krzywkowska), tudzież żony rosyjskiego policjanta, pani Jurinej (Daria Polunina), która próżno szuka w Warszawie pocieszenia i lepszego życia.

Czy to oznacza, że powieść historyczna zamienia się w obyczajową przypowiastkę? Ależ skąd, bohaterki dają widzowi punkt widzenia, z którym łatwo się utożsamić, i bohaterki, którym łatwo kibicować, a reszta to już barwny i przerażający świat Warszawy tamtych lat – ze zbrodnią, z występkiem, konfliktami politycznymi i drzemiącą narodową rewoltą. Ważna chwila w dziejach Polski. – Bez 1905 r. nie byłoby „polskiego" roku 1918 – przypomina w rozmowie z „Do Rzeczy" Wacław Holewiński. – Bez odwagi, bez poświęcenia tych, którzy strzelali w 1905 r., nie byłoby mowy o odtwarzaniu państwa kilkanaście lat później. Bo każdy naród musi mieć swoje legendy, swoje heroiczne czyny, tych, którzy wskażą, że marzenia są możliwe do zrealizowania. A wtedy szybko następowało wynarodowienie. Polacy stawali się pół-Polakami, ćwierć-Polakami. Rok 1905 nieodwracalnie zatrzymał ten proces.

Ogląda się „Polowanie na ćmy" bardzo dobrze, to kolejny z przedstawionych w ostatnim czasie przez TVP seriali premium; warto też pamiętać, że pojawi się i wersja kinowa. Film fabularny premierę będzie miał jesienią.

OPOWIEŚĆ O WIELOKULTUROWEJ HISTORII

W chwili, gdy na antenie TVP pojawił się serial wedle powieści Holewińskiego, dobiegła końca emisja innej odcinkowej opowieści historycznej – „Domu pod Dwoma Orłami" Waldemara Krzystka. Finałowy 10. odcinek oglądało ponad 2,2 mln widzów, a średnio ok. 2 mln, co dawało TVP 1 przez ponad dwa miesiące tytuł lidera oglądalności wieczornego niedzielnego pasma. Zupełnie niepotrzebnie niektórzy próbowali wokół tej premiery wykreować atmosferę skandalu. Sam reżyser, skarżąc się w mediach, że scenariusz czekał na realizację ponad 20 lat, zapomniał dostrzec, który minister kultury i który prezes telewizji dali zielone światło i solidny budżet. Co zresztą wytknął Krzystkowi zaraz wicepremier Piotr Gliński. Rozumiem jego irytację, bo wiem, że projekt od samego początku wspierał. Jesienią 2019 r. w wywiadzie dla „Do Rzeczy" dumny był z tego, że ruszają prace nad serialem „wybitnego reżysera Waldemara Krzystka", zapowiadając „opowieść o wielokulturowej historii Wrocławia – Lwów, Polacy, Niemcy".

Dlaczego tak długo trzeba było czekać na premierę? Sam Krzystek w wypowiedzi dla „Faktu" tłumaczył tak: „Najpierw była pandemia. Przez osiem miesięcy była blokada działań zbiorowych. Potem na planie zdarzały się pojedyncze wypadki COVID. Ale to były drobne opóźnienia. W grudniu 2021 r. odbyła się ostatnia kolaudacja". Skąd kolejny rok czekania na premierę? W jednym z odcinków serialu pojawia się ukraińska sotnia mordująca Polaków, do mordu na Polakach podżega pop, to zresztą dopiero początek opowieści o konflikcie polsko-ukraińskim (ten wątek jest najważniejszy w ostatnich odcinkach serialu). TVP uznała, że emisja podczas agresji Rosji na Ukrainę nie byłaby najszczęśliwszym pomysłem. I znów – są tacy, którzy wietrzą skandal, tymczasem w samej wypowiedzi dla „Faktu" Krzystek sam skłonny był do przytomnej refleksji. – Może dobrze się stało, że serial jest emitowany dopiero teraz, bo może rok temu byłby odczytany jako napaść na coś – mówił Krzystek. – Nie, ja tylko przypominam, że zło spuszczone ze smyczy moralności to najgorsze, co może się wydarzyć w historii ludzi i narodów.

Chociaż tytułowy „Dom pod Dwoma Orłami" istniał naprawdę na wrocławskim Sępólnie, to serial Krzystka nie jest próbą stworzenia nowej wersji „Domu" Jana Łomnickiego. Losy bohaterów (różnej narodowości) krzyżują się w tym miejscu, ale to skrzyżowanie dziejów jest przede wszystkim pretekstem do szerszego spojrzenia na historię. Mamy tu Niemców, którzy porzucili Königsberg na rzecz Breslau po pierwszej wojnie światowej, mamy Polaków i Ukraińców z polskich Kresów, mamy repatriantów przybyłych po 1945 r. Cofamy się do czasów II RP, do września 1939 r., do sowieckich prześladowań i wywózek do Kazachstanu, sowieckiego zniszczenia Wrocławia – ramy tego historycznego obrazu rozstawione są bardzo szeroko, aż do współczesności i wielkiej powodzi. Nie ma u Krzystka kiczu pojednania, jest trudna rozmowa o trudnych sprawach. Jak mówił w wywiadzie dla

Długo wyczekiwaną nowością jest serial sensacyjny wedle scenariusza Wojciecha Tomczyka „Krucjata. Prawo serii"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5501c57294

Nowy serial TVP „Polowanie na ćmy" wskrzesza na małym ekranie świat pierwszej dekady XX stulecia FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wrocławskiej „Wyborczej", serial „nie jest krzepiącą przypowieścią z dawnych czasów. Pokazuję, że zło spuszczone ze smyczy kąsa wszystkich wokół. Dzisiaj widzimy to na własne oczy, za miedzą, miasta ukraińskie wyglądają jak Wrocław w 1945 r.".

I znów – to wyszydzana telewizja publiczna jest miejscem, w którym takie dyskusje w postaci serialu historycznego się materializują. Choć komercyjne stacje w Polsce lubią prężyć muskuły i przedstawiać się jako jedyna agora nieskrępowanej debaty i twórczej wolności, to w Polsce nie wystąpiło zjawisko znane choćby z rynku brytyjskiego. Tam do dziś publiczna BBC jest uznawana za potęgę w dziedzinie telewizyjnych produkcji historycznych, ale prywatna konkurencja, która zaczęła od walki na polu stosunkowo niedrogich seriali kryminalnych, przeszła potem do inwestowania we własne produkcje kostiumowe. Zjawisko to zostało wzmocnione przez narodziny streamingu i szybki wzrost potęgi tego modelu produkcji i dystrybucji. Wiele filmów i seriali powstaje we współpracy tradycyjnych nadawców oraz gigantów streamingu lub właścicieli kanałów premium. I bardzo często są to opowieści historyczne.

POMYSŁ NA KRUCJATĘ

Inną nowością TVP (także długo wyczekiwaną) jest serial sensacyjny wedle scenariusza Wojciecha Tomczyka „Krucjata. Prawo serii". Kilka miesięcy temu debiutował w serwisie VOD telewizji publicznej, teraz wkroczył na antenę naziemną, zastępując „Ojca Mateusza" w piątkowe wieczory.

– Pomysł na „Krucjatę" przyszedł mi na stacji benzynowej. Stałem w kolejce do kasy. Mój wzrok przyciągnęła okładka jednego z tygodników. Na okładce widniała fotografia kilku zawodowych celebrytów. Obraz wieńczył apel „Nie zabijajcie nas!" – mówi „Do Rzeczy" Tomczyk. – W pierwszej chwili, jak zwykle, nic nie rozumiałem. Następnie pomyślałem, że to jakaś żenująca kokieteria. Kto mógłby chcieć zabijać celebrytów? Jednak, dla umysłowej gimnastyki, postanowiłem wyobrazić sobie kogoś, kto chciałby zabijać ludzi z okładek. I tak miałem już antagonistę. A dobry, oryginalny antagonista to podstawa opowieści.

Reżyserem „Krucjaty" jest Łukasz Ostalski, który debiutował w fabule w roku 2015 nowelką „Wiera" z filmu „Nowy świat". Rękę ćwiczył w serialach („O mnie się nie martw", „Wojenne dziewczyny", „Przyjaciółki") i nauka nie poszła w las, bo rzecz opowiedziana jest zręcznie, a od strony wizualnej „Krucjata" wcale nie ustępuje zachodniej konkurencji. Oglądałem niedawno nowego „Luthera" – ot, mieli więcej pieniędzy i tyle. Ale przepaści w robocie realizacyjnej nie ma.

„Krucjata" zaczyna się jak typowy kryminał, by potem przerodzić w coś więcej: w gryzącą i niewesołą przypowieść o współczesności. A w rozmaitych bohaterach i motywach szybko rozpoznajemy echa skandali wstrząsających polską sceną polityczną i celebrycką. – Spróbowałem, jak zwykle, pogodzić moje dwa ulubione kryminały. A są to „Król Edyp" Sofoklesa oraz „Zbrodnia i kara" Dostojewskiego – opowiada Tomczyk. – W jednym zabójca prowadzi śledztwo we własnej sprawie. W drugim nawet śledczy nie wyklucza, że zabójca ma rację moralną. Oczywiście godzenie tych archetypów jest, przynajmniej dla mnie, pracą syzyfową. Dlatego piszę drugi sezon.

„Polowanie na ćmy", „Dom pod Dwoma Orłami", „Krucjata. Prawo serii" – a przecież lista nie jest kompletna, bo mieliśmy kilka miesięcy temu premierę serialu „Erynie" według prozy Marka Krajewskiego. Czy TVP pręży muskuły? Czas na łyżkę dziegciu w beczce miodu – tak się po prostu złożyło (z różnych powodów), że w ciągu pół roku widz dostaje owoc kilkuletnich wysiłków. To pokazuje, że choć kierunek jest właściwy, to wiele zostaje do zrobienia. W publicznej telewizji każdej wiosny i każdej jesieni debiutować powinno kilka takich produkcji premium, sformatowanych z myślą o różnych grupach. Triada: serial historyczny, serial kryminalny, ambitny serial współczesny) byłaby tu idealna (choć może jeszcze brakuje w takim zestawieniu produkcji dla dzieci lub młodzieży). Marzy się, by tak udana wiosna nie była efektem przypadkowej kumulacji, ale długofalowej polityki programowej.

Czego potrzeba do robienia dobrej telewizji? Tego samego, czego do prowadzenia wojny. Czyli trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy oraz pieniędzy. I oczywiście dobrych projektów twórców, którzy zamiast dekonstruować, wolą budować wspólnotę – nawet poprzez bolesne rozrachunki. Obawiam się, że o pieniądze będzie łatwiej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

„Kompleks Portnoya” – aktorski koncert

Grzegorz Kondrasiuk

„Kompleks Portnoya” to spektakl porządnie okrzepnięty. Spotykają się w nim wszystkie składowe teatru z prawdziwego zdarzenia

FOT. TEATR WARSAWY

Czasem mam w głębokim poważaniu przymusy recenzenckie, które każą chodzić na te Najważniejsze Premiery, Oceniać i Zdawać Sprawozdanie, bo przecież O Tym Się Mówi. Czasem jestem też widzem – może nie do końca normalnym – i jako widz chodzę sobie na to, co lubię, a przy okazji piszę o teatrze, który mnie dotyka i obchodzi. A lubię teatr prawdziwy i zwyczajny, taki, jakim jest na dwudziestym, trzydziestym, czterdziestym którymś przedstawieniu po premierze, przy pełnej sali. Wtedy już wiadomo, że „zażarło”, że ludzie chcą na to przychodzić i dawać życie temu spektaklowi, bo rozniosła się fama, że „dobre”. Na takim zwykłym graniu – dla ludzi, a nie dla premierowego spędu branży, oficjeli, recenzentów i „cmokaczy” – aktorom wszystkie formy, zadania i tempa zdążyły wejść już pod skórę, nie skupiają się na swoich staraniach i braku pomyłek, tylko bawią się, smakują przebywanie przez godzinkę czy dwie w tym szczególnym zakątku czasu. A jeśli jeszcze są majstrami w swoim fachu, no i mają coś ciekawego do powiedzenia (w większości przypadków – za pośrednictwem dobrej literatury dramatycznej) i przy tym nie zanudzają – to już w ogóle jesteśmy my, widownia, wygrani.

Coś takiego przydarzyło mi się ostatnio na spektaklu Teatru WARSawy, gościnnie granym z powodu braku własnej siedziby w Zamku Ujazdowskim. „Kompleks Portnoya”, stworzony wieki temu jeszcze pod szyldem Teatru Konsekwentnego, to – jak się rzekło – spektakl porządnie okrzepnięty, co nie znaczy, że oparty na automatyzmach i cierpiący na wszelkie inne przypadłości wieku dojrzałego. Spotykają się w nim wszystkie składowe teatru z prawdziwego zdarzenia: klarowna adaptacja materiału literackiego, bez nadmiernych skrótów, niezrozumialstw i dłużyzn, w stu procentach trafiona obsada, aktorski ogień całego składu, w którym brakuje słabych punktów, wreszcie – ta dziś mało popularna wśród krytyków właściwość teatru dramatycznego, bez prostackich uwspółcześnień mówiącego coś „o nas” i „o dzisiaj” za pomocą kreacji dawno umarłego świata.

„Kompleks Portnoya” Philipa Rotha – wiadomo, o czym jest ta powieść i w jakiej scenerii się rozgrywa. Dziś, kiedy trzy czwarte netflixowych seriali dzieje się w Nowym Jorku i zdaje relację z rozwiązłego i pustego życia jego wyemancypowanych mieszkańców, to żadna ekscytacja. Tymczasem Sajnuk z Popławską znaleźli drogę, by nie ulec ilustracyjności i atrakcyjności tej scenografii, ale nadpisać nad zabawną, satyryczno-groteskową fabułką historię, która może na serio obchodzić. Znaleźli teatralny ekwiwalent dla świetnej prozy Rotha, introspekcyjnej, bezwzględnej wobec siebie i bliźnich, która przecież tylko pozornie jest oparta na łańcuchu groteskowych, lekko dewiacyjnych i mocno depresyjnych przygód głównego bohatera.

I choć już tak mam, że mało mnie obchodzą Nowy Jork i świat Żydów miotających się pomiędzy ortodoksją a ateizmem, to już mocno mnie obeszła ta relacja z wypalonej głowy głównego bohatera, Alexa (Adam Sajnuk), obdarzonego intelektem, cynicznym oglądem świata, ale za to organicznie pozbawionego uczuć. Wyrównana, iskrząca się ozdobnikami jest gra parterów Sejbuka. To paradne role komediowe, choć gdzieś głębiej są w nich zaszyte nutki samotności: stłamszony, ortodoksyjny ojciec (Bartosz Adamczyk), nadopiekuńcza mame (Monika Mariotti), siostra Alexa i cała plejada jego narzeczonych i kochanek (Anna Smołowik). Jak w dobrym koncercie – są wątki główne i ornament. Za epizodyczne smaczki, za rolę wiecznie melancholijnej siostry Aleksa albo włoskiej prostytutki Annę Smołowik chciałoby się po prostu zjeść. Zegarmistrzowsko precyzyjna konstrukcja wszystkich – pobocznych i głównych – ról, konsekwentna realizacja – o takich spektaklach mówi się, że są „aktorskie”, że są „koncertami” i jest to oczywiście prawda. ©℗

TEATR WARSAWY, „KOMPLEKS PORTNOYA” NA MOTYWACH KSIĄŻKI PHILIPA ROTHA
REŻYSERIA I SCENARIUSZ: ALEKSANDRA POPŁAWSKA, ADAM SAJNUK
PREMIERA: 27 KWIETNIA 2010 R.
OBSADA: MONIKA MARIOTTI, ANNA SMOŁOWIK, BARTOSZ ADAMCZYK, ADAM SAJNUK

eprasa.pl 5501c57294

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Detektyw po przejściach

★★★★☆☆

REŻ. JAMIE PAYNE
„LUTHER. ZMROK" („LUTHER: THE FALLEN SUN")
WIELKA BRYTANIA/USA 2023

wyst. Idris Elba, Cynthia Erivo, Dermot Crowley

Jesienią będzie miał premierę trzeci, ostatni sezon serialu telewizyjnego. Potem zaczniemy zdjęcia do kinowego „Luthera" opartego na „Odcinku zero" – zapowiadał latem 2013 r. na łamach „Do Rzeczy" scenarzysta i pisarz Neil Cross. Ach, wszystkie plany myszy i ludzi… „Odcinka zero" nie nakręcono do dziś, powieść możemy poczytać, powstały za to kolejne sezony serialu (łącznie pięć), a pełnometrażowy film okazał się czymś zupełnie innym. „Luther: Zmrok" zwiastuje kolejne kontynuacje, bo historia twardego detektywa ze skazą (właściwie: wieloma skazami) nie dobiega jeszcze końca.

„Zmrok" ogląda się jak streszczenie większej całości, za wiele rzeczy zdaje się tu pośpiesznych i naciąganych. Oczywiście „Luther" już dawno pożegnał się z tak niewygodnymi terminami jak „prawdopodobieństwo", wybierając makabrę i efektowne zwroty coraz dziwaczniejszych fabuł. Ale to samo w sobie nie jest grzechem, nie inaczej czynią w powieściach Jeffery Deaver czy James Patterson. Wszystko zależy od tego, jak nieprawdopodobne historie są opowiedziane. Kiedy świetnie – to zapominamy, że nie trzymają się kupy. Połączone siły reżysera i scenarzysty znanych z wcześniejszych sezonów sprawiają, że ogląda się nieźle. A widownia tęskniła za Johnem Lutherem – niemal natychmiast po premierze film stał się w Polsce najchętniej oglądaną produkcją Netflixa.

Tym razem za przeciwnika ma Luther psychopatę granego przez Andy'ego Serkisa, koszmarną postać wyjętą wprost z najczarniejszych opowieści typu „dlaczego Internet jest niebezpieczny". Z uśmiechem występuje on jako samozwańczy rzecznik wszelkiego rodzaju zboczeńców, domagając się uznania dla ich „normalności". Z Londynu przeniesiemy się na norweskie lodowce, ale najpierw Luther rozwiązać będzie musiał inny problem. Otóż wychodzą na światło dzienne (ach, te media!) wszystkie jego dotychczasowe grzechy, szybko trafi więc do więzienia. Ale znacie go, dawał sobie radę nie z takimi wyzwaniami.

Idris Elba nie utracił charyzmy. Czy zagra Bonda – zapewne nie, twórcy serii szukają kogoś młodszego. Ale finał „Zmroku" wskazuje, że detektyw Luther (aktualnie były detektyw) może rozpocząć karierę tajnego agenta. ©℗

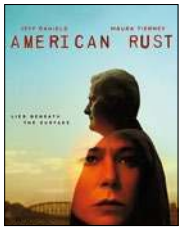

NOWE SERIALE: „RDZA"

CANAL+ ONLINE

Serial na podstawie powieści Philippa Meyera, uznawanej za jedną z najważniejszych amerykańskich książek minionych dwóch dekad (polski przekład ukazał się nakładem C&T w 2013 r.). Kryminalna opowieść o małym miasteczku w Pensylwanii. Śledztwo prowadzone w sprawie młodego człowieka oskarżonego o morderstwo staje się okazją do namalowania smutnego pejzażu popadającego w ruinę Pasa Rdzy. W roli głównej Jeff Daniels. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Rdza" („American Rust"), USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 4 „Sukcesja", USA 2023* — HBO max
- *sezon 1 **„Rój" („Swarm"), USA 2023*** — prime video
- *sezon 1 **„Nocny agent" („The Night Agent"), USA 2023*** — Netflix
- *sezon 2 **„Yellowjackets", USA 2023*** — CANAL+ ONLINE

eprasa.pl 5501c57294

Włoskie pokusy

KINO

Był sobie Josef Mysliveček, który zamiast zostać młynarzem jak ojciec, wyjechał do Italii, gdzie zrobił błyskotliwą, choć niezbyt długą karierę kompozytora do wynajęcia. Libertyńska Wenecja i obłudny Neapol zawróciły Czechowi w głowie. Zgubiła go skłonność do nałogów, hazardu, a przede wszystkim do kobiet z niższych i wyższych sfer. Uzależniony od sponsorów nie był panem samego siebie i dopiero stojąc nad grobem, odważył się napisać coś „prawdziwego".

W epizodzie pojawia się Mozart, więc skojarzenia z ekranizacją sztuki Petera Shaffera są nieuchronne. Kłaniają się też filmowe biografie Casanovy i Farinellego. Wnętrza, kostiumy i – oczywiście – muzyka tworzą wspaniałe tło, trochę gorzej z fabułą, która snuje się niczym dym z fajki zazdrosnego hrabiego. Wiek XVIII był złotą erą opery; nasi południowi sąsiedzi mają prawo przypominać o swym wkładzie do artystycznej skarbnicy Europy. Kłopot w tym, że Mysliveček, przynajmniej w interpretacji Dyka, nie sprawia wrażenia geniusza. Prawie każdą scenę kradną mu postacie drugoplanowe, np. prostacki król Neapolu potrafiący wróżyć z zawartości nocnika. Cel autorów filmu został jednak osiągnięty: gdy tylko skończę pisać tę recenzję, posłucham utworów pechowego Czecha. Tuszę, iż nie będą słabsze od kompozycji tego łobuza Salieriego. © ®

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. PETR VÁCLAV
„IL BOEMO"
CZECHY/WŁOCHY 2022

wyst. Vojtěch Dyk, Elena Radonicich, Barbara Ronchi

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PROROKÓW DWÓCH

arte

Aldous Huxley i George Orwell. „Nowy wspaniały świat" kontra „Rok 1984". Który z tych Brytyjczyków lepiej odczytał znaki czasu? Twórcy dokumentu twierdzą, że obaj trafnie przewidzieli przyszłość, a ucieleśnieniem ich koszmarów są współczesne Chiny i – po trosze – Stany Zjednoczone. Idą na łatwiznę, znęcając się nad Trumpem, a przecież polityków stawiających na tępą propagandę, inwigilację i kampanie nienawiści było i jest wielu. Orwell i Huxley zetknęli się w Eton College. Pierwszy był zbuntowanym uczniem, drugi nauczycielem francuskiego. Czy to możliwe, by wizje społeczności poddanej bezwzględnej presji nawiązywały do praktyk stosowanych w szkole do dziś kształcącej elity Zjednoczonego Królestwa? Dandys Huxley pisał swą najsłynniejszą książkę w kurorcie na Lazurowym Wybrzeżu, socjalista Orwell idealne warunki do pracy znalazł na posępnej szkockiej wyspie. Reszta jest literaturą. © ®

★★★☆☆☆

REŻ. PHILIPPE CALDERON, CAROLINE BENARROCH
„GEORGE ORWELL VS ALDOUS HUXLEY"
FRANCJA 2019

KIERUNEK: GRECJA

KINO

Dwie funfele z podstawówki spotykają się po 30 latach, by odkryć, że poza sentymentem do „Wielkiego błękitu" Bessona nic ich właściwie nie łączy. Magalie jest wiecznie podekscytowaną gadułą, którą Stwórca w swojej łaskawości obdarzył muzycznym talentem. Blandine, zgryźliwa pedantka, po rozwodzie popadła w apatię. Przeciwieństwa się przyciągają, więc wyprawa na filmową wyspę Amorgos obfitować będzie w kolizje. Zamiast oryginalnej fabuły dostajemy słabo zakamuflowaną reklamę cykladzkich plaż – zupełnie przypadkowo film wchodzi na ekrany w czasie, gdy Polacy zaczynają planować letnie urlopy. Najjaśniejszym punktem jest Kristin Scott-Thomas. Nie sądzę, by jakaś inna aktorka umiała z takim wdziękiem pozbawić życia ośmiornicę. Warto uczyć się na cudzych błędach, więc radzę udającym się do Hellady: ustalcie zawczasu, czy będziecie na miejscu czytać „Odyseję" czy jednak szukać wakacyjnego romansu. © ®

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. MARC FITOUSSI
„DWA BILETY DO GRECJI" („LES CYCLADES"
FRANCJA/GRECJA/BELGIA 2022

wyst. Olivia Côte, Laura Calamy, Panos Koronis

GRA TYGODNIA: „KIRBY'S RETURN TO DREAM LAND DELUXE"

★★★★☆☆

Zremasterowana i rozbudowana o nową zawartość gra sprzed ponad dekady. Nintendo, korzystając z ogromnej popularności Switcha, co i rusz uracza nas jakimś remasterem. Niektórym się to nie podoba (bo lepiej, żeby wydawali coś nowego), innym wręcz przeciwnie (bo ilu posiadaczy NS miało Wii czy Wii U?). Ja zacieram ręce, bo remastery te wychodzą bardzo dobrze. Nie inaczej jest z recenzowaną pozycją, choć to gra raczej dla młodszego odbiorcy. No ale czasem rodzic musi ustąpić i oddać pad dziecku, prawda? A najlepiej zasiąść razem do lokalnego trybu współpracy. © ®

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Zręcznościowa*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Prod., dystr. PL:*** *HAL Laboratory, ConQuest Entertainment*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5501c57294

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Hazard i patriotyzm

W telewizji wystartował właśnie dobrze zapowiadający się serial „Polowanie na ćmy", który powstał na podstawie powieści Wacława Holewińskiego „Pogrom 1905", a tu już mamy nową książkę tego autora, która aż prosi się o ekranizację, także serialową, opowiada bowiem o życiu jednego z najbogatszych Polaków w całej historii, a już na pewno najzamożniejszego z naszych rodaków z początku XX w. Człowieka, który spoczywa na warszawskich Powązkach w skromnym grobie, upamiętniony jedynie informacją, że był fundatorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Karol Jaroszyński, o którym mowa, zmarł w Warszawie w 1929 r. Mieszkał byle jak, na Smoczej, pieniądze stracił, ale do końca wpłacał na KUL zadeklarowane sumy. Trzynaście lat wcześniej miał fortunę szacowaną, gdybyśmy ją przeliczyli, na 200 mld (!) dzisiejszych złotych. Należały do niego banki w całej Rosji, majętności na Podolu, ponad 50 cukrowni, tkalnie, fabryki, towarzystwa kolejowe i żeglugowe, a nawet wydawnictwa prasowe. W radzie zarządzającej syndykatem miał m.in. byłego rosyjskiego premiera Kokowcowa. W Petersburgu za milion rubli kupił dom senatora Połowcowa dla polskich studentów, gdzie później pomieściły się też towarzystwo Sokół, a także petersburska Polska Organizacja Wojskowa.

Rewolucja bolszewicka, którą usiłował – wiadomo, że bez skutku – zwalczyć za pomocą pieniędzy, prowadząc misterną grę bankową, pozbawiła go większości majątku, a także zaczęła zawodzić go intuicja. We Francji skupował bezwartościowe akcje, licząc pewnie jeszcze na odwrócenie koła historii, co nie nastąpiło. Polskie interesy też nie wypaliły, choć i w wolnej Polsce prezesował bankom w Warszawie i Wilnie, doradzał też Józefowi Piłsudskiemu.

W powieści Holewińskiego znajdzie czytelnik świetną scenę, w której w 1920 r. bohater jego powieści na spotkaniu ze swoim znajomym, Kazimierzem Sawickim (późniejszym generałem, wyższym dowódcą Armii Krajowej, a potem ministrem w rządzie RP na uchodźstwie), powie mu – w obliczu wojny z bolszewikami: „Adam Czartoryski mawiał, że w Polsce są tylko dwie partie. Polska i antypolska. Ludzie podli i ludzie bez sumienia, ci, którzy pragnęli ojczyzny wolnej i niepodległej, i ci, którzy woleli upodlające obce panowanie".

On sam, choć urodzony w Kijowie (w roku 1878), najlepiej czujący się w Petersburgu, robiący majątek w Rosji, bliski rodzinie carskiej i podobno myślący nawet o małżeństwie z Tatianą Romanową, drugą córką Mikołaja II, nie wątpił w odrodzenie Polski. „Może to matka – czytamy – wpoiła mu to przekonanie? Czasami myślał, że trochę na przekór ojcu. Przecież ojciec… Kto to wie? Powinien się tego wstydzić? Skupu polskich majątków, które po powstaniu mogły przejść w obce ręce? Nie był w tym jedyny. Tak, niewielu dostało na to carskie pozwolenie. Nigdy ojca o to nie zapytał. Nie potępiał go, bo i jak? Zresztą przecież odsiedział swoje w kijowskiej twierdzy".

Rzeczywiście, Józef Klemens Jaroszyński, choć sam nie walczył w powstaniu styczniowym, wydatnie dofinansowywał powstańczą partię, kontaktował się ze spiskowcami, do niczego się jednak nie przyznał i za wstawiennictwem ordynata Tyszkiewicza został zwolniony z więzienia. Karol miał siedem lat, gdy ojciec umarł. Ale nic już odtąd nie było proste, o czym przekonał się w 1911 r., gdy najstarszy brat, Franciszek, przekazał granit z należącego do rodziny kamieniołomu na cokół pomnika Aleksandra II, za co został szambelanem dworu, ale Polacy nazwali go pogardliwie „kamieńjunkrem".

Był Karol Jaroszyński hazardzistą. Jako bardzo młody człowiek przegrał duże pieniądze i wykupywać musieli go bracia, później jednak szczęście uśmiechnęło się do niego, i to szeroko. W 1909 r. w Monte Carlo wygrał w ruletkę równowartość prawie 800 kg złota. Rozbił bank. Miał 31 lat i został milionerem, by później błyskawicznie pomnażać fortunę, a następnie niemal tak samo szybko ją stracić. A Sowieci nie zapomnieli, że był im wrogiem. W 1928 r. w Operze Paryskiej poczuł ukłucie, a później już nic nie pamiętał. Ledwie go odratowano; został otruty za pomocą szpikulca umieszczonego w zakończeniu laski zamachowca.

W zeszłym roku Instytut De Republica opublikował książkę Antoniego Dębińskiego i Magdaleny Pyter „Karol Jaroszyński. Atawistycznie obciążony wielkim hazardem życiowym", która dotarła jednak tylko do wąskiego kręgu odbiorców. Obecnie za sprawą powieści Wacława Holewińskiego Karol Jaroszyński ma szansę stać się postacią powszechnie znaną. Bez dwóch zdań wart jest tego, a o serialu o nim – gdyby taki powstał – z góry powiedzieć można jedno: na pewno nie będzie nudny. ©℗

★★★★☆☆

WACŁAW HOLEWIŃSKI „CIENIEM BĘDĄC, CIENIEM ZOSTAŁEM" WYDAWNICTWO LIRA, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 5501c57294

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zdarza się

Pełna empatii i ironii opowieść w 37 rozdziałach, zestawiona przez Suzanne McConnell, nie jest wbrew podtytułowi („Zasady twórczego pisania") podręcznikiem dla aspirujących autorów. Oczywiście każdy adept sztuki pisarskiej wyciągnie z niej kilka dobrych rad, ale to, co zrobi dalej, zależy już tylko od niego. Nie ma bowiem dwóch takich samych pisarzy, tak jak nie ma na świecie dwóch identycznych odcisków palców. Każdy musi odnaleźć własną drogę. I każdy musi zdecydować, co, od kogo i w jakim celu pożycza (podpatruje, kradnie, inspiruje się, uczy – jak zwał, tak zwał).

„Zlituj się nad czytelnikiem" zamienia się natomiast bardzo szybko w fascynującą opowieść o samym Kurcie Vonnegucie. McConnell, która autora „Rzeźni numer pięć" znała (od którego się uczyła i z którym przyjaźniła się długie lata), zestawiając jego rozsypane po różnych miejscach przemyślenia o pisaniu, układa w istocie biografię Vonneguta. Nie jest to jednak historia życia i dokonań (zainteresowanych odsyłam do książki Charlesa J. Shieldsa „Zdarza się, Kurt Vonnegut: życie"), lecz rodzaj kroniki zmagań twórczych. To zresztą chyba jedyny sposób nie tyle na naukę kreatywnego pisania (zasady konstrukcji i narracji znaleźć można w podręcznikach), ile na dzielenie się rozterkami twórcy. Możesz podpatrywać, dostrzegać przeszkody podobne do tych, które piętrzą się na twojej drodze, ale sposób na wyjście z kłopotów musisz już znaleźć sam.

Zdanie, którym Lew Tołstoj rozpoczyna „Annę Kareninę" („Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób"), pasuje jak ulał do życia artysty (każdego – nie tylko pisarza). Gdy jesteś na szczycie, wszystko wygląda mniej więcej tak samo dla każdego – uznanie, nagrody, pieniądze, festiwale. W drodze na szczyt każdy podąża własną ścieżką i najczęściej jest to ciężka mordęga.

Miliony ludzi czytało, czyta i będzie czytać książki Vonneguta, gdyż we wspaniały, zabawny i przerażający sposób zdołał w nich być nieszczęśliwy na swój własny sposób. Walcząc z własnymi traumami, nawołując „bądźcie dla siebie dobrzy" i wciąż odnotowując, że jest to głos wołającego na puszczy. „Powieść jest to zwierciadło, które obnosi się po gościńcu" – twierdził Stendhal. Otóż autor też jest zwierciadłem. Ustawia je dla nas Suzanne McConnell, wskazując na wybrane ustępy z dzieł Kurta. ©℗

★★★★☆☆

KURT VONNEGUT, SUZANNE MCCONNELL „ZLITUJ SIĘ NAD CZYTELNIKIEM" ZYSK I S-KA 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Trzydzieści lat po poruszającym „Sarajewskim marlboro" Jergović proponuje nowe opowiadania o wojnie i wywołanych przez nią spustoszeniach. Sequel głównie dla tych, którzy już tego autora cenią.

MILJENKO JERGOVIĆ „TRZEJ DO KARTALU" WYDAWNICTWO SEDNO

Żołnierka Szarych Szeregów, powstaniec warszawski, więziona i torturowana przez Niemców, zmarła z początkiem roku 1945. Pozostawiła intrygującą, niesłusznie zapomnianą spuściznę poetycką.

TERESA BOGUSŁAWSKA „WIERSZE ZEBRANE" PIW

Kim ma być tłumacz – choreografem słów w nowym układzie, ambasadorem, przyjacielem autora, dekonstruktorem dzieła? W zbiorze rozważań o naturze przekładu Swoboda zagłębia się w naturę języków.

TOMASZ SWOBODA „ZDANIA, GŁOSY, DESTYLATY" WYDAWNICTWO OFFICYNA

Warszawski rap lat 90. Nie tylko o tych, którym się udało, i nie tylko o klejeniu bitów. Także kawał historii ciemnej strony transformacji ustrojowej i życia codziennego pierwszej dekady III RP. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

FILIP KALINOWSKI „NIECHCIANI, NIELUBIANI" WYDAWNICTWO CZARNE

KOMIKS TYGODNIA: „UMPA-PA"

Zanim pojawiły się przygody Gala Asterixa (i reszty mieszkańców małej wioski w Galii), duet Goscinny-Uderzo stworzył pełną humoru opowieść o niezwykłej przyjaźni Indianina Umpa-py (z plemienia Szpokoszpoko) i francuskiego szlachcica de Kartofelle. Wszystkie pięć albumów serii ukazuje się w wydaniu zbiorczym, rozszerzonym o opowieść o sekretach warsztatu i współpracy jednego z najważniejszych tandemów w dziejach światowego komiksu. ©℗

poleca Piotr Gociek

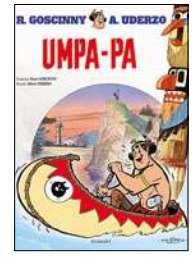

RENÉ GOSCINNY, ALBERT UDERZO „UMPA-PA" WYDAWNICTWO EGMONT POLSKA

eprasa.pl 5501c57294

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Czwartos na kolanach

Tytuł przekrojowej wystawy prac Ignacego Czwartosa w warszawskiej Zachęcie: „Malarz klęczał, jak malował" został wzięty z internetowego komentarza pod jednym z obrazów artysty. Cóż, Czwartos nie wstydzi się ani swych inspiracji i mistrzów, ani swych bohaterów, wśród których są Żołnierze Wyklęci. A pokazywanie heroizmu, patriotyzmu, tradycyjnych wartości często wzbudza drwinę, a bywa, że i coś gorszego.

FOT. NARODOWA GALERIA SZTUKI – ZACHĘTA

Jak na drwinę reaguje Czwartos? Zajrzyjmy do opisu wystawy: „Jeśli sformułowanie to rozumiemy jako poważne potraktowanie tego, co się robi, to rzeczywiście, klęczałem – zdaje się odpowiadać autor. Wszak każdy przed czymś/kimś klęka, każdy ma swoich bohaterów. A my przed czym klękamy? Malarstwo Ignacego Czwartosa zmusza nas do odpowiedzi na to pytanie".

Cykl poświęcony Wyklętym jest jednym z najbardziej przejmujących i wzbudzających największe emocje w całej twórczości Czwartosa. W pracach rozpiętych między życiem i śmiercią artysta „wskrzesza postaci tragicznych bojowników, każąc im czuwać na warcie w wieczystej adoracji, innym razem ukazuje kruchość ich ciał skatowanych przez ubeckich oprawców i rozczłonkowanych niczym martwe ryby z obrazów Andrzeja Wróblewskiego". ©℗

GDZIE? ***Warszawa, Zachęta***
KIEDY? ***do 28 maja***

FOT. MUZEUM SZTUK UŻYTKOWYCH W POZNANIU

EMERYTKA BARBIE

W tym roku stuknęły jej 64. urodziny, w Polsce Barbie mogłaby być już więc szczęśliwą emerytką. Czy to nam się podoba czy nie, lalka ta jest ikoną popkultury i jako taka trafiła na Zamek Królewski w Poznaniu na wystawę „Barbie. Nieznane oblicza". Zobaczyć na niej można kilkadziesiąt wcieleń najsłynniejszej lalki świata, które od lat 50. podążają za zmianami społecznymi – głównie społeczeństwa amerykańskiego, ale przecież nie tylko – w drugiej połowie XX i pierwszych dekadach XXI w. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Sztuk Użytkowych, Zamek Królewski w Poznaniu***
KIEDY? ***do 30 lipca***

NA SŁUCH

W Bieszczadach znowu grzmi

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

★★★★☆☆
KSU
„44"
MYSTIC

Rodzimi pionierzy punk rocka wydali 14. album i ruszają w trasę. Historia zespołu zaczęła się 44 lata temu w Ustrzykach Dolnych. Wówczas tablice rejestracyjne samochodów z tego miasta miały jako pierwsze wypisane litery KSU.

Eugeniusz „Siczka" Olejarczyk, jedyny z członków założycieli zespołu, wciąż ma wiele powodów do wkurzenia. Dziś z zaangażowaniem wykrzykuje teksty w rodzaju: „Polsko, wracaj do siebie, jak długo można szczuć / Czy się tu zrobi lepiej, gdy nas pogodzi wróg?". Słowa do 13 piosenek napisał Marcin Stefański, przyjaciel zespołu. KSU dawno porzucił punkrockowy minimalizm, wprowadzając do swojej muzyki choćby instrumenty ludowe (m.in. lirę korbową, cymbały, harfę gotycką). Mimo rozszerzenia stylistyki i szukania nowych brzmień zespół nigdy nie odkrywa nowych lądów. Również „Czwórki" nie przynoszą przełomu, ale wierni fani zapewne będą zadowoleni, bo dawna moc nie zniknęła. W trzech utworach grupę wspomaga Oley, punkowy weteran z Proletaryatu.

Niewątpliwym atutem albumu, w wersji digipack, jest Blu-ray zawierający blisko trzygodzinny koncert zarejestrowany z okazji jubileuszu 40-lecia istnienia zespołu. Wzięli w nim udział m.in. Skiba, Jasio Kidawa, Ania Orthodox i sześcioosobowa sekcja instrumentów nierockowych. Zobaczymy i usłyszymy 47 piosenek zarejestrowanych w formacie 4K. ©℗

★★★★☆☆
BEATA KOZIDRAK
„4B"
SONY
„To najbardziej osobista płyta w mojej karierze" – wyznaje Beata Kozidrak. Jej czwarty album solowy przynosi syntetyczny pop w duchu lat 80. „Azyl" brzmi jak dawna Trojanowska, w „Biegiem" wije się Kamil Bednarek, a na koniec jest monumentalna ballada „Anioł i diabeł".

★★★★★☆
SLEAFORD MODS
„UK GRIM"
ROUGH TRADE
W szczytowym momencie brexitu duet miał hit z gniewną piosenką „Spare Ribs". „UK Grim" jest opowieścią o paranoi postpandemicznego świata. Andrew Fearn i Jason Williamson zwalczają zło i głupotę, tworząc nowoczesną muzykę protestu. Wśród gości są m.in. muzycy zespołu Jane's Addiction. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

PRAWNA OBRONA § PRZED POLONOFOBIĄ

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 13

Skuteczność polskich sądów za granicą

• Batalie prawne przeciw kłamstwom historycznym
• Niemieckie sądy kontra polskie ofiary • Przeciwdziałanie polonofobii za granicą
• Unijna kasta na wojnie z Polską

FOT. ADOBE STOCK

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

TYGODNIK POLSKI DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl 5501c57294

FOT. ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

51 MONIKA BRZOZOWSKA-PASIEKA, JERZY PASIEKA

PROCESY PRZYNOSZĄ DOBRE OWOCE

Z adwokatami zajmującymi się m.in. prowadzeniem spraw sądowych o kłamstwa historyczne rozmawia Piotr Włoczyk

56 LECH OBARA, SZYMON TOPA

NIEMIECKI TARAN PRAWNY

Potomkowie sprawców wojny zatrzymują egzekucję prawdy historycznej, a winowajcy przebierani są w szaty ofiar

60 ZUZANNA DĄBROWSKA

RAK POLONOFOBII

Polonofobia za granicą jest zjawiskiem, które wciąż ma się dobrze. Co prawda, masowa pomoc Polaków dla ukraińskich uchodźców nieco przesłoniła produkowane na wielką skalę kłamstwa o naszym kraju, jednak nie oznacza to, że uporaliśmy się z problemem

64 KAROL GAC

PE PRZECIW POLSCE

Od przejęcia władzy w 2015 r. Zjednoczona Prawica mierzy się z bezpardonowymi atakami na Polskę w Parlamencie Europejskim, które prowadzone są pod hasłem „walki o praworządność”

eprasa.pl 5501c57294

Procesy przynoszą dobre owoce

Z mecenasami Moniką Brzozowską-Pasieką oraz Jerzym Pasieką
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Już od dekady prowadzą państwo sprawę z powództwa mjr. Zbigniewa Radłowskiego oraz Światowego Związku Żołnierzy AK (ŚŻŻAK), którzy pozwali twórców niemieckiego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie", żądając przeprosin za to, jak przedstawieni zostali w nim akowcy. Co pokazuje ta sprawa?

DR MONIKA BRZOZOWSKA-PASIEKA: Przede wszystkim to, jak trudne są procesy o kłamstwa historyczne wytaczane zagranicznym podmiotom. Ta sprawa była od początku niezwykle skomplikowana. Zaczęliśmy ją w 2013 r., więc obchodzimy właśnie dziesięciolecie, a powodowie wciąż czekają na sprawiedliwość.

Udało się państwu uzyskać prawomocny wyrok nakazujący opublikowanie przeprosin za kłamliwe przedstawienie AK jako organizacji antysemickiej, ale twórcy serialu złożyli skargę kasacyjną i z powodu zamieszania prawnego w Sądzie Najwyższym końca tej sprawy nie widać...

JERZY PASIEKA: Mamy prawomocny wyrok, ale jego wykonanie jest wstrzymane do momentu rozpoznania kasacji. Niestety, spór o kształt wymiaru sprawiedliwości odbija się na działaniu SN, co dodatkowo opóźnia definitywne zamknięcie tej sprawy.

Major Radłowski ma 98 lat, więc czas nie gra na jego korzyść. Można odnieść wrażenie, że w sprawach sądowych z historią w tle obrońcy pozwanych liczą często, że biologia „zrobi swoje" i proces zostanie w ten sposób zakończony po ich myśli. Przypomnijmy tylko, że pan Karol Tendera, który pozwał ZDF za użycie frazy „polskie obozy zagłady", nie doczekał końca tej sprawy...

M.B.P: Tak, czas ewidentnie nie gra na korzyść polskich ofiar drugiej wojny światowej, które poczuły się obrażone przez kłamstwa historyczne. Tym bardziej należy się im szacunek za to, że w tak podeszłym wieku znajdują w sobie jeszcze tyle siły, by chodzić do sądów i prostować wykrzywione opowieści o polskiej historii. Przypomnijmy choćby sprawę pani Filomeny Leszczyńskiej – uzyskaliśmy korzystny wyrok w I instancji, potem niekorzystny w II instancji i w momencie, kiedy mieliśmy

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 5501c57294

gotową skargę kasacyjną, pani Leszczyńska zmarła. A według mnie, w świetle orzecznictwa ETPC, miałaby duże szanse przed naszym Sądem Najwyższym.

Tym bardziej szkoda więc pierwszych trzech lat, gdy w sprawie serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" nie działo się właściwie nic. Niestety, nie było widać większej aktywności ze strony sędzi, która wylosowała tę sprawę. Dopiero kiedy sprawę przed Sądem Okręgowym w Krakowie przejął sędzia Kamil Grzesik, proces „ruszył z kopyta". To pokazuje, jak wiele zależy od sędziego, jego sprawności i przygotowania merytorycznego. Sędzia przeprowadził całość postępowania dowodowego w ciągu dwóch lat, co w polskich warunkach jest bardzo dobrym wynikiem. Wysłuchano bardzo wielu świadków, przeprowadzono analizy biegłych, kilka rozpraw zajęło nam oglądanie filmów (strona pozwana dołączyła również inne filmy i sąd zdecydował je obejrzeć), wszyscy zaangażowani w tę sprawę mieli bardzo dużo pracy. Druga strona podnosiła, że przeprosiny są bezzasadne, ponieważ twórcom serialu przysługuje wolność artystyczna i wolność słowa. Twierdzili oni, że ich produkcja nie była wiernym opisem historycznym, lecz była to fikcja. A przede wszystkim podnoszony był zarzut, że sąd polski nie jest właściwy. Sąd nie uznał jednak tych argumentów, a wyrok był zgodny z oczekiwaniami powodów.

Niestety, w II instancji pojawił się zarzut, że rozpoznający sprawę jeden z sędziów może nie być niezależny, co opóźniło proces, ale jednak twórcy serialu znów przegrali. Wciąż czekamy na wynik skargi kasacyjnej.

Początki takich spraw były trudne, ponieważ adwokaci nie mieli odpowiednich narzędzi prawnych, by w polskich sądach dochodzić praw Polaków, którzy poczuli się obrażeni kłamstwami historycznymi kolportowanymi przez zagraniczne podmioty. Co było w tym kontekście najbardziej problematyczne?

M.B.P.: Gdy zaczynaliśmy reprezentować przed sądem mjr. Radłowskiego i ŚŻAK, praktycznie równolegle występowali do sądu w sprawie pana Karola Tendery mec. Lech Obara i mec. Szymon Topa. My działaliśmy sami, z czasem pomagać zaczęła nam – przy tej i innych sprawach – Reduta Dobrego Imienia (RDI), a mec. Obara i mec. Topa reprezentowali stowarzysze-

eprasa.pl 5501c57294

Od lewej: mec. Jerzy Pasieka, mec. Monika Brzozowska-Pasieka oraz mjr Zbigniew Radłowski FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

nie Patria Nostra. Nasze procesy były prowadzone w zasadzie równolegle. W tamtym czasie inne kancelarie nie zajmowały się takimi sprawami. Zaprzyjaźniliśmy się z mecenasami ze stowarzyszenia Patria Nostra, ponieważ uznaliśmy, że łącząc siły, będziemy skuteczniejsi w przecieraniu tego niezbadanego szlaku.

Mecenas Obara wspominał w wywiadzie dla „Do Rzeczy", że to było autentyczne „wykuwanie narzędzi", których polskie prawo wcześniej nie znało...

J.P.: To prawda. Była to prawna terra incognita. Z tego, co wiem, nikt inny poza nami nie zdecydował się na prowadzenie tego typu spraw, co więcej – część prawników w branżowych pismach podnosiła, że sąd polski nie powinien się tym zajmować, ponieważ nie jest właściwy. Początkowo nie mogliśmy się nawet powoływać na orzecznictwo polskie, ponieważ takie orzecznictwo po prostu nie istniało. Musieliśmy więc szukać pomocy w wyrokach sądów międzynarodowych.

Problemem było nazwanie naruszonego dobra?

M.B.P.: Tak. Nie wiedzieliśmy początkowo, jak nazwać to dobro osobiste. Przypomnę tylko, że art. 23 Kodeksu cywilnego wymienia katalog dóbr osobistych, m.in. godność, cześć oraz wizerunek. Bardzo pomogli nam w tym prof. Aurelia Nowicka oraz dr Filip Rakiewicz. Napisali oni – w tym samym czasie i chyba nawet pod wpływem naszych procesów – tekst naukowy o tożsamości narodowej. To był przełom, który wprowadził nową kategorię dobra osobistego. Kodeks cywilny powstał w latach 60., gdy katalog dóbr osobistych był ograniczony, i przez ten czas wiele nowych dóbr pojawiło się w orzecznictwie. Przykładem jest choćby prywatność, której w latach 60. w ogóle nie przewidywano. W podobny sposób „wykute" zostało przez nas w polskim orzecznictwie prawo do tożsamości narodowej.

Dziś może się to wydawać czymś oczywistym, ale 10 lat temu była to istna „prawnicza droga przez mękę". Posługiwaliśmy się na tej drodze orzecznictwem Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPC), czyli orzecznictwem międzynarodowym w zakresie tego dobra osobistego. W pewnym stopniu pomogły nam nawet roszczenia żydowskie. To bardzo ciekawa sprawa. W latach 80. i 90., zwłaszcza w Niemczech, Żydzi wchodzili na drogę sądową przeciwko różnym organizacjom czy osobom za naruszenie ich godności. Jeden z pierwszych wyroków zapadł w latach 80., gdzie powodem był wnuk więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego, który pozwał swojego sąsiada za naruszenie dóbr osobistych spowodowane obrażeniem Żydów jako narodu, bez wymieniania konkretnych osób. I wygrał – również przed ETPC. Natomiast najsłynniejszym przykładem była sprawa sądowa wytoczona PETA – organizacji broniącej praw zwierząt.

PETA postanowiła wstrząsnąć opinią publiczną, porównując hodowle zwierząt do Holokaustu...

M.B.P.: Trudno się więc dziwić, że ofiary Zagłady były oburzone tą kampanią. Została ona przez nich zablokowana w Niemczech. Niemieckie sądy przyznały im rację, podobnie jak Europejski Trybunał Praw Człowieka, który musiał rozstrzygnąć, czy zablokowanie takiej kampanii społecznej narusza wolność słowa. Trybunał – cytując zresztą Immanuela Kanta i przywołując wiele innych swoich wyroków – wskazał, że stwierdzenia w rodzaju „Holokaust na talerzu" są obrażające dla wszystkich więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych i naruszają godność ofiar drugiej wojny światowej. I to m.in. na to orzeczenie powołaliśmy się, prowadząc sprawę mjr. Radłowskiego i ŚZŻAK.

> **Początkowo polskie sądy, podobnie zresztą jak doktryna, nie były skłonne zajmować się takimi sprawami**

Kolejnym problemem było miejsce rozpoznawania sprawy. To, że polski sąd będzie się wypowiadał w sprawie serialu wyprodukowanego przez Niemców, wcale nie było takie oczywiste. Jak to wcześniej wyglądało?

M.B.P.: Początkowo polskie sądy, podobnie zresztą jak doktryna, nie były skłonne zajmować się takimi sprawami, twierdząc, że skoro pozwanym jest niemiecki podmiot, to powód powinien dochodzić swoich praw przed niemieckimi sądami. Znaleźliśmy wówczas wyrok dotyczący aktora Oliviera Martineza, Francuza, którego związek z Kylie Minogue został opisany przez portal internetowy Sunday Mirror. Powołał się on na francuski kodeks i kwestie dotyczące prywatności i wniósł sprawę do francuskiego sądu, z czym nie zgadzał się angielski dziennik. Francuski sąd zwrócił się z pytaniem prejudycjalnym do TSUE, który potwierdził możliwość pozwania zagranicznego wydawcy przed francuskim sądem, który był właściwy dla Martineza. Był to precedens, z którego skorzystaliśmy. Obecnie jest to już w UE powszechnie przyjęta praktyka.

Dziesięć lat temu musieliśmy jednak przekonywać polski sąd, że polski

eprasa.pl 5501c57294

obywatel jak najbardziej może pozywać na terytorium RP niemiecką telewizję czy portal internetowy, jeżeli poczuł się obrażony daną publikacją. Większość pozwu, oprócz opisu stanu faktycznego, zabrało uzasadnienie jurysdykcji polskiego sądu. To również była droga niezwykle trudna, a także – z drugiej strony – intelektualnie fascynująca. Przeszukiwaliśmy w bibliotekach prace doktorskie, które poruszały ten temat, przeanalizowaliśmy wiele orzeczeń TSUE, poszukiwaliśmy artykułów naukowych w branżowych wydawnictwach prawniczych on-line. Byliśmy całkowicie zaangażowani w tę sprawę, czego owocem były też nasze późniejsze publikacje naukowe. W tym czasie zaczęła nam pomagać Reduta Dobrego Imienia. Składaliśmy kolejne pozwy dotyczące kłamstw historycznych i okazało się, że sprawy te są przyjmowane, a polskie sądy w znacznej mierze przychylają się do argumentacji pozywających. Z biegiem czasu pojawiła się pewna linia orzecznictwa, co również pomogło pozwowi pierwotnemu, który dotyczył ZDF.

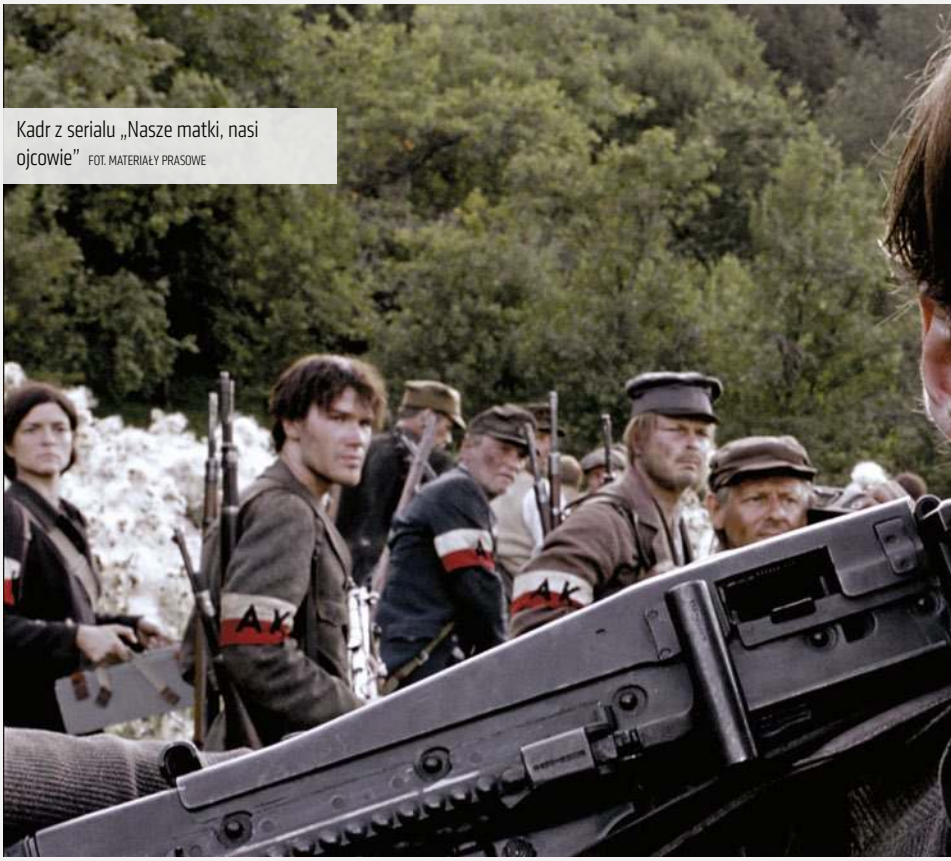

Kadr z serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Własnoręczne „wykucie” nowych narzędzi prawnych musi dawać ogromną satysfakcję...

J.P.: Tak, procesy z historią w tle są dla nas bardzo ważne, głównie z uwagi na nasze rodzinne historie. Ja prowadzę praktykę od ponad 30 lat. W 2013 r. od ponad dekady zajmowaliśmy się sprawami z zakresu dóbr osobistych, ale to był pierwszy pozew, nad którego przygotowaniem spędziliśmy tak dużo czasu – ponad dwa miesiące... W kancelarii podzieliliśmy się pracą: część naszych adwokatów przeglądała wyroki ETPC, wszystkie dotyczące godności, inni analizowali kwestie jurysdykcji, część naszych aplikantów siedziała w bibliotekach, wertując różne niedostępne on-line prace naukowe, my z żoną uczestniczyliśmy w konferencjach naukowych i odbywaliśmy wiele spotkań z profesorami prawa. Wszystko po to, by przewidzieć każdy możliwy krok prawny. Wymierne rezultaty na sali sądowej były niezmiernie satysfakcjonujące. Ale – jak to się mówi – kto nie próbuje, ten już przegrał.

Jak już jednak wspomnieliśmy, skarga kasacyjna nie pozwala na razie zamknąć sprawy mjr. Radłowskiego i ŚŻAK.

J.P.: Tak, mamy prawomocne orzeczenie nakazujące ZDF przeproszenie, ale wyrok ten wciąż nie został zrealizowany. Jednak to, że można pozwać zagraniczne podmioty medialne szerzące kłamstwa historyczne, i fakt, że takie procesy mogą toczyć się w Polsce, należy uznać za ogromny sukces. W ten sposób druga strona nie czuje się już zupełnie bezkarna. Tym bardziej że nie mówimy tu tylko o jednym procesie. W 2018 r. uzyskaliśmy przykładowo kapitalny wyrok dla prezesa RDI, który postanowił pozwać portal Frankfurter Rundschau za sugestię, że Polacy jako naród brali udział w Zagładzie Żydów. I wygraliśmy. Potem mieliśmy jeszcze na koncie kilka sukcesów w sporach z zagranicznymi portalami. Część z nich zakończyła się ugodą.

Gołym okiem widać, że pozywanie niemieckich portali zaczęło przynosić dobre owoce. Właściwie nie słyszy się już w tej chwili, żeby niemieckie media mówiły o „polskich obozach zagłady” czy też „polskich gettach”. Obecnie, gdy niemieccy wydawcy wiedzą już doskonale, że Polacy walczą przed sądami z takimi stwierdzeniami, a polski sąd może nakazać przeproszenie lub wypłatę zadośćuczynienia, niemieccy dziennikarze wiedzą, jakich słów powinni się wystrzegać. To najlepszy, najbardziej satysfakcjonujący owoc naszej pracy.

Nawiasem mówiąc, nasze interwencje w sprawach o kłamstwa historyczne nie dotyczą jedynie mediów zagranicznych. Wygraliśmy też z RDI proces wytoczony „Newsweekowi Polska” za tekst o rzekomych „polskich obozach koncentracyjnych”. Sąd w Warszawie stwierdził, że nie wolno nazywać obozów instalowanych przez komunistów „polskimi obozami koncentracyjnymi”, ponieważ narusza to dobra osobiste Polaków. To był precedensowy wyrok – przeszedł on przez dwie instancje, które orzekły dokładnie tak samo.

Jakby mało było problemów wiążących się z pozywaniem w Polsce za kłamstwa zagranicznych mediów, to w 2021 r. TSUE odpowiedział na pytanie prejudycjalne polskiego sądu w kontekście spraw historycznych. Wynika z niego, że o ile dana osoba nie została z imienia i nazwiska obrażona, o tyle nie można pozywać przed sądem krajowym medium działającego w innym kraju UE. Co to oznacza dla przyszłych procesów o kłamstwa historyczne?

J.P.: Nie przywiązywałbym aż tak wielkiej wagi do tego orzeczenia i mimo

eprasa.pl 5501c57294

Większość sędziów jest autentycznie zaciekawiona tymi sprawami i rozumie uczucia, jakie kłamstwa historyczne wywołują u ofiar niemieckich zbrodni

wszystko próbowałbym dalej pozywać przed polskimi sądami zagraniczne media kłamiące na temat naszej historii. Pamiętajmy bowiem, że jest ono sprzeczne z poprzednim orzeczeniami TSUE w takich sprawach.

Jak dziś wygląda skuteczność polskich sądów za granicą w sprawach o kłamstwa historyczne?

J.P.: Niestety, w żadnej ze spraw historycznych nie doszliśmy jeszcze do etapu egzekucji za granicą wyroków polskich sądów. Sprawa Karola Tendery pokazuje, że może być z tym problem, ponieważ niemiecki Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe zablokował wykonanie orzeczenia polskiego sądu, co było bardzo kontrowersyjną decyzją, zważywszy na automatyzm wykonywania wyroków na terenie UE. Skarga na ten krok skierowana została do ETCP, więc musimy jeszcze poczekać na ostateczne orzeczenie. I chociaż my również czekamy na rozpoznanie skargi kasacyjnej, to jednak nie mam poczucia, że nasze starania nie są tak skuteczne, jak byśmy tego chcieli.

Pamiętajmy, że dla ofiar drugiej wojny światowej ważne jest, iż kolejne instancje przyznają im rację. Mam wrażenie, że dla mjr. Radłowskiego i członków ŚZŻAK uzyskanie wyroku jest nawet ważniejsze niż jego egzekucja. To chyba porównywalna sytuacja do głośnego procesu, który rodziny ofiar zestrzelenia malezyjskiego samolotu wytoczyły w USA jednemu z rosyjskich separatystów z Doniecka. Wywalczyły one przed sądem amerykańskim olbrzymie odszkodowanie. Bliscy ofiar i ich pełnomocnicy przyznali, że egzekucja wyroku będzie praktycznie niemożliwa, ale jednak dla nich liczy się przede wszystkim decyzja sądu, gdzie jasno zostało powiedziane, kto odpowiada za tę zbrodnię. Daje to bowiem ofiarom namiastkę poczucia sprawiedliwości, które często jest właśnie przez te osoby tak bardzo oczekiwane. Polskie ofiary niemieckich zbrodni podobnie patrzą na te sprawy. Widzą, że państwo polskie dba o ich prawa i bierze pod uwagę ich uczucia narodowe. Ci ludzie naprawdę nie walczą przed sądem o pieniądze dla siebie, tylko o elementarną przyzwoitość, o poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość.

M.B.P.: Wciąż jest niemała szansa, że te wyroki zostaną wykonane. Często powtarzam aplikantom i studentom, że prawnik nie może się poddawać – trzeba walczyć do samego końca, do ostatniej instancji, bo czasami dopiero sądy takie jak ETPC przyznają rację stronie pokrzywdzonej. I sama trzymam się tej zasady.

Czy z państwa doświadczenia wynika, że polscy sędziowie są generalnie wyczuleni na fałszowanie naszej historii?

M.B.P.: W przypadku spraw z zakresu kłamstw historycznych widać profesjonalizm polskich sędziów. Prowadziliśmy wiele takich spraw i nie spotkaliśmy się po stronie sędziów z działaniami, które można byłoby uznać za kontrowersyjne. Sprawy rozpoznawane są w sposób poważny, nikt nigdy w naszej obecności nie pozwalał sobie na sali sądowej na jakiekolwiek komentarze, które wskazywałyby na brak wrażliwości dla uczuć ofiar drugiej wojny światowej. Powiedziałabym, że to działa wręcz w drugą stronę: większość sędziów jest autentycznie zaciekawiona tymi sprawami i rozumie uczucia, jakie kłamstwa historyczne wywołują u ofiar niemieckich zbrodni.

J.P.: Od strony intelektualnej takie procesy są bez wątpienia bardzo ciekawe zarówno dla adwokatów, jak i – wydaje mi się – sędziów, ponieważ bardzo różnią się od innych spraw, które rozpatrywane są w naszych sądach. Często też na sali sądowej towarzyszy nam publiczność. Pamiętam, jak podczas zeznań w sprawie serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" mjr Radłowski opowiadał o przyjaźni z pewnym lekarzem. I kiedy powiedział „Korczak – tak on się nazywał" cała sala zdała sobie sprawę, że faktycznie mamy unikalną możliwość obcowania z naszą historią. I to jest wartość dodana w tych procesach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mecenas Monika Brzozowska-Pasieka oraz mecenas Jerzy Pasieka są adwokatami z Kancelarii Pasieka, Derlikowski, Brzozowska i Partnerzy, zajmują się m.in. prowadzeniem spraw sądowych o kłamstwa historyczne.

eprasa.pl 5501c57294

Niemiecki taran

Lech Obara, Szymon Topa

Potomkowie sprawców wojny zatrzymują egzekucję prawdy historycznej, a winowajcy przebierani są w szaty ofiar

Niemcy znani są z prowadzenia skutecznej polityki historycznej. Udało im się przekonać świat, że zbrodnie przeciw ludzkości popełnione w okresie drugiej wojny światowej były spowodowane przez bliżej nieokreśloną organizację nazistów. Czyli jakąś grupę fanatyków, rasistów i ksenofobów różnej narodowości (według nich przede wszystkim kolaborantów z Europy Wschodniej), połączonych ideą nienawiści wobec Żydów.

W 2019 r. Katarina Barley, ówczesna szefowa niemieckiego resortu sprawiedliwości, bez żadnego skrępowania przy okazji rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej wypowiedziała następujące słowa: „Nie tylko dla nas, Niemców, jest to dzień wyzwolenia". Zdanie to wpisuje się w niemiecką politykę historyczną, której elementem jest budowanie przekonania, że Niemcy również są ofiarami wojny. Nie były to słowa przypadkowe. Dwa lata później, w trakcie uroczystości upamiętniających D-Day, sama kanclerz Angela Merkel nie obawiała się stwierdzić, że „ta niezwykła wojskowa operacja w końcu doprowadziła do wyzwolenia nas od nazistów".

Pokazuje to, że niemiecki establishment zarządza procesem kształtowania w społeczeństwie postawy depersonalizacji winy za drugą wojnę światową. Jest to oczekiwane przez społeczeństwo, które chce uwolnić się od brzemienia pamięci o zbrodniach popełnionych przez pokolenie ich dziadków i babć. Jak wyjaśniał prof. Stephan Lehnstaedt, niemiecki historyk i profesor w Touro College w Berlinie (uczelnia zajmująca się kształtowaniem pamięci o Holokauście): „Pamięć niemiecka podąża za kompleksami zbrodni, takimi jak Holokaust, »eutanazja«, prześladowania Sinti i Romów oraz homoseksualistów. Wina za wojnę i Holokaust jest niekwestionowana, ale jest też zdepersonalizowana. Sprawstwo z reguły nie pojawia się w pamięci niemieckich rodzin – jedna trzecia Niemców uważa, że ich przodkowie byli ofiarami wojny".

Świadomość historyczną niemieckiego społeczeństwa najlepiej oddaje

eprasa.pl 5501c57294

Były niemiecki obóz zagłady Auschwitz-Birkenau

FOT. ADOBE STOCK

prawny

serial „Nasze matki, nasi ojcowie". Jest on efektem niemieckiej potrzeby odciążenia swojej pamięci, jednakże dzieje się to kosztem pamięci o polskich ofiarach wojny, bohaterstwie polskich partyzantów, a także pamięci o sprawstwie Holokaustu. W jego produkcji wzięła udział niemiecka telewizja publiczna (ZDF). Kurtyna opadła. Niemieckie publiczne instytucje same ujawniły się w roli kluczowych aktorów procesu zniekształcania w powszechnej świadomości historycznej pamięci o odpowiedzialności Niemiec za drugą wojnę światową.

OFIARY SIĘGAJĄ PO PRAWO

Wydawca dziennika „Die Welt" był pierwszym, który został pozwany przez Zbigniewa Osewskiego przed polskim sądem za formułowanie wypowiedzi sugerujących, jakoby to Polacy byli odpowiedzialni za powstanie takich obozów zagłady jak Auschwitz, Majdanek i Sobibór. Sprawa ta budziła nieznaczne zainteresowanie opinii publicznej. Idea pociągania do odpowiedzialności cywilnej przed polskim sądem zagranicznych dziennikarzy za wypowiedzi o „polskich obozach" stanowiła raczej ciekawostkę.

Dopiero gdy niemiecka telewizja publiczna zaczęła dystrybuować serial „Nasze matki, nasi ojcowie", polityka historyczna Berlina przestała być wyłącznie tematem nieśmiałych badań historyków, wypowiedzi niektórych polityków czy aktywności społeczników. Stała się przedmiotem ogólnokrajowej debaty. Zwiększył się krąg osób zainteresowanych skorzystaniem z prawnych środków przeciwdziałania fałszowaniu pamięci o niemieckim sprawstwie zbrodni.

Janina Luberda-Zapaśnik, działaczka organizacji zrzeszającej byłych więźniów obozów koncentracyjnych, starająca się zachować w świadomości społecznej pamięć o członkach jej rodziny i innych ofiarach pomordowanych w obozie Lebrechtsdorf, pozwała wydawcę serwisu internetowego Focus online. Również Karol Tendera, były więzień obozu Auschwitz, wieloletni działacz na rzecz upowszechniania wśród młodzieży pamięci o cierpieniach więźniów w obozach zagłady, zdecydował się – z pomocą prawników Stowarzyszenia Patria Nostra – pozwać telewizję ZDF za wypowiedź o „polskich obozach" opublikowaną na jej stronie internetowej. To właśnie jego żądanie opublikowania przeprosin, wsparte stanowiskiem Rzecznika Praw Obywatelskich, zostało przez Sąd Apelacyjny w Krakowie uwzględnione w wyroku z dnia 22 grudnia 2016 r. Pierwszy raz polski sąd orzekł wobec niemieckiej telewizji publicznej nakaz przeproszenia polskiego obywatela za naruszenie jego dóbr osobistych w związku z posługiwaniem się określeniem „polski obóz zagłady". Następnie 23 marca 2021 r. Sąd Apelacyjny w Krakowie nakazał niemieckiej telewizji ZDF przeprosić Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie, reprezentowany przez prawników Reduty Dobrego Imienia, za to, że w serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" AK została przedstawiona jako organizacja antysemicka.

Nierozstrzygnięte ostatecznie zostały jeszcze dwie sprawy zainicjowane przez Stanisława Zalewskiego, prezesa Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Również z pomocą prawników Stowarzyszenia Patria Nostra pozwał on wydawcę czasopisma „Mittelbayerischer" i wydawcę niemieckiego radia Bayerischer Rundfunk. Rozpowszechniały one bowiem wadliwe kody pamięci o obozach koncentracyjnych. Sprawy na razie nie mogą się toczyć, gdyż Sąd Najwyższy ma dopiero stwierdzić, czy mogą one być rozstrzygnięte przez polskich sędziów. Jest to pokłosie wyroku TSUE z dnia 17 czerwca 2021 r. w sprawie C-800/19. W wyroku tym TSUE, rozważając kwestię jurysdykcji w sprawach o naruszenie dóbr osobistych przez Internet, zakwestionował możliwość zastosowania

eprasa.pl 5501c57294

łącznika tzw. centrum spraw życiowych poszkodowanego naruszeniem dóbr osobistych, jeśli wypowiedź zniesławiająca nie odnosiła się wprost do poszkodowanego wnoszącego pozew. Sąd Najwyższy rozstrzygnąć ma, czy pomimo tego orzeczenia w tego rodzaju sprawach jest dopuszczalna jurysdykcja polska w oparciu o inne reguły kolizyjne. Takie stanowisko wyraził chociażby Rzecznik Praw Obywatelskich RP.

PARASOL TRYBUNAŁU

Jeśli Sąd Najwyższy otworzy Stanisławowi Zalewskiemu możliwość dochodzenia roszczeń przeciwko bawarskim wydawcom i uzyska korzystny dla siebie wyrok, nie oznacza to od razu, że zostanie on wykonany. Wspomniany już wyrok w sprawie przeciwko ZDF nie został dotychczas wykonany i to pomimo zakończenia postępowania kasacyjnego (ZDF cofnęła wniesioną przez siebie skargę kasacyjną). Los wyroku w sprawie serialu leży teraz w gestii polskiego Sądu Najwyższego. Niemniej jest to wyrok prawomocny. Po uzyskaniu klauzuli wykonalności może on stanowić podstawę postępowania egzekucyjnego.

Wykonanie wspomnianych wyroków polskich sądów na chwilę obecną nie jest jednak możliwe. Wynika to z postanowienia Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, najwyższego organu sądowniczego, stojącego na czele niemieckiego sądownictwa cywilnego i karnego. Odmówił on uznania na terenie tego państwa wykonalności prawomocnego polskiego wyroku, nakazującego niemieckiej telewizji publicznej przeproszenie na swojej stronie internetowej Karola Tendery. Innymi słowy, zdaniem niemieckiego odpowiednika Sądu Najwyższego ZDF nie musi wykonywać polskiego wyroku i niemieckie organy egzekucyjne nie mogą na jego podstawie prowadzić egzekucji.

Tymczasem zasada uznawania w obrębie Unii Europejskiej wyroków jest jednym z ważniejszych elementów integracji europejskiej, jednym z fundamentów funkcjonowania wolnego rynku. Obowiązywanie zasady uznawania w danym państwie członkowskim (np. w Niemczech) orzeczeń wydawanych przez sądy innego państwa członkowskiego (np. w Polsce) ma za cel utrzymanie i rozwój obszaru wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości, w którym zagwarantowany jest swobodny przepływ osób, a tym samym zapewnienie środków niezbędnych do należytego funkcjonowania rynku wewnętrznego.

Zgodnie ze wspomnianą zasadą wyrok wydany przez sąd jednego państwa członkowskiego może być egzekwowany w innym państwie członkowskim, np. zasądzona należność przez polski sąd ma być egzekwowana w Niemczech, jeżeli to w tym państwie znajduje się majątek pozwanego/dłużnika. Oznacza to, że organy egzekucyjne danego państwa winny dążyć do wykonania wyroku wydanego przez sąd innego państwa, tak jakby został on wydany przez sąd państwa, w którym ta egzekucja ma być przeprowadzona. Podstawową zasadą uznawania wyroków zagranicznych jest zakaz dokonywania przez sąd państwa, w którym wyrok ma być uznany, oceny jego zasadności (np. badania, czy rzeczywiście pozwany/dłużnik miał obowiązek zapłacenia zasądzonej kwoty).

Unijny ustawodawca dopuścił wyjątkowe sytuacje, w których może dojść do odmowy uznania zagranicznego wyroku

Unijny ustawodawca dopuścił wyjątkowe sytuacje, w których może dojść do odmowy uznania zagranicznego wyroku. Jednym z takich wyjątków jest zasada „ordre public" (porządku publicznego), czyli sytuacja, w której uznanie zagranicznego wyroku byłoby „oczywiście sprzeczne z porządkiem publicznym państwa członkowskiego, w którym wystąpiono o uznanie".

NIEMIECKA LOGIKA

To właśnie na wspomnianą zasadę powołał się niemiecki Trybunał, odmawiając wykonania w sprawie Karola Tendery prawa unijnego. Niemieccy sędziowie w uzasadnieniu postanowienia przekonywali, że treść przeprosin określonych przez Sąd Apelacyjny w Krakowie w części, w jakiej opisuje inkryminowaną wypowiedź, jako fałszowanie historii i naruszenie dóbr osobistych byłego więźnia obozu koncentracyjnego, jest opinią. W efekcie niemiecki ZDF – w ich ocenie – byłby w ten sposób sądownie zmuszony do publikacji i sygnowania cudzej opinii. Tymczasem, jak twierdzą niemieccy sędziowie, podstawową normą prawa niemieckiego jest wolność od głoszenia cudzych opinii.

Krytyka tego orzeczenia nie jest trudna. Zastosowanie klauzuli porządku publicznego jest zarezerwowane dla wyjątkowych sytuacji, w których sprzeczność skutków danego wyroku z porządkiem prawnym państwa uznającego jest oczywista. Powinna ona być dostrzegalna prima facie, czyli bez konieczności pogłębionych rozważań prawnych. Tymczasem to właśnie orzeczenie niemieckiego Trybunału prima facie budzi wątpliwość, a o oczywistości naruszenia prawa niemieckiego trudno tu mówić. Dość wskazać, że niemieccy sędziowie w I i II instancji nie dostrzegali sprzeczności pomiędzy sądowym nakazem opublikowania oświadczenia o określonej treści, nałożonym na ZDF przez Sąd Apelacyjny w Krakowie, a przyjętymi w Niemczech zasadami ochrony swobody wypowiedzi, mimo formułowania tego typu zarzutów przez prawników ZDF. Nie można też pominąć, że sądowy nakaz publikowania oświadczenia według wskazówek zawartych w orzeczeniu, jak wynika z wielu orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, nie stoi w sprzeczności ze swobodą wypowiedzi. Przede wszystkim jednak uzasadnienie orzeczenia niemieckiego Trybunału wskazuje, że niemieccy sędziowie nie byli zadowoleni z tego, jak polscy sędziowie rozstrzygnęli tę sprawę. To z kolei jest naruszeniem zakazu dokonywania merytorycznej oceny wyroku sądu innego państwa członkowskiego.

Jasne są również konsekwencje tego orzeczenia. Jeżeli Światowy Związek Żołnierzy AK podejmie się trudu egzekwowania wyroku przeciwko ZDF, to będzie musiał zwrócić się o to do niemieckich organów egzekucyjnych. Te zaś mają już wygodny argument, by odmówić wykonania polskiego wyroku, opierając się właśnie na precedensie postanowienia

eprasa.pl 5501c57294

Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w sprawie Karola Tendery. Nie można łudzić się również, że sądy innych państw członkowskich nie skorzystają z przykładu niemieckiego, skoro obeszło się to bez jakichkolwiek reperkusji ze strony instytucji odpowiedzialnych za prawidłowość stosowania prawa unijnego.

(NIE)PRAWORZĄDNOŚĆ

Karol Tendera zmarł, zanim jeszcze niemiecki Trybunał Konstytucyjny rozstrzygnął o jego skardze konstytucyjnej wniesionej przeciwko orzeczeniu sędziów z Karlsruhe. Jego syn, jako spadkobierca, wniósł skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Trzeba mieć jednak świadomość, że nie jest łatwo znaleźć poparcie dla kwestionowania orzeczenia niemieckiego Trybunału, nawet jeśli tak jawnie godzi w prawo unijne.

Komisja Europejska, „strażniczka prawa unijnego", poinformowana o tej sprawie, nie uznawała się za kompetentną do wyciągania wobec Niemiec jakichkolwiek konsekwencji za tego rodzaju niesubordynację. Oczywiście pewnym wyjaśnieniem mogą być skład Komisji Europejskiej i możliwość oddziaływania na nią przez Niemcy, chociażby poprzez samą przewodniczącą. Wydaje się, że niechęć przed zaognianiem relacji polsko-niemieckich może niestety również powstrzymywać polski rząd przed samodzielnym inicjowaniem przed TSUE procedury prawnej przeciwko Niemcom.

Jeszcze jednym ważnym czynnikiem jest wrażliwość państw na instytucję klauzuli porządku publicznego. Jej istotą jest umożliwienie państwom członkowskim uwolnienia się od skutków prawa innego państwa, które pozostają w sprzeczności z jego podstawowymi zasadami porządku prawnego. Jest ona wyrazem zasady suwerenności państwa. Choć dotyczy sytuacji wyjątkowych, to opiera się na swoistej dyskrecjonalnej decyzji danego państwa o tym, jakie zasady porządku prawnego uważa za podstawowe i nienaruszalne. Granice tej swobody państwa nie są jasno zarysowane i nikt nie odważy się ich sztywno określić.

W zasadzie żadne państwo nie jest też zainteresowane osłabianiem znaczenia klauzuli porządku publicznego. Taki zaś efekt może nastąpić w przypadku uznania kompetencji organu zewnętrznego wobec państwa do weryfikacji prawidłowości jej zastosowania. Również na forum polskim można znaleźć wypowiedzi wskazujące, że poddawanie niemieckiego orzeczenia weryfikacji np. TSUE lub innego podobnego organu może wywołać efekt puszki Pandory. W przyszłości może to otworzyć możliwość kwestionowania przez unijne instytucje również orzeczeń polskich sądów odmawiających wykonania zagranicznego wyroku stosującego przepisy sprzeczne z podstawowym porządkiem prawnym Polski.

Spór ten stanowi już dziś realne zagrożenie dla efektywności polskich orzeczeń w stosunkach transgranicznych

PRAWDA ZAKŁADNIKIEM

Innym istotnym zagrożeniem dla realizacji polskich wyroków dotyczących prawdy historycznej jest niestety toczący się w polskim wymiarze sprawiedliwości spór o władzę. Jedni powiedzą, że chodzi o reformę wymiaru sprawiedliwości, inni – że sednem jest stanie na straży praworządności i niezawisłości sędziów. Niezależnie jednak, jak poważnymi słowami będziemy starali się opisać zamieszanie powstałe wokół nominacji sędziowskich w Polsce, w swej istocie jest to spór o władzę, czyli o to, kto w Polsce ma prawo nazywać kogoś sędzią.

Niestety, spór ten otwiera zagranicznym kłamcom historycznym kolejny argument do ograniczenia lub uniemożliwienia wykonania wyroku wydanego przez polskich sędziów. Nie chodzi tu tylko o tzw. europejskie nakazy aresztowania, których zasadność realizacji zaczęły kwestionować sądy z Irlandii i Holandii, powołując się właśnie na „systemowe lub ogólne nieprawidłowości wywierające wpływ na prawo podstawowe do rzetelnego procesu". Naturalne jest, że osoby obawiające się odpowiedzialności karnej podejmowały każdy wysiłek, aby tylko oddalić chociażby w czasie moment doprowadzenia ich przed oblicze polskiego sądu. Argumentowały zatem, że w Polsce nie doczekają się sprawiedliwego procesu. W kwestii tej musiał się w końcu wypowiedzieć TSUE, który uznał, że same wątpliwości wobec organu uczestniczącego w procesie wyboru sędziego (czyli KRS) nie mogą przesądzać o tym, że w Polsce oskarżony nie może mieć zapewnionego dostępu do sprawiedliwego i rzetelnego sądu.

Podobnie zaczyna jednak dziać się również w dziedzinie prawa cywilnego. Sami autorzy niniejszego artykułu spotkali się z tym, że jeden z polskich wierzycieli nie może wyegzekwować we Francji wyroku zasądzającego na jego rzecz należności. Francuski dłużnik, kwestionując wykonalność polskiego wyroku na terenie Francji, przedłuża postępowanie egzekucyjne, powołując się właśnie na pozbawienie go w Polsce prawa do sprawiedliwego procesu. Uzasadnia to jedynie tym, że sędzia Sądu Najwyższego, który odmówił przyjęcia jego skargi kasacyjnej do rozpoznania, został wybrany przez KRS w składzie wyłonionym na podstawie przepisów prawa wprowadzonych reformą z 2017 r. Trzeba podkreślić, że argumentacja dłużnika nie opiera się na pogłębionej argumentacji prawnej, odnoszącej się do konkretnych okoliczności sprawy, ale na powielaniu wybranych artykułów prasowych, wypowiedzi publicystycznych czy motywów wyroków TSUE. Oczywiście pomijając te wypowiedzi TSUE, które przypominają, że same wątpliwości wokół procedury powołania sędziego nie przesądzają o braku przymiotu niezawisłości i gwarancji sprawiedliwego procesu.

Trudno stwierdzić jednoznacznie, jak efektywna okaże się obrona zagranicznego dłużnika, wykorzystującego istniejący spór pomiędzy Polską a instytucjami unijnymi. Niemniej spór ten stanowi już dziś realne zagrożenie dla efektywności polskich orzeczeń w stosunkach transgranicznych. Również tych wydanych w sprawach o naruszenie dóbr osobistych przez wydawców dopuszczających się rozpowszechniania wadliwych kodów pamięci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorzy są prawnikami, członkami stowarzyszenia Patria Nostra, broniącego przed sądami dobrego imienia narodu polskiego.

eprasa.pl 5501c57294

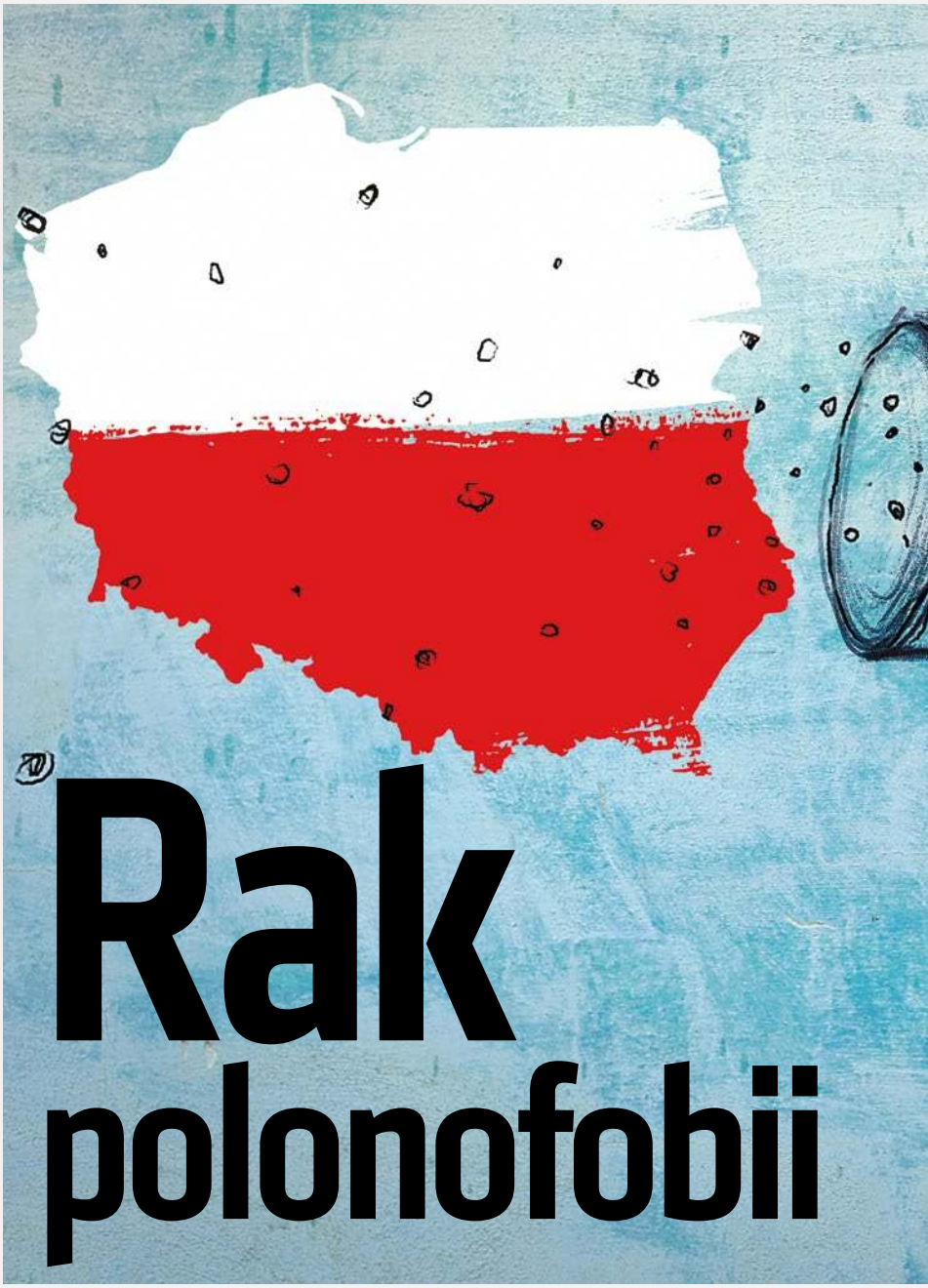

Rak polonofobii

Zuzanna Dąbrowska

Polonofobia za granicą jest zjawiskiem, które wciąż ma się dobrze. Co prawda, masowa pomoc Polaków dla ukraińskich uchodźców nieco przesłoniła produkowane na wielką skalę kłamstwa o naszym kraju, jednak nie oznacza to, że uporaliśmy się z problemem

Czerwiec 2022 r., pierwsze miesiące wojny. Polskie władze i polskie społeczeństwo ze wszystkich sił wspierają walczącą z rosyjskim agresorem Ukrainę. W tym samym czasie w Izraelu zaostrza się trwający od kwietnia kryzys polityczny, kolejny zresztą, w wyniku którego 30 czerwca doszło do samorozwiązania Knesetu. Nowe wybory zaplanowano na listopad. Tymczasem rząd Izraela ogłasza decyzję o odwołaniu wszystkich wycieczek szkolnych do Polski (zawieszonych od czasu pandemicznego lockdownu). Powód? Warszawa zdecydowała, że oficerowie ochraniający młodzież podróżującą do naszego kraju nie mogą być uzbrojeni. Izraelskie media twierdzą, że do tej pory funkcjonariusze Szin Bet (odpowiednik ABW), którzy zawsze towarzyszyli wycieczkom, mogli mieć przy sobie broń. Przechadzając się w okolicach ulicy Anielewicza na Muranowie, gdzie znajduje się pomnik Bohaterów Warszawskiego Getta, a także Muzeum Żydów Polskich POLIN, często można było dostrzec uzbrojonych, groźnie wyglądających ochroniarzy. Widokowi temu towarzyszyło nieodparte poczucie zagrożenia, które jakoby miało być normą podczas wizyt Izraelczyków w Polsce. Ktoś nieznający polskich realiów mógł myśleć, i to nie bez przesłanek wynikających z rozumowania przyczynowo-skutkowego, że gdyby nie ta broń, młodzieży stałoby się na polskiej ziemi coś złego. Cóż z tego, że do takich incydentów po prostu nie dochodziło. Wyjaśnienie jest proste – Polacy, mieszkańcy Muranowa i okolic traktowali izraelskie wycieczki jak wycieczki z każdego innego kraju. Nieuzasadniony strach był emanacją polonofobii. Władze w Tel Awiwie uznały najwyraźniej, że wzięcie na tapetę zatargów z Warszawą może opłacać się politycznie w dobie kryzysu. Wiadomo bowiem, że nic nie jednoczy tak, jak wspólny, najlepiej polski, wróg.

„Polska jest oczywiście otwarta na uregulowanie tej sprawy, na to, by te wycieczki, wizyty, odbywały się w dalszym ciągu, ale nie możemy sobie pozwolić na sytuacje, w których Polska może się jawić jako państwo niebezpieczne, przed którego obywatelami trzeba chronić młodzież izraelską, przybywającą do nas. Także sytuacja, w której służby innego państwa przebywają z bronią na terytorium naszego kraju, jest w dalszym ciągu nie do tolerowania" – wyjaśniał rzecznik MSZ Łukasz Jasina. Z kolei wiceszef polskiej dyplomacji Paweł Jabłoński wskazał, że w grudniu 2021 r. Polska przekazała stronie izraelskiej, iż wznowienie wyjazdów zorganizowanych grup młodzieży do Polski wymaga zmiany ich formuły.

eprasa.pl 5501c57294

FOT. ADOBE STOCK

MSZ zaproponowało przystąpienie do negocjacji nowej umowy w tej sprawie. Na początku kwietnia 2022 r. Polska przedłożyła projekt umowy, wyrażając gotowość do niezwłocznego przystąpienia do negocjacji. „Dotychczasowa formuła wyjazdów wymaga zmian z uwagi na systematycznie generowane problemy, prowadzące do umacniania fałszywych stereotypów, co negatywnie wpływa na stosunki między naszymi krajami i narodami" – wskazał Jabłoński. I dodał, że „na bazie dotychczasowych doświadczeń oceniamy, że młodzież izraelska często wraca z tych wyjazdów z negatywnymi odczuciami wobec dzisiejszej Polski i Polaków". Problemem była zatem nie tylko broń ochroniarzy, lecz także to, że odwiedzający Polskę Izraelczycy byli prowadzani jedynie do miejsc utwierdzających ich w przekonaniu, że nasz kraj był w czasie drugiej wojny światowej złym bądź – w najlepszym wypadku – obojętnym na krzywdy Żydów gapiem. Warszawa chciała więc m.in. wprowadzenia do wyjazdów elementu integracji z młodzieżą polską.

Casus zawieszonych wycieczek pokazuje, jak głęboka i systemowa polonofobia panuje w Izraelu. Nadzieją na poprawę relacji była rozmowa (pierwsza od dwóch lat!) szefów MSZ obu krajów – Zbigniewa Raua i Eliego Cohena, która obyła się na początku lutego. Padły w niej deklaracje o konieczności naprawy relacji polsko-izraelskich. Pytanie: Na ile jest to szczera chęć, a na ile czcza obietnica? Premierem jest przecież znowu stary-nowy szef rządu Beniamin Netanjahu, który mistrzowsko potrafi wykorzystywać politykę zagraniczną do załatwiania politycznego interesu wewnątrz kraju. I to w jego rządzie w latach 2019–2020 ministrem spraw zagranicznych był Israel Katz, który wywołał w Polsce burzę, mówiąc w lutym 2019 r.: „Było wielu Polaków, którzy kolaborowali z nazistami i – tak jak powiedział Icchak Szamir, któremu Polacy zamordowali ojca – Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki. I nikt nie będzie nam mówił, jak mamy się wyrażać i jak pamiętać naszych poległych". Te słowa stały się jednym z najbardziej spektakularnych przykładów patologicznej niechęci do Polaków.

Casus zawieszonych wycieczek pokazuje, jak głęboka i systemowa polonofobia panuje w Izraelu

ZIDEOLOGIZOWANE ŹRÓDŁO

Polonofobia polegająca na szerzeniu pełnych uprzedzeń interpretacji różnych zdarzeń, zamiast faktów, niestety przyczynia się do budowy poczucia zagrożenia. „Polscy Żydzi nie czują się bezpiecznie, a zdaniem 85 proc. z nich antysemityzm to »dość duży« lub »bardzo duży problem«" – takie stwierdzenia znalazły się w raporcie Komisji Stanów Zjednoczonych na temat antysemityzmu w Europie (przeanalizowano sytuację z 11 krajach). „Żydowskich przywódców niepokoi obecność w przestrzeni publicznej retoryki antysemickiej, którą posługują się m.in. skrajnie prawicowe

eprasa.pl 5501c57294

postaci polityki i mediów. Ostatnie debaty o Holokauście, historii i restytucji dotknęły drażliwych kwestii politycznych i uwolniły bezprecedensowe komentarze antysemickie" – wskazano w dokumencie. W raporcie zawarto wyniki badania unijnej Agencji Praw Podstawowych z 2018 r., z których wynika, że 32 proc. polskich Żydów doświadczyło przynajmniej jednego zachowania o podłożu antysemickim w okresie roku, 50 proc. z nich obawia się, że może to spotkać ich rodzinę i przyjaciół, a 42 proc. rozważało emigrację. Ekspertem, na którego powołują się Amerykanie, jest socjolog Rafał Pankowski ze skrajnie zideologizowanego stowarzyszenia Nigdy Więcej.

W tym kontekście warto zauważyć, że bez wsparcia badaczy z Polski polonofobia za granicą nie byłaby tak żywa. Obok Pankowskiego rolę „nie do przecenienia" odgrywają tutaj m.in. Jan Grabowski i Barbara Engelking, redaktorzy „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski", oraz prof. Michał Bilewicz z Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego.

Efekty ich pracy widać np. w mediach społecznościowych. Jednym z ostatnich przykładów jest dyskusja, którą wywołała na Twitterze Katherine Wertheim, amerykańska ekspertka w dziedzinie zbiórek pieniędzy. W serii wpisów przekonywała ona, że w czasie Holokaustu „Polacy zabili więcej Żydów niż Niemcy" oraz że „podczas Holokaustu nie było polskich gapiów" (co oznacza, że bierność Polaków wobec tragedii Żydów nie wynikała z „zagapienia się" lub nieuwagi, ale była zawsze celowa). „Polska była tylko w 10 proc. żydowska, ale 9 na 10 polskich Żydów zginęło. Wśród nieżydowskich Polaków zginęło tylko 6 proc." – wyliczała Wertheim, dowodząc, że liczby te pokazują postawę Polaków. W swoich tweetach nie wspomniała nawet, że tak wysoki odsetek polskich Żydów, którzy stracili życie, to efekt polityki niemieckiego okupanta prowadzonej na naszych ziemiach. Katherine Wertheim próbowała stawiać za przykład Danię. „Spójrzmy na Danię. Podczas gdy Polska straciła 90 proc. swoich Żydów, Dania straciła tylko 10 proc. swoich Żydów. Dlaczego?" – pyta retorycznie Amerykanka, znowu pomijając kluczowy fakt. Dania prowadziła wobec Niemiec – w przeciwieństwie do Polski – politykę kolaboracji. Co prawda, jest to wiedza powszechnie dostępna, jednak aby ją posiąść, potrzeba dobrej woli i wyjścia poza tezy Grabowskiego i Engelking, na których opracowanie powoływała się Wertheim. Brak takiej dobrej woli jest ewidentnie przejawem niechęci do narodu polskiego.

Polonofobia, będąca często nieuświadomionym, odruchowym, negatywnym stosunkiem do wszystkiego, co polskie, nie dotyczy jedynie szeroko rozumianej polityki historycznej

EUROELITY PRZECIW POLSCE

Jednak polonofobia, będąca często nieuświadomionym, odruchowym, negatywnym stosunkiem do wszystkiego, co polskie, nie dotyczy jedynie szeroko rozumianej polityki historycznej. Co powinno budzić wyjątkowy niepokój, na forum UE polonofobia przybiera formę instytucjonalną. To choroba tocząca unijne elity, której najbardziej jaskrawym przejawem jest podważanie funkcjonowania w naszym kraju demokracji. Polska, jako kraj „ułomny", ma nie korzystać z „unijnego tortu". Co to oznacza? Więcej dla innych. Wyniesiona do wartości nadrzędnej „praworządność" stała się wytrychem pozwalającym na notoryczne stawianie Polski pod pręgierzem. Ktoś mógłby wskazać, że być może unijni decydenci mają rację i faktycznie nad Wisłą dzieje się źle, a polonofobia to jedynie wymysł „nacjonalistów i faszystów". Nic bardziej mylnego. Przykład? Polska jest krytykowana i karana za wprowadzenie rozwiązań niemal identycznych, a nawet bardziej łagodnych niż kraje „starej UE". Chodzi m.in. o Krajową Radę Sądownictwa, którą w Polsce, tak samo jak w Hiszpanii, w części powołuje parlament. Tymczasem w jednym z kolejnych raportów KE poinformowała, że „reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości [...] budzą poważne obawy". Wobec Madrytu takich zarzutów nie było. Problem dobrze obrazuje też krytyka, która spadła na polski Trybunał Konstytucyjny po tym, jak jesienią 2021 r. (kolejny raz) orzekł prymat prawa krajowego nad prawem unijnym. Wyrok nie spodobał się ówczesnemu ministrowi spraw zagranicznych Heiko Maasowi oraz znanej z obrzydliwej wypowiedzi o „finansowym zagłodzeniu Polaków i Węgrów" wiceprzewodniczącej Parlamentu Europejskiego Katarinie Barley. Jednak ani Maas, ani Barley nie wspomnieli, że podobne wyroki analogicznych sądów zapadły we Francji, Włoszech, w Hiszpanii oraz Rumunii.

Ten powszechny w instytucjach UE zupełny brak zdolności do obiektywnej oceny sytuacji zaprezentował także belgijski eurodeputowany Guy Verhofstadt, odnosząc się do blokowania środków z Krajowego Planu Odbudowy. „Witamy na początku nowego roku politycznego, w którym stare problemy polityczne Europy pozostają na stole… Bez względu na to, jak kluczową rolę Polska odgrywa w pomaganiu Ukrainie, NIE otrzyma unijnych funduszy naprawczych, chyba że w pełni przywróci rządy prawa!" – napisał na początku stycznia. Co więcej, ten były premier Belgii nawoływał, aby odwołać szefową KE Ursulę von der Leyen, jeśli ta uruchomi wypłatę pieniędzy dla Polski z Funduszu Obudowy. Na równi z „brakiem praworządności" UE przez długi czas biczowała Polskę również za wymyślone przez aktywistów „strefy wolne od LGBT", które mają rzekomo funkcjonować w naszym kraju. Rzecz jasna takich obszarów, do których homoseksualiści nie mogliby wchodzić, w Polsce nie ma.

„JAKIE REPARACJE?"

Skalę polonofobii pokazało podjęcie przez obecny rząd tematu walki o odszkodowania wojenne od Niemiec. Począwszy od bardziej delikatnych, acz zdecydowanych stwierdzeń napływających z Berlina, głoszących, że Polsce nie należy się nic (w przeciwieństwie do np. Namibii, która ma uzyskać od Niemiec ponad miliard euro zadośćuczynienia za masakrę ludów Herero i Nama dokonaną w latach

eprasa.pl 5501c57294

1904–1908) i sama dyskusja wydaje się być dalece niewłaściwa, a skończywszy na otwartym przekłamywaniu historii. Magazyn związany z niemiecką partią AfD oskarżył nas o współudział w wywołaniu drugiej wojny światowej. „Przeczytajcie, jak polski szowinizm, skierowany nie tylko przeciw Niemcom, lecz także przeciw Związkowi Sowieckiemu, szybko się rozwijał i odegrał niemałą rolę w wybuchu drugiej wojny światowej. I dowiedzcie się, jak 14 milionów Niemców zostało przymusowo wypędzonych z ojczyzny zimą 1944/1945 lub torturowanych i zamordowanych w obozach śmierci, takich jak Łambinowice, Jaworzno czy Świętochłowice" – tak reklamuje się magazyn „COMPACT-Geschichte".

Wściekły atak na Polskę nastąpił po tym, jak nasza dyplomacja podjęła aktywne działania informacyjno-polityczne w Stanach Zjednoczonych. Gazeta odwraca porządek rzeczy i pisze m.in. o „Niemcach za drutem kolczastym: śmierć w polskich obozach internowania" czy „pobrzękiwaniu szabelką z Warszawy: plany wojenne Polski przeciwko Niemcom". I choć „COMPACT-Geschichte" w 2021 r. został uznany przez władze federalne „za prawicowo ekstremistyczny", to znajduje niemałą grupę odbiorców (miesięcznik ma nakład 40 tys. egzemplarzy). Niemcy w perfekcyjny sposób opanowali – jak to ujął socjolog, doradca prezydenta Andrzeja Dudy, prof. Andrzej Zybertowicz – „naziwashing", czyli „oddzielenie nazizmu od niemieckości". To jednak nie udałoby się bez znalezienia kogoś, na kogo można by przerzucić swoje winy. Dogodnym kandydatem do roli kozła ofiarnego stała się Polska. Historyk prof. Bogdan Musiał, w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl, tak podsumował postawę naszego sąsiada: „W niemieckim społeczeństwie nie ma świadomości, że Niemcy zrobili Polakom coś strasznego podczas drugiej wojny światowej. Oni mają swoją politykę historyczną, uwierzyli, że się rozliczyli ze wszystkiego. Niemcy uwierzyli, że są czyści, i pytają: Jakie reparacje?".

Jednak nie trzeba sięgać poza granice kraju, aby dostrzec przejawy polonofobii. W maju ubiegłego roku gdański sąd okręgowy uniewinnił (nieprawomocnie) od wszystkich zarzutów Hansa G., niemieckiego przedsiębiorcę działającego na Pomorzu. Tak mówił on do swoich podwładnych: „Zabiłbym wszystkich Polaków. Nie miałbym z tym problemu". Sprawę wytoczyła mu była pracownica Natalia Nitek-Płażyńska, która relacjonowała, że Niemiec mówił, iż „Polaków trzeba tępić jak robactwo". Tymczasem polski sąd uznał, że słowa oraz zachowania Hansa G., takie jak wydawanie odgłosu strzelania, były na tyle absurdalne, że trudno byłoby je przekuć w realne działanie. Problemu więc – według sędziego Andrzeja Halińskiego – nie ma.

NASTĘPNI DO „DENAZYFIKACJI"

Trwająca agresja Rosji na Ukrainę pokazała skalę nienawiści do Polski moskiewskich elit. Ma ona wymiar zarówno współczesny, jak i historyczny, choć oba te wymiary się przenikają. W przypadku Rosji polonofobia stanowi emanację kompleksów. Nie przez przypadek kraj ten Dzień Jedności Narodowej obchodzi 4 listopada, czyli w rocznicę zdobycia w 1612 r. Kremla moskiewskiego, opanowanego wcześniej przez wojska Rzeczypospolitej w wyniku wojny polsko-rosyjskiej. Bezprecedensowe wsparcie Warszawy dla zaatakowanego 24 lutego 2022 r. Kijowa jedynie dolało oliwy do ognia rosyjskiej polonofobii. Były prezydent, a obecnie wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew w telegramowym wpisie, przypominając o wydarzeniach z XVII w., stwierdził: „Wówczas, jak wiecie, nasi ludzie z różnych klas i rodów, zapominając o sporach i jednocząc się w obronie ojczyzny, ostatecznie wyrzucili motłoch bezczelnych Polaków z Rosji" – stwierdził. Z kolei Aleksander Dugin, jeden z ideologów Kremla, nazywany „mózgiem Putina", określił Polskę mianem „kordonu sanitarnego" między Rosją a Niemcami oraz fikcyjnym państwem utrzymywanym przez USA. Przewodniczący Komisji Kontroli Dumy Państwowej Oleg Morozow, komentując słowa premiera Mateusza Morawieckiego, który porównał „ruski mir" do nowotworu, stwierdził: „Swoimi wypowiedziami o Rosji jako »nowotworze« i o »kontrybucji«, którą musimy wypłacić Ukrainie, Polska zmusza nas, aby umieścić ją na pierwszym miejscu w kolejce do denazyfikacji, tuż po Ukrainie". Gdyby ziściły się projekcje i groźby najzacieklejszych wrogów Polski, nasz kraj stałby się żałosnym parapaństwem albo przestałby istnieć zupełnie. To wystarczy do zobrazowania rosyjskiej polonofobii.

Mając świadomość niełatwej rzeczywistości i ogromu przekłamań, które dotykają Polski, najlepszym, co można zrobić, obok działań dyplomatycznych (m.in. kwestii przywrócenia wycieczek z Izraela, ale już na naszych zasadach) i bacznego monitorowania mediów pod kątem nieprawdy, jest inwestowanie w edukację i kulturę. Z dużym powodzeniem robi to już Instytut Pileckiego, który prężnie działa w Berlinie, organizując ważne (i odważne) debaty i wystawy. W planach jest otwarcie w przyszłości podobnych placówek w newralgicznych z puntu widzenia polonofobii miejscach, czyli w Izraelu oraz w USA. Niewykluczone, że Instytut Pileckiego będzie działał też na terenie Szwajcarii. Ciekawą i wartą kontynuacji akcją jest projekt „Opowiadamy Polskę światu", realizowany przez Instytut Nowych Mediów. W jego ramach w największych światowych tytułach ukazują się teksty polskich polityków, historyków i intelektualistów poświęcone historycznej i współczesnej roli Polski w budowaniu naszego regionu. To jednak wciąż za mało. Historycy mówią o konieczności stworzenia szerokiego, wielomilionowego programu grantowego i stypendialnego dla badaczy z kraju i zagranicy, w ramach którego powstawać będą prace przestawiające historię i obecną sytuację Polski. Niekoniecznie przez „różowe okulary", ale po prostu uczciwie.

Trwająca agresja Rosji na Ukrainę pokazała skalę nienawiści do Polski moskiewskich elit. Ma ona wymiar zarówno współczesny, jak i historyczny, choć oba te wymiary się przenikają. W przypadku Rosji polonofobia stanowi emanację kompleksów

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

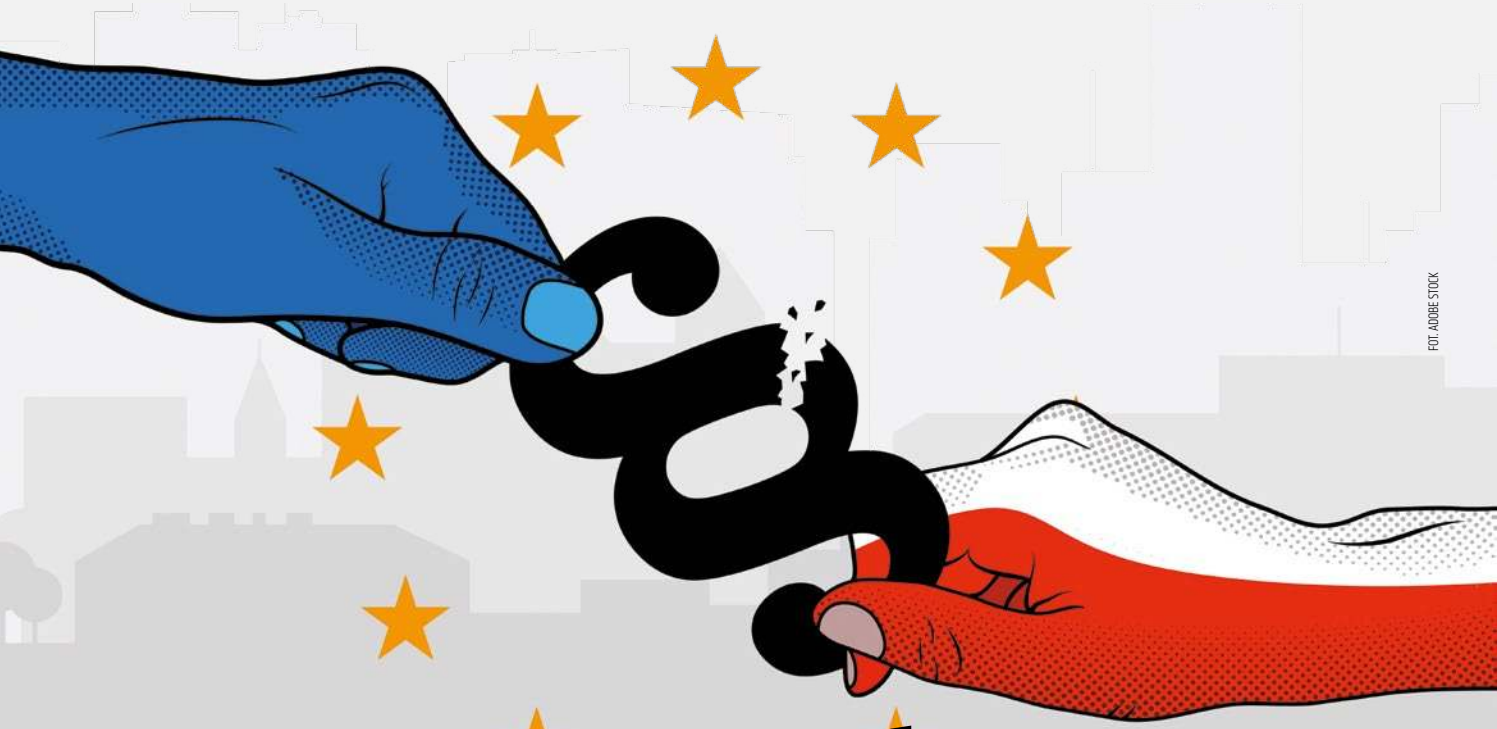

FOT. ADOBE STOCK

PE przeciw Polsce

Karol Gac

Od przejęcia władzy w 2015 r. Zjednoczona Prawica mierzy się z bezpardonowymi atakami na Polskę w Parlamencie Europejskim, które prowadzone są pod hasłem „walki o praworządność". Wykorzystywane są wszystkie instrumenty, które mogą pomóc w osiągnięciu założonego celu. A ten jest prosty – zmiana władzy w Warszawie

W ostatnich miesiącach Parlamentem Europejskim wstrząsnęła największa afera korupcyjna w historii. Wszystko za sprawą grupy eurodeputowanych, którzy w zamian za łapówki pochodzące z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej wygłaszali o nich pozytywne opinie albo wpływali na unijne prawodawstwo. Choć wciąż nie znamy wszystkich szczegółów tego procederu, to wielu polskich eurodeputowanych zaczęło się zastanawiać, czy ataki wymierzone w Polskę były wyłącznie inicjatywą poszczególnych osób czy może jednak były efektem zewnętrznej inspiracji. Zwłaszcza że część atakujących nasz kraj europosłów już teraz jest przedmiotem zainteresowania belgijskich służb. A trzeba przyznać, że Polska w szczególny sposób została wzięta na celownik przez liberalno-lewicową większość w PE.

Już w styczniu 2016 r., a więc zaledwie dwa (!) miesiące po wyborach wygranych przez Zjednoczoną Prawicę, w PE odbyła się debata o Polsce, podczas której ludowcy i socjaliści atakowali rząd w Warszawie za „niszczenie sądownictwa i mediów", co „może być początkiem autorytaryzmu". Bezpośrednim powodem zorganizowania jej była decyzja KE o rozpoczęciu procedury wyjaśniającej w sprawie zmian w funkcjonowaniu polskiego Trybunału Konstytucyjnego.

Warto zauważyć, że debaty o Polsce szybko stały się jednym z ulubionych zajęć europosłów, którzy organizowali je niemal przy każdej nadarzającej się okazji. Dość powiedzieć, że w październiku 2016 r. odbyła się ona w związku z... projektem obywatelskim „Stop aborcji". Europejscy socjaliści argumentowali, że choć za projekt nie odpowiadał PiS, to jednak decyzją posłów tego ugrupowania przeszedł on do dalszych prac w Sejmie. W efekcie lewica i liberałowie ochoczo załamywali ręce nad katastrofalną sytuacją kobiet w Polsce. – Mam nadzieję, że Polska nie zahamuje postępu w kwestii równości płci – mówiła Věra Jourová.

SUPREMACJA VERHOFSTADTA

Głośnym echem odbiły się również debata i rezolucja z listopada 2017 r., gdy PE wezwał polski rząd do „prze-

eprasa.pl 5501c57294

strzegania postanowień dotyczących praworządności". Europarlament zainicjował wówczas własną procedurę, która miała doprowadzić do uruchomienia art. 7 wobec Polski. W dokumencie znalazł się również apel PE do polskiego rządu, by potępił „ksenofobiczny i faszystowski" Marsz Niepodległości. Odniesienie nie było przypadkowe, ponieważ podczas debaty Guy Verhofstadt powiedział, że „tysiące faszystów, neonazistów i zwolenników supremacji białej rasy przemaszerowało 300 km od Auschwitz". Choć eurodeputowani PiS domagali się ukarania Verhofstadta, to ostatecznie nie poniósł on żadnej odpowiedzialności.

W grudniu 2017 r. KE uruchomiła wobec Polski formalne postępowanie w ramach art. 7 unijnego traktatu, zarzucając władzom w Warszawie naruszenie zasad praworządności w zapisach ustaw reformujących sądownictwo. To z kolei otworzyło przestrzeń do kolejnych debat i narzędzi nacisku na nasz kraj. W lutym 2018 r. odbyła się dziewiąta debata o sytuacji nad Wisłą, a miesiąc później, europosłowie w specjalnej rezolucji wyrazili zadowolenie z uruchomienia wobec Polski w art. 7. W 2019 r. PE postanowił zająć się projektem dotyczącym edukacji seksualnej w Polsce. W przyjętej rezolucji europosłowie wyrazili „głębokie zaniepokojenie niezwykle niejasnymi, szerokimi i nieproporcjonalnymi przepisami projektu ustawy, które de facto zmierzają do penalizacji upowszechniania edukacji seksualnej wśród nieletnich". W niedługim czasie odbyła się debata dotycząca praw osób LGBT i choć w założeniu miała ona dotyczyć sytuacji w całej UE, to szybko skupiono się na Polsce. Przykładowo: Sophie in 't Veld z frakcji Odnowić Europę krytykowała polskie władze za to, że uznały LGBT za „wroga" i „zachęcają do tworzenia stref wolnych od LGBT". – W 2019 r., w sercu Europy, są miejsca w Polsce, w mojej ojczyźnie, do których nie mogę wejść – przekonywał wówczas europoseł Robert Biedroń, który jednocześnie nie był w stanie wymienić żadnego z tych miejsc, o co został poproszony przez Patryka Jakiego. – Ostatnie lata doskonale pokazują, jak eurokraci sięgają selektywnie po zasady i wartości, a raczej antywartości, które traktują jako narzędzie budowania utopii scentralizowanej UE, wbrew traktatom i zdrowemu rozsądkowi. Unijna wierchuszka chce wypełnić UE fantasmagoriami ideologicznych projektów, związanych np. z promocją LGBT, Zielonym Ładem czy szerszymi zamianami kulturowymi odgórnie zaplanowanymi przez lewicowo-liberalne elity Berlina czy Brukseli – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy" wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Początek 2020 r., podobnie jak w latach poprzednich, przyniósł nową rezolucję PE w sprawie praworządności w Polsce i na Węgrzech. Tym razem eurodeputowani stwierdzili, że w Polsce dochodzi do ciągłego pogarszania się stanu praworządności. Z kolei we wrześniu PE przyjął rezolucję, w myśl której w Polsce dochodzi m.in. do „masowych aresztowań, których ofiarą padło 48 działaczy LGBT". – Musimy jasno powiedzieć, że środki unijne nie trafią do Polski, jeśli będą naruszane podstawowe prawa grup LGBT – mówiła wiceszefowa KE Věra Jourová. Ponadto europosłowie wyrazili również obawy dotyczące systemu legislacyjnego i wyborczego, niezależności sądownictwa i praw podstawowych w Polsce. – To absurdalne zarzuty, które są próbą zakwestionowania samej istoty demokracji – mówił wówczas minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro.

Polska stała się bardzo wygodnym celem. Z roku na rok krytyka naszego kraju była coraz bardziej ostra

WYGODNY CEL

W 2021 r. w Parlamencie Europejskim odbyła się debata pod niezwykle neutralnym tytułem „Plany podważenia dalszych praw podstawowych w Polsce, w szczególności w zakresie standardów Europejskiej Konwencji Praw Człowieka oraz Zdrowia i Praw Seksualnych i Reprodukcyjnych". Z kolei w październiku PE głosował nad rezolucją „w sprawie kryzysu praworządności w Polsce i nadrzędności prawa UE", przygotowaną przez pięć grup politycznych, w której wyrażono uznanie „dla dziesiątek tysięcy polskich obywateli, którzy wyszli na ulice w masowych pokojowych protestach, walcząc o swoje prawa i wolności obywateli europejskich", a także podkreślono, że „nielegalny Trybunał Konstytucyjny nie tylko nie ma mocy prawnej i niezależności, lecz także nie jest uprawniony do dokonywania wykładni konstytucji w Polsce".

To oczywiście zaledwie kilka przykładów z ostatnich lat. Tym bardziej że dla wielu eurodeputowanych Polska stała się bardzo wygodnym celem. Nie dość, że nie ponoszą oni żadnej odpowiedzialności za swoje słowa, to w dodatku mogą zapunktować u swoich wyborców i partii. Nic dziwnego, że z roku na rok krytyka naszego kraju była coraz bardziej ostra. Przykładowo: niemiecka wiceprzewodnicząca PE Katarina Barley mówiła o „finansowym zagłodzeniu państw, takich jak Polska i Węgry". Z kolei Juan Fernando López Aguilar (przewodniczy Komisji Wolności Obywatelskich PE) podczas jednej z dyskusji zapytał prowadzących spotkanie Radosława Sikorskiego i prof. Wojciecha Sadurskiego, w jaki sposób PE może pomóc opozycji. – Czego jeszcze można oczekiwać? Bo my w obecnej sytuacji zrobiliśmy wszystko, co było możliwe – pytał Aguilar. – Widzimy tutaj cel krótkofalowy, który eurokraci przyjęli, a on jest bardzo prosty, czyli jesienne wybory parlamentarne w Polsce i odsunięcie od władzy Zjednoczonej Prawicy oraz zastąpienie jej dzisiejszą opozycją, która ma inny stosunek do prominentnych polityków UE. Jeśli więc pyta mnie pan, czy działania instytucji unijnych wobec Polski mają oparcie w prawie i traktatach, to odpowiedź brzmi: nie, nie mają – mówi „Do Rzeczy" dr Michał Sopiński, prorektor Szkoły Wyższej Sprawiedliwości.

– Polska musi otrząsnąć się wreszcie ze zwodniczego przekonania, że jedynie uległość wobec wiecznie niezaspokojonych zachodnich liberałów przyniesie nam zyski. Musimy wreszcie wejść w buty unijnych graczy, gdzie liczą się pieniądz i interes, a nie sentymenty i romantyczne przekonanie, że mamy rację. Unijna gra to przede wszystkim pragmatyzm i zimna kalkulacja – konkluduje wiceminister Romanowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Czy Polska rozdaje karty

Waldemar Żyszkiewicz

W polskiej przestrzeni publicznej znów rozgrywa się zażarty, niestety płytki, gdyż motywowany tylko doraźną szarpaniną polityczną spór o aktualną pozycję i znaczenie Rzeczypospolitej w Europie. I jak zwykle brakuje rzetelnego rozsądzenia racji oraz wyważenia opinii. Radykalna odmienność stanowisk stron sporu – zamiast skłaniać do dyskusji – staje się pretekstem do mało eleganckiej i poznawczo jałowej wymiany przewidywalnych ciosów. Taka sprawiająca radość jedynie wrogom gra na wyniszczenie

Mówiąc krótko i wprost: nasz kraj nie ma takiej pozycji, na jaką w opinii wielu rodaków go stać i na jaką – również w moim przekonaniu – przynajmniej z kilku względów zasługuje. A nie ma, bo brak mu zarówno tego, co brydżyści nazywają obrazowo mocną ręką, jak i wystarczająco zręcznych rozgrywających. Dlaczego? To już trochę dłuższa opowieść, ale spróbuję ją streścić.

Ufni i wbrew antypolskim w wymowie oszczerstwom pozbawieni mściwości, chęci zemsty czy żądzy rewanżu Polacy dali się okraść z solidarnościowej

eprasa.pl 5501c57294

w Europie?

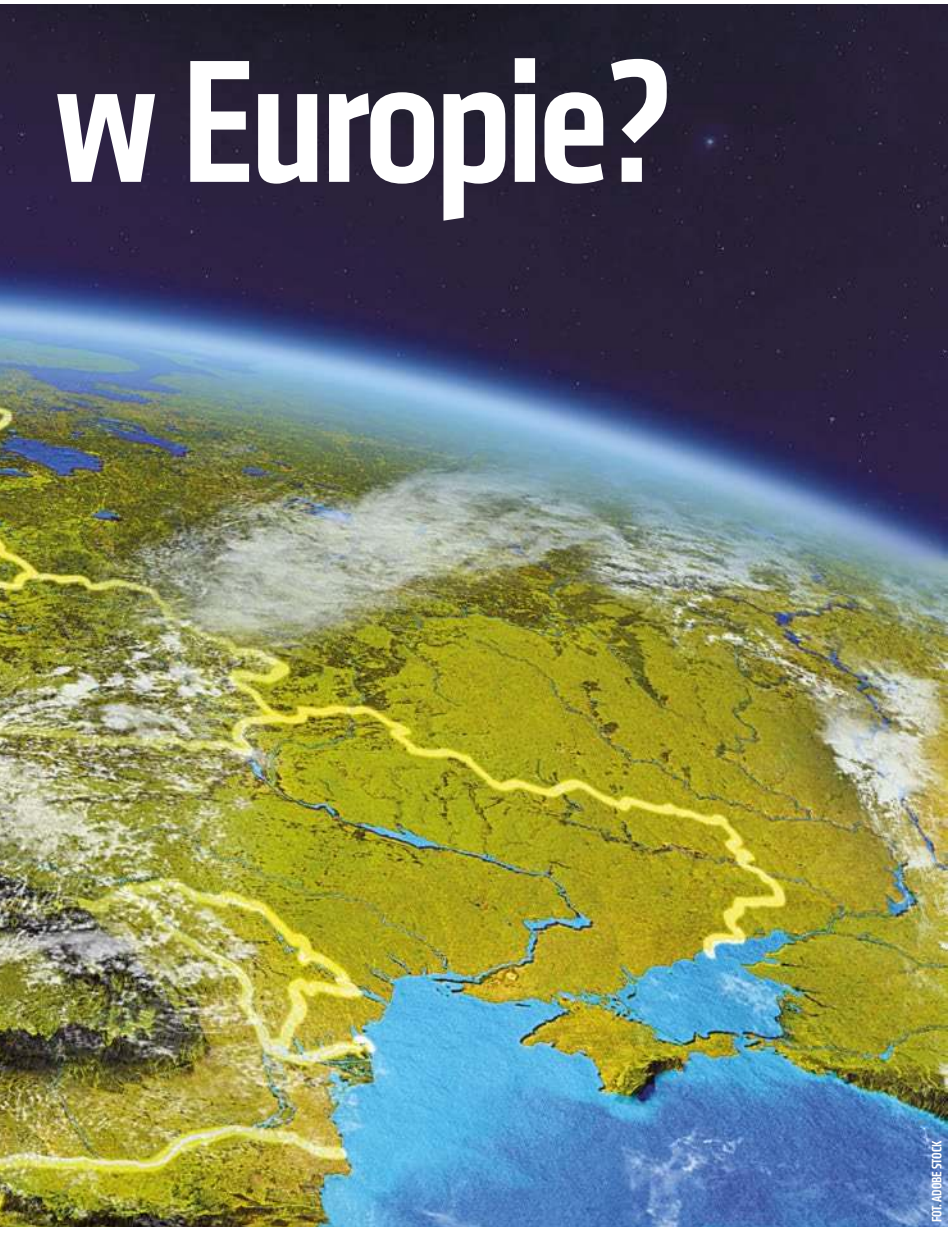

FOT. ADOBE STOCK

rewolucji, ze społecznego i z narodowego przełomu, jakim się stały pamiętne miesiące z lat 1980 i 1981.

ZMARNOWANE OKNO GEOPOLITYCZNEJ SZANSY

Trochę z naiwności, trochę z lenistwa, trochę z braku wiedzy o tym, że wolności nie można dostać od kogoś i że jej wywalczenie musi kosztować, łyknięto lep Okrągłego Stołu, sterowanej ugody między prowadzącymi z centrali a prowadzonymi na smyczy. W efekcie nie doszło do żadnego przełomu, nie dokonano głębokiej wymiany kadr, a błędy i wypaczenia poprzedniego systemu pozwolono naprawiać tym, którzy je przez dekady popełniali. Jeszcze krócej: w roku 1989 nie było żadnego przełomu, więcej – nie doszło nawet do transformacji politycznej, nie zdołaliśmy przeciąć pępowiny łączącej obecną Polskę z pojałtańskim (po)tworem państwowym.

Skutki są takie, że źle zaprojektowane, politycznie niesterowne agendy państwa przeregulowanego złym prawodawstwem, nadto paraliżowanego przez brukselskich biurokratów czy dyktatorków z KE, z sądami sabotującymi interes kraju i jego obywateli, pozbawione propolskich, zbudowanych na surowym korzeniu służb specjalnych kiwają się i mocno chwieją, stanowiąc otwartą przestrzeń, głównie dla zagranicznych interesów. Obcy lobbyści, zewnętrzna agentura i spekulacyjny kapitał mają się w tych warunkach znakomicie. Cała istotna zmiana sprowadza się do tego, że kierownictwo polityczne państwa przyjmuje zalecenia i dyrektywy z ambasady położonej nieco bliżej palmy ustawionej na rondzie gen. Charlesa de Gaulle'a. Ale milionom Polaków zrzeszonych w solidarnościowej konfederacji lat 1980 i 1981 nie o to chyba szło.

Cóż, trzeba uderzyć się w piersi i przyznać, że modelowo wręcz zdołaliśmy zmarnować szansę na wydobycie się z geopolitycznej matni, do której zepchnęła nas zdrada aliantów w Teheranie i Jałcie. Przez trzy dekady, czyli trochę dłużej niż zapowiadano w 1989 r., trwało geopolityczne okno, którego jednak nie potrafiliśmy wykorzystać. Skrajną naiwnością jest sądzić, że ten czy inny hegemon będzie działać w naszym, a nie we własnym interesie; co najwyżej chętnie wykorzysta nasze aspiracje, zdumiewającą wręcz polityczną naiwność czy mylne wzruszenia.

Gdy ambasador nowego hegemona na pierwszego prezydenta Polski pookrągłostołowej nakazał wybrać naszemu Sejmowi Jaruzelskiego, stało się jasne, że polskie elity nie dorosły do wymogów chwili. Gdy nasz nowy sojusznik (ze względu na swe własne interesy i potrzeby) nie udzielił Polsce zgody na tworzenie służb specjalnych od zera, bo przewerbowana część starych oddała mu przysługę, zignorowanie takich zaleceń powinno być oczywistością, wpisaną w kod genetyczny każdego patrioty i państwowca… Tak się jednak nie stało, za to dość potulnie zrezygnowano także z dekomunizacji, żeby nie skrzywdzić, broń Boże, dynastii architektów starego systemu.

TRANSFORMACJA? NIE, PETRYFIKACJA POLITYCZNEJ NIESUWERENNOŚCI

To sprawiło, że zamiast wykorzystać miniony czas na zbudowanie solidnego państwa z życzliwymi Polsce kadrami, miast dać Polakom szansę tworzenia osobistej zamożności oraz pomnażania zasobności i gospodarczej siły kraju,

eprasa.pl 5501c57294

uruchomiono proces zinstytucjonalizowanej grabieży majątku narodowego i korzystny dla obcego kapitału proces dezindustrializacji, fundując lawinowy wzrost bezrobocia i skazując ludzi na emigracyjną poniewierkę za chlebem. Zamiast utworzyć i uzbroić nowoczesną armię, zdolną skutecznie odstraszać możliwych agresorów, armię praktycznie rozproszono, skupiając cały wysiłek na niewielkich dość egzotycznych formacjach, wyspecjalizowanych w kolonialnych wojenkach sojusznika, ale zupełnie nieprzydatnych do ewentualnej obrony terytorium naszego kraju.

To niewykorzystanie szans na zbudowanie sprawnego, przyjaznego Polakom państwa, uważnie przecież monitorowane i nadzorowane przez różne (nie tylko państwowe) podmioty zainteresowane brakiem realnej suwerenności Rzeczypospolitej, jej społeczną niesterownością i polityczną podrzędnością, skutkuje tym, że w czasie geopolitycznych turbulencji jesteśmy niejako skazani na pozycję potulnego wasala przy hegemonie z Waszyngtonu. Tak przynajmniej sądzi większość obecnej klasy politycznej w Polsce, a opinia publiczna zdaje się temu stanowisku bezkrytycznie przyklaskiwać.

Słabości tej analizy oraz niedostatek krytycyzmu rzucają się w oczy. Przede wszystkim, zamiast dbać o interes własny, niejednokrotnie dość odmienny od chwilowych zamierzeń hegemona, a także od aktualnych, coraz mocniej zideologizowanych dążeń władz Unii Europejskiej, kolejne ekipy – zorientowane zresztą na różne układy odniesienia – poświęcają „dla dobra sprawy" (a przynajmniej tak im się wydaje) istotne wyznaczniki pozycji Rzeczypospolitej w świecie. Zgoda na antyirańską w wymowie bliskowschodnią konferencję w Warszawie? Błąd. Niebiesko-żółte barwy nad Zamkiem Królewskim, mogące sugerować, że panowanie nad stolicą RP objął Chmielnicki ze swymi Kozakami? Błąd. Kupowanie uzbrojenia bez targowania się i offsetu? Błąd. Tolerowanie graniczących z bezczelnością zachowań ambasadorów różnych (nominalnie przyjaznych nam) krajów? Błąd. Udostępnianie państwom trzecim własnego terytorium do działań, które w świetle prawa międzynarodowego mogą zostać uznane za casus belli? Chyba też błąd… Czy może jednak nie?

PREZYDENT MOCARSTWA I PRZEDPOLITYCZNE AUDYTORIUM

Prezydent Joseph Biden zaprezentował się tym razem znacznie lepiej niż przed rokiem. To znaczy lepiej wizerunkowo: młodziej wyglądał, sprawniej się poruszał, świetnie nawiązywał styczność przestrzenną z otoczeniem – czy to z grupką różnokolorowych dzieci (jak wiadomo, Polska od pięciu lat jest multietniczna), czy z politykami opozycji, których wielkodusznie zaprosił do Arkad Kubickiego sam Brzezinski junior, ambasador USA w Warszawie. Brawo! Z werwą wygłosił też POTUS swoje oczekiwane przez liczne środowiska przemówienie, w którym brawurowo wybrzmiała fraza o tym, że „zamiast finlandyzacji NATO doszło do natoizacji Finlandii". Ale też niewiele więcej.

Wygląda na to, że prezydent Biden wygłosił przemówienie do tzw. audytorium przedpolitycznego: wiele tu było wzniosłych ogólników, imponderabiliów, apelowania do emocji i słusznych wskazań, jak żyć i czym się w życiu kierować, jednak treści istotnych dla obywateli państwa, za którego granicą od roku trwa wojna, właściwie brakło.

Co charakterystyczne, podobnie na wizytę prezydenta USA mogła zareagować tocząca wojnę Ukraina. Owszem, Kijów otrzymał ofertę nowego pakietu pomocowego, ale bynajmniej nie takiego, który mógłby zasadniczo wpłynąć na losy tej wojny. Polacy dowiedzieli się z kolei, że będą mogli kupić amerykańską technologię elektrowni atomowej, niestety bez żadnych preferencji. W dodatku tryb zawarcia porozumienia w tej sprawie może zostać oprotestowany przez władze Unii Europejskiej, której przecież (mimo gospodarczo zabójczego dla nas pakietu „Fit for 55", mimo arbitralnych wstrętów czynionych Polsce w sprawie KPO) wciąż kurczowo się trzymamy…

Rozczarowanie tegoroczną wizytą Bidena, choć nie znalazło dość mocnego odzwierciedlenia w mediach, miało jednak miejsce. Warto więc może zauważyć, że wbrew wcześniejszym oczekiwaniom sensu tegorocznej europejskiej wyprawy Josepha Bidena należy szukać w samych Stanach Zjednoczonych. Prezydent zaprezentował się jako niekwestionowany lider, szef mocarstwa, które rozdaje karty, pomaga sojusznikom i dotrzymuje obietnic, ale nie szasta przy tym pieniędzmi amerykańskiego podatnika. Przeciwnie, Biden wraca z wyprawy ze sporym i korzystnym dla swego państwa kontraktem, a to przecież niemałe atuty dla polityka, który najprawdopodobniej zamierza się ubiegać o reelekcję. Według niektórych amerykańskich źródeł w dbałości o ten korzystny i mocny wizerunek lokatora Białego Domu ma swój spory udział Jill Biden, małżonka 46. prezydenta.

WYPRAWA TAJNA CZY ŚCIŚLE UZGODNIONA?

O ile zatem z perspektywy europejskich sojuszników USA niedawna wizyta zostawiła najwyraźniej poczucie politycznego niedosytu, o tyle mogła odegrać istotną rolę jako forma preludium do rozpoczynającej się pod koniec roku kampanii prezydenckiej. Warto przy tej okazji wskazać na pewien charakterystyczny i raczej pomijany szczegół kijowsko-warszawskiej wyprawy Bidena.

Otóż po blisko dwóch dobach medialnych opowieści o sukcesie tajnej operacji, jaką miał być przejazd POTUS-a pociągiem relacji Rzeszów – Kijów, po naigrawaniu się mediów ze słabości wyprowadzonych w pole służb Federacji Rosyjskiej i wściekłości Kremla z tego powodu okazało się, że z jakichś względów Amerykanie uznali jednak za stosowne, a może wręcz za bezpieczniejsze poinformowanie Putina o kijowskiej wizycie Bidena… Czy wynikło to z braku przekonania do szczelności własnych służb czy raczej z powodu obaw, co może zrobić rozwścieczony udanym podstępem Władimir Władimirowicz? Trudno orzec. Ale trudno też nie przyznać, że sposób rozegrania tej sprawy w mediach jednak zdumiewa.

Miałbym w zasadzie pełne prawo napisać, że prezydent Stanów Zjednoczonych w czasie swego niedawnego pobytu w Europie odwiedził też rodzinne miasto poety Waldemara Żyszkiewicza. I co do samej zgodności z faktami byłoby to zdanie absolutnie prawdziwe. Ale już ciężar gatunkowy i moc perswazyjna takiego stwierdzenia byłyby podobne do pozytywnego rozstrzygnięcia dylematu, który zawiera się w tytule powyższego tekstu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Niemiecka prowokacja

Pod koniec marca 1940 r. Niemcy zorganizowali prowokacyjne rozruchy przeciwko Żydom w Warszawie. Nie było wprawdzie ofiar śmiertelnych, ale coraz bardziej utrwala się nazywanie tych zajść pogromem, a te, jak wiadomo, kojarzone są z krwawymi ofiarami.

Co o nich wiemy i czy wszystkie dostępne źródła z tamtej epoki są wykorzystywane czy – jak zwykle – tylko te, które pasują do określonej narracji. Sporo miejsca poświęcił tym rozruchom prof. Tomasz Szarota w książce „U progu zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie" (Warszawa 2000). Autor umiejscowił je na szerokim tle, przypominając podobne wydarzenia w Paryżu, Amsterdamie, Antwerpii i Kownie. Choć źródła na ogół trafnie opisują przebieg zajść w Warszawie oraz ich niemiecką inspirację, to późniejsze opisy wskazują wprost na środowiska narodowo-radykalne, co współbrzmi z kilkudziesięcioletnią już propagandą. Metoda przypomina postawę „łapać złodzieja", tak jakby wszystko już było wiadomo. Otóż nie. W dotychczasowych publikacjach (w tym w źródłowej na ogół książce prof. Szaroty) notorycznie pomija się ocenę tych zajść, dokonaną w „Szańcu", konspiracyjnym piśmie środowisk wywodzących się z przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR). W numerze z 9 kwietnia 1940 r. zawarta jest następująca informacja: „Wszędzie widoczny był jeden szablon: na miejsce pogromu przywożono w ciężarówkach bandy mętów ulicznych, które pod wodzą volksdeutschów przystępowały do »dzieła« w obecności policji i żandarmerii niemieckiej. Pobitych i zakrwawionych Żydów żandarmi troskliwie opatrywali sami na ulicy. Po sfilmowaniu całej sceny bandy pakowano do samochodów i wieziono dalej. Filmy takie z odpowiednim komentarzem pójdą do Ameryki i państw neutralnych, aby pokazać światu, jak »zezwierzęcone bandy polskie« traktują Żydów i jak po chrześcijańsku opiekują się Żydami Niemcy".

Żydzi w odpowiedzi zorganizowali bojówki samoobrony (głównie socjalistyczny Bund), które czynnie wystąpiły przeciwko napastnikom. Niemcy im nie przeszkadzali.

Jaki był cel takich przedsięwzięć? Nie tylko akcja propagandowa, skierowana głównie w stronę USA. Było coś jeszcze. Otóż tworząc getto w Warszawie (i innych miejscowościach), Niemcy uzasadniali to m.in. możliwością skutecznej ochrony Żydów przed… Polakami. Wtedy jeszcze takie maskowanie swych zamiarów było im potrzebne.

Gdy historia staje się orężem walki ideologicznej i politycznej, pełna faktografia przestaje się liczyć. Cenzura zawsze szkodzi prawdzie. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Cystersi w Polsce

Zgromadzenie wyodrębniło się w 1097 r. z zakonu św. Benedykta, a nazwa pochodzi od miejscowości Cistertium (Citeaux) we Francji, gdzie założono pierwszy klasztor nowej reguły. Zgromadzenia cysterskie zakładano z dala od ludzkich osiedli, w lesistych dolinach, nad brzegami rzek i jezior. Benedyktyni budowali opactwa na szczytach gór lub wzniesień i te odmienności dobrze ilustrują różnice pomiędzy zakonami. Cystersi mieli służyć ziemi, na której osiedli, a benedyktyni wskazywać drogę postępowania okolicznej ludności.

Budowle cystersów cechowały funkcjonalność, prostota i zastosowanie najnowszych zdobyczy techniki. Zabudowania klasztoru były wyrazem potrzeb religijnych i wymogów natury gospodarczej. Brakowało miejsc typowo reprezentacyjnych i początkowo nawet kościół nie posiadał wieży, przypominając budynek gospodarczy. Efektowne zabudowania miały pojawić się później, w miarę łagodzenia obowiązującej reguły.

Cystersi przynieśli na ziemie polskie najnowsze osiągnięcia gospodarki europejskiej. Na dużą skalę zajmowali się hodowlą ryb (budowali tamy i stawy), wprowadzali nowe metody uprawy roślin, budowali młyny. Zasiedlali pustkowia, które, dzięki ich działalności przyciągały osadników i rozwijały koniunkturę gospodarczą. Pod koniec XIII w. na ziemiach polskich było 27 opactw tej reguły (23 męskie, 4 żeńskie).

Reguła zakonu nakazywała mnichom przeznaczać na modlitwę i medytację znaczną część dnia. W miarę rozwoju działalności gospodarczej klasztorów nie starczało czasu na efektywną pracę. Cystersi powoli stawali się pracodawcami, zarządcami swoich posiadłości. W klasztorach pojawili się bracia konwersi (nieposiadający święceń kapłańskich) obsługujący majątek zakonu. Konwersi uprawiali ziemię, zarządzali młynami i innymi obiektami klasztornej gospodarki. Wokół klasztorów powstawały osiedla ludzi służebnych wykonujących różne zawody i wiele osad przekształciło się z czasem w miasteczka o znaczeniu regionalnym.

Pierwszych cystersów na ziemiach polskich osadzono w Jędrzejowie, na terenie obecnego województwa świętokrzyskiego. Klasztor ufundowano w 1140 r. – założycielami zgromadzenia był późniejszy biskup wrocławski Jan Gryfita wraz z bratem. Pierwsi zakonnicy przybyli z Burgundii dziewięć lat później, a gdy Gryfita został arcybiskupem gnieźnieńskim, 15 marca 1153 r. wystawił dokument fundacyjny opactwa, w którym po raz pierwszy użyto nazwy Jędrzejów. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

Kocia mama, kocie dziecko, psi mąż

Dariusz Wieromiejczyk

Reklamowane w „Gazecie Wyborczej" jako najświeższa nowinka rodziny „międzygatunkowe" pokazują, że propagatorzy lewicowych ideologii znad Wisły wciąż są w tyle za progresywnym światem

FOT. ADOBESTOCK

Zdumiewający artykuł ukazał się przed tygodniem na łamach „Dużego Formatu", dodatku „Gazety Wyborczej". Tekst zatytułowany „Dwa plus psiecko" opowiada o parach, które zdecydowały się założyć „rodzinę międzygatunkową". Utrzymany jest w konwencji rozmowy z kilkoma bezdzietnymi z wyboru (z reguły dokonanego przez kobietę) parami, które hodowane przez siebie zwierzęta nazywają „dziećmi", siebie zaś „rodzicami" czworonogów. Autorka tekstu przedstawia swoje postaci jako osoby niczym się niewyróżniające, usiłuje też stworzyć wrażenie, że wybór „rodzicielstwa międzygatunkowego" jest czymś zupełnie naturalnym, a nawet coraz popularniejszym. „GUS nie badał, ile bezdzietnych par zdecydowało się stworzyć rodzinę »międzygatunkową« – ze zwierzętami. Wydaje się jednak, że takich rodzin jest coraz więcej. Jak im się żyje i dlaczego dokonały takiego wyboru?" – zastanawia się dziennikarka, wypełniając niewątpliwą lukę w badaniach GUS.

Pierwszym, co rzuca się w oczy, jest deklarowana przez opisywane kobiety gwałtowna niechęć do opiekowania się dziećmi. Oto uzasadnienia takiej postawy:

– „Oglądam też i czytam wiadomości i ostatnio praktycznie nie ma miesiąca bez newsa o dzieciach, które zabiły ojca czy matkę. Dla pieniędzy, za zabranianie dostępu do Internetu…";

– „Miłość dziecka do pewnego momentu jest »bezinteresowna«, a psa czy kota jest taka przez całe jego życie. Zwierzęta nie zaczną się kłócić o spadek czy dom po rodzicach";

– „Nie widzę w posiadaniu dzieci żadnych plusów. Wiem, że byłabym skrajnie nieszczęśliwa, gdyby coś takiego mi się przydarzyło".

WĄCHAJĄC ŁAPKI

Wypowiadające się w tekście kobiety są osobami obytymi we współczesnym świecie. Jedna z nich jest „influencerką modową", z 75 tys. obserwujących ją na Instagramie „followersów", druga – mieszkającą na wsi „copywriterką" i autorką bloga podróżniczego. Ich związki z mężczyznami opisywane są jako równoważne wobec relacji „międzygatunkowych". Chłopak „influencerki modowej" od początku dowiedział się od niej, że partnerka nie chce mieć dzieci i nie zamierza zmienić zdania. Pogodził się z tym pod wpływem Figi, suczki rasy shih tzu.

„Figa od początku była w ich związku istotną postacią. To z nią »całował się« na pierwszej randce Michał, a na drugiej pojawił się pod pretekstem, żeby ją wyprowadzić na spacer". – Zakochał się i we mnie, i w niej. I tak z nami został – opowiada Paulina.

Na „całowaniu" jednak się nie skończyło.

„Jako »psi rodzice« Paulina i Michał mają wiele wspólnych rytuałów, np. spanie z Figą w łóżku »na podwójną łyżeczkę« (Figa z przodu, Paulina w środku, Michał z tyłu)".

„Paulina przyznaje, że oczywiście łapki wącha. – Pachną jak ciepły popcorn. Uwielbiam ten zapach. Ale Figa cała pięknie pachnie. Lubimy wąchać łapki, ale

eprasa.pl 5501c57294

i oddech, zapach z uszek, żeby bardziej ją poczuć. Po powrocie z pracy sprawdzamy, jak pachnie jej z pyszczka, i oceniamy po tym, czy dużo spała. Jeśli oddech jest intensywny, to znaczy, że tak".

Do podobnie czułych relacji przyznają się pozostali „międzygatunkowi rodzice". W ich relacjach jak refren pojawia się jedno wyznanie – w „międzygatunkowej rodzinie" potrzebne jest duże łóżko.

„Aleks mówi, że »psia mama« i »psi tata« to dla nich terminy czysto żartobliwe. Ale tak, śpią z psami razem w łóżku, specjalnie po to kupili je w rozmiarze king size" – opowiada kolejna bohaterka artykułu.

„Zamiast »rodzina«, Ania woli mówić o domownikach »stado«. A czynnością »stadotwórczą« jest u nich w domu przede wszystkim wspólne spanie. – Koty przychodzą do nas, żeby nas poczuć i nawzajem się ogrzewać. Dlatego kupiliśmy największe łóżko, jakie było w mieście, objechaliśmy za nim cały Gdańsk" – przyznaje Ania, bibliotekarka z Gdańska.

Życie „międzygatunkowej" rodziny nie zamyka się jednak w sypialni. Do serca trafia się także przez żołądek kochanej osoby.

„Dziś pozwalamy im już na łażenie po blatach, lizanie ciast i sami dokańczamy po kocie. Jest też całowanie po łapkach" – przyznaje Grażyna, „mama kotów".

„– Dokańczacie po kocie? – upewniam się.

– No, mam kawałek ciasta z kremem na talerzu. Przychodzi Snickers, wylizuje bitą śmietanę i polewę, a zostawia goły biszkopt, który »pańcia« potem zjada. Nasze koty nie wychodzą, więc prawdopodobieństwo, że coś złapią, jest mniejsze. Są też regularnie odrobaczane".

W tym miejscu pozwolę sobie przerwać ten, nieco już nieapetyczny, wielogłos. Trudno już chyba wątpić, że promowane przez „Gazetę Wyborczą" postawy nie mieszczą się w kategoriach higienicznego trybu życia. Podkreślanie przez dziennikarkę „Dużego Formatu" cielesnego aspektu relacji swych bohaterek ze zwierzętami jest w cytowanym tekście nie mniej szokujące niż okazywana przez przedstawione kobiety wrogość do „posiadania" dzieci. Bo właśnie „posiadanie" jest słowem najczęściej wybieranym w opisywanych przez nie relacjach rodzicielskich. Z tego punktu widzenia odrzucenie tradycyjnego

Promowane przez „GW" postawy nie mieszczą się w kategoriach higienicznego trybu życia

macierzyństwa wydaje się zrozumiałe. Dziecka, wbrew wyobrażeniom „kocich mam", nie można „posiadać". Nie można go też wykastrować, wysterylizować, ustawić na kuracji hormonalnej ani nafaszerować środkami uspokajającymi, kiedy głośną zabawą przeszkadza „rodzicom" w pracy.

W ramach prezentowanego przez dziennikarkę „Gazety Wyborczej" światopoglądu, zakładającego równość ludzi i zwierząt w „międzygatunkowej" relacji, popełnia ona jednak rażącą niekonsekwencję. Opisywane w artykule psy i koty mają już co najmniej po kilka lat. Są to więc zwierzęta dorosłe. Traktowanie ich „jak osoby niepełnoletnie", podporządkowane „rodzicom" kłóci się z postulowaną równością gatunków. Zamiast nieuzasadnionego wiekiem „rodzicielstwa" wąchające psie łapki pary wchodzić powinny ze swoimi zwierzętami w związki partnerskie. Byłoby to uczciwsze i wyzbyte patriarchalnego, antropocentrycznego „patrzenia w dół" na niżej rzekomo stojących na drabinie ewolucyjnej, ale starszych niekiedy wiekiem, równych i pełnoprawnych partnerów. Równość w relacji wyklucza protekcjonalne traktowanie.

„ŚLUBY" ZE ZWIERZĘTAMI

Liczba posiadanych zwierzaków nie powinna tu być przeszkodą. Ideowo przyświecająca „Wyborczej" teoria gender zakłada przecież istnienie szerokiej gamy związków poliamorycznych, panseksualnych, aseksualnych i innych, które realizować można w trójkątach, wielokątach i stadach. Dla ścisłości – nie zachęcam nikogo do tradycyjnie rozumianej zoofilii. Nie propaguje jej też organizująca śluby ze zwierzętami Brytyjka, właścicielka firmy o nazwie Marry Your Pet Dominique Lesbirel. Przedstawiająca się w wywiadach jako „kapłanka" Dominique udzieliła już ponad stu ślubów, które potwierdzane są oficjalnym certyfikatem. Większość klientów to ludzie biorący za małżonków psy i koty. Zdarzyła się jej także klientka wychodząca za świnię, jednak wykluczone są z relacji małżeńskich oswojone zwierzęta dzikie, takie jak orangutany, lwy i szympansy. Pani Dominique toleruje bigamię, można wziąć ślub ze zwierzakiem, mając już ludzkiego małżonka, dopuszczalne są też małżeństwa ludzi z kilkoma czworonogami. Żadnej przeszkody nie stanowią związki jednopłciowe – najważniejsza jest miłość, nie płeć biologiczna.

Co ciekawe, „kapłanka" stanowczo sprzeciwia się praktykowaniu zoofilii, a w małżeństwie międzygatunkowym liczy się dla niej nie seks, a obietnica wspólnego życia, do śmierci któregoś z partnerów. Nikt jeszcze nie poprosił pani Dominique o rozwód, ale i tak nie zamierzałaby go udzielić. „Jestem w tej kwestii zwolenniczką starej szkoły" – twierdzi założycielka Marry Your Pet. „Małżeństwo to nie tylko wzajemnie złożona sobie obietnica. Jestem uczestniczką tej ceremonii i zamierzam upewnić się, że ludzie dotrzymają słowa".

„Małżeństwa" ze zwierzętami odbywają się już w wielu krajach europejskich, a także w Stanach Zjednoczonych. W jednym z takich obrzędów, szeroko relacjonowanym przez media, w kaplicy kościoła episkopalnego Chapel of Our Lady w Presidio, San Francisco, ślub wziął 35-letni Paul Horner. Wraz z nim na ślubnym kobiercu stanął 36-letni (mnożąc lata według cyklu życiowego psów) labrador Mac. Początkowo Mac zamierzał być drugim panem młodym, ale w ostatniej chwili zdecydował się na założenie białego welonu. Ślubu udzielał im ojciec McHale, pastor Kościoła episkopalnego (amerykańska odmiana anglikanizmu). „Oto prawdziwa definicja miłości, drodzy przyjaciele – powiedział w czasie kazania o. McHale. – Nie ma na tym świecie nic bardziej świętego niż więź między mężczyzną a jego wiernym psem".

Reklamowane w „Gazecie Wyborczej" jako najświeższa nowinka rodziny „międzygatunkowe" nie są w żadnym wypadku ostatnim słowem lewicowej ideologii. Przeciwnie, w swoim antropocentrycznym odchyleniu dowodzą zaściankowości i wstecznictwa polskich aktywistek prozwierzęcych. Uczące nas życia w rodzinie dziennikarki „Wyborczej" mogą się od postępowego Zachodu wiele jeszcze nauczyć. Oby uniknęły przy tym podrapań, pogryzień i naderwanych uszu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

FOT. NAC

eprasa.pl 5501c57294

„Słup żelazny”: Kardynał Adam Stefan Sapieha

Grzegorz Kucharczyk

Książę Adam Stefan Sapieha był jedną z najważniejszych postaci polskiego Kościoła oraz jednym z wybitnych polskich mężów stanu. Przez swą bezkompromisowość wzbudzał niekiedy niezadowolenie jednocześnie u władz państwowych i w Stolicy Apostolskiej

Kardynał Adam Stefan Sapieha – wielki autorytet. W Krakowie ulubiony arcybiskup. […] Był to naprawdę wielki pan, który sobie lekceważył wszelkie niebezpieczeństwa. Ciekawe, że jeszcze za czasów austriackich zadarł z Rzymem i bardzo późno dostał kardynała – dopiero gdzieś chyba pod koniec lat czterdziestych. I podobno przed śmiercią proponował Wyszyńskiego na prymasa. Właściwie Wyszyński – biskup lubelski – był stosunkowo mało znany. I głos Sapiehy przeważył”.

„CZŁOWIEK RZYMSKI”

W ten sposób Stefan Kisielewski opisywał w swoim „Abecadle” postać księcia Adama Stefana Sapiehy, który przez niemal 40 lat (1912–1951) był arcybiskupem – metropolitą krakowskim. Jedną z najważniejszych postaci polskiego Kościoła oraz jednym z wybitnych polskich mężów stanu. Potomek książęcego rodu Sapiehów – ostatnie z siedmiorga dzieci ks. Adama Stanisława Sapiehy i Jadwigi z Sanguszków – do krakowskiej stolicy arcybiskupiej przybył w 1912 r. z Rzymu, gdzie od 1906 r. pełnił zaszczytną funkcję cameriere partecipante u boku papieża św. Piusa X. Sam Sapieha określał zakres swoich obowiązków jako pełnienie roli „papieskiego podkomorzego”. Przez kolejnych kilka lat dawało mu to możliwość stałej obecności przy papieżu. Polski duchowny (rok święceń 1893) zyskał wielkie zaufanie świętego papieża. Wspominał, że w Watykanie, dzięki „łaskawie usposobionemu papieżowi”, spotykał „prawie rodzinne stosunki”. Jak mówił po latach prymas Wyszyński o tym fragmencie biografii kard. Sapiehy: „Był człowiekiem rzymskim”, ale „w przedziwnej alchemii polskiej duszy przepracowywał wszystkie rzymskie moce na polski chleb”.

Ksiądz Sapieha cieszył się zaufaniem św. Piusa X, jednak wspominając swoje rzymskie lata, nie bez goryczy zauważał, że „nie zawsze robiono to, co przedstawiałem”. Przyszły kardynał od początku swojej obecności przy boku papieża pragnął bowiem wykorzystać ją nie tylko dla spraw czysto kościelnych, lecz także jako okazję do skłonienia Stolicy Apostolskiej, by wyraźnie zabrała głos przeciw tłumieniu podstawowych praw narodowych Polaków przez rządy zaborcze. Polski duchowny interweniował – jednak bez większego skutku – w watykańskim Sekretariacie Stanu w obronie dzieci i ich rodziców podejmujących kolejne akcje strajkowe w zaborze pruskim przeciw przymusowi nauczania religii w języku niemieckim.

PASTERZ NA TRUDNE CZASY

17 grudnia 1911 r. w kaplicy Sykstyńskiej ks. Adam Stefan Sapieha przyjął biskupią konsekrację z rąk św. Piusa X. 1 marca 1912 r. nowy metropolita krakowski przybył do swojej biskupiej stolicy. Pod Wawelem witano go z namaszczeniem i godnością przysługującą nowemu następcy św. Stanisława, ale bez entuzjazmu. Sapieha nie był „pierwszym wyborem” wpływowych w Krakowie „stańczyków” (konserwatywne stronnictwo). Także wśród duchowieństwa przeważał nastrój oczekiwania, a nie radości. Aż do wybuchu wielkiej wojny w 1914 r. darzono abp. Sapiehę szacunkiem mocno urzędowym. Wielu czuło się zawiedzionych jego przybyciem do Krakowa. Wielu zrażał styl sprawowania posługi przez nowego metropolitę, który bardzo szybko dał się poznać jako „opozycjonista wobec wszelkich presji”. Potrafił zachować niezależność zarówno wobec „stańczyków”, jak i „demokratyzujących kół inteligencji”. Dystansował się od rozwijającego się w Galicji w ostatnich latach przed wybuchem wojny ruchu niepodległościowego, widząc w nim przede wszystkim skupisko „socyjałów i radykałów”. Jednak w 1912 r. przewodniczył uroczystym, trójzaborowym obchodom trzechsetlecia śmierci ks. Piotra Skargi, które obok obchodów grunwaldzkich (1910) były największą przed pierwszą wojną światową patriotyczną manifestacją Polaków ze wszystkich stron podzielonej ojczyzny.

Urzędowy szacunek wobec księcia metropolity zamienił się w szacunek płynący z serca pod wpływem wydarzeń związanych z pierwszymi miesiącami wielkiej wojny. Przed napierającymi na zachód wojskami rosyjskimi, które dopiero późną jesienią 1914 r. zatrzymały się pod Gorlicami i Nowym Sączem, uciekały dziesiątki tysięcy osób, często w jednej koszuli. Ich skupiska – nie zważając na grasujące zarazy (tyfus, ospa, cholera) – w zachodniej części Galicji odwiedzał osobiście książę metropolita. Na gestach współczucia się nie skończyło. Z jego inicjatywy powstał pod koniec 1914 r. Książęco-Biskupi Komitet Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny. Sam inicjator stanął na jego czele i objął bieżące kierownictwo nad jego pracami.

To była tytaniczna praca, świadczona – jak podkreślał abp Sapieha – „całej Polsce, którą trzeba było przygarnąć i otoczyć opieką”. Powołany przez krakowskiego metropolitę Komitet koordynował pomoc charytatywną dla polskich uchodźców wojennych nie tylko w samej Galicji, lecz także daleko poza nią. Ofiar materialnych

eprasa.pl 5501c57294

i swojego czasu nie szczędził sam arcybiskup. Jego pomysłem było zorganizowanie latem 1915 r. ruchomych kolumn sanitarnych, które miały chronić najuboższych mieszkańców zaboru austriackiego przed epidemiami. Te wysiłki zostały zauważone przez Polaków nie tylko w krakowskiej archidiecezji i nie tylko w zaborze austriackim. Gdy jesienią 1918 r. kończyła się wielka wojna, abp Adam Stefan Sapieha cieszył się szczerym szacunkiem w całej, powstającej do swojej drugiej niepodległości Rzeczypospolitej.

DLA NIEPODLEGŁEJ POLSKI I NIEZALEŻNEGO KOŚCIOŁA

Dzień 11 listopada 1918 r. został obwieszczony biciem Zygmunta i uroczystym Te Deum odprawionym przez krakowskiego metropolitę w królewskiej katedrze na Wawelu. Arcybiskup Sapieha całym swoim autorytetem, który zyskał w czasie wielkiej wojny, wsparł budowę niepodległego państwa polskiego. „Chwila obecna dana nam jest przez Boga po to, aby w niej budować gmach Ojczyzny naszej. Zmarnować nam tej chwili nie wolno, jesteśmy za nią przed Bogiem odpowiedzialni" – mówił rok później na Wawelu w obliczu zgromadzonej tam polskiej generalicji, przybyłej na Święto Zjednoczenia Armii Polskich.

Odradzająca się do swojej drugiej niepodległości Polska miała wielkie szczęście, że na stolicach biskupich zasiadała wówczas cała plejada wybitnych pasterzy, czujących po rzymsku i po polsku: Aleksander Kakowski w Warszawie, Edmund Dalbor w Poznaniu, Józef Bilczewski i Józef Teodorowicz we Lwowie oraz Adam Stefan Sapieha w Krakowie. Każdy z nich miał poczucie, że na budowę niepodległości daną mamy tylko chwilę, którą trzeba umiejętnie wykorzystać. Robili znacznie więcej, niż należało to do ich duszpasterskich obowiązków. Żaden z nich nie respektował zasady rozdziału Kościoła od państwa. Na równi leżały im na sercu niezależność Kościoła i niepodległość państwa polskiego. Dlatego nie wahali się mieszać do polityki.

Arcybiskup Sapieha nie odstawał pod tym względem od innych polskich hierarchów. Wraz z abp. Teodorowiczem (ormiańsko-katolicki metropolita lwowski) zaangażował się we wspieranie polskiej akcji narodowej na Górnym Śląsku. Na początku 1921 r. specjalnie pojechali w tej sprawie do Rzymu, by skłonić Stolicę Apostolską do wymuszenia na duchowieństwie niemieckim rzeczywistej bezstronności w czasie akcji plebiscytowej. Celem podróży było również zwrócenie uwagi na brak dostatecznego zaangażowania papieskiej nuncjatury w Warszawie w tej sprawie.

Jako pasterz swojej archidiecezji abp Sapieha odznaczał się wielką gorliwością. Niestrudzenie odbywał wizytacje kanoniczne w parafiach. Wielką wagę przykładał do formacji seminaryjnej

Zważywszy na to, że nuncjusz abp Achille Ratti rok później zostanie wyniesiony na Stolicę Piotrową jako Pius XI, miało to dla krakowskiego metropolity swoje konsekwencje w postaci odkładania jego nominacji kardynalskiej (kapelusz kardynalski przyzna mu dopiero następca Piusa XI) i kategorycznego domagania się przez Watykan zaprzestania przez krakowskiego hierarchę bezpośredniej aktywności politycznej. W 1922 r. abp Sapieha (podobnie jak abp Teodorowicz) został wybrany do Senatu RP z listy centroprawicowego Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej. Na wyraźne „życzenie" Piusa XI rok później obydwaj metropolici złożyli swoje senatorskie mandaty.

Krakowski arcybiskup słowem i czynem angażował się na rzecz budowy niepodległego państwa polskiego, jednak nie oznaczało to bezwarunkowej akceptacji polityki kolejnych rządów po 1918 r. W Episkopacie odrodzonej Polski abp Sapieha dał się poznać jako bezkompromisowy obrońca niezależności Kościoła od władzy państwowej. Jak sam mówił: „Prawda, że mamy dzięki Bogu własne państwo i własny rząd, ale i w tym państwie polskim społeczeństwo chce widzieć w swoich pasterzach duchownych tych ludzi, którzy mogą i potrafią rządowi zależnemu od rozmaitych wpływów politycznych i prawdę powiedzieć, i w razie potrzeby przeciwstawić się z należną godnością dla obrony wyższych praw religii i moralności".

Ta bezkompromisowość oznaczała niekiedy, że Sapieha wzbudzał niezadowolenie jednocześnie u władz państwowych i w Stolicy Apostolskiej. Tak było w przypadku jego krytycznego stosunku do umowy konkordatowej podpisanej w 1924 r. (ratyfikowanej w 1925 r.) między Polską a Watykanem. Według krakowskiego metropolity konkordat „był zrobiony na kolanie" i dawał państwu nadmierne uprawnienia wobec Kościoła. Takich obaw przed „józefinizmem" wpisanym w konkordat nie miał Pius XI, który osobiście (jako były nuncjusz w Polsce) patronował tej umowie.

PIŁSUDSKI I „AWANTURA" O WAWEL

Zamach majowy 1926 r. Sapieha ocenił nadzwyczaj krytycznie, podobnie jak cały program polityczny sanacji. Utożsamiał go z niebezpiecznym autorytaryzmem zmierzającym do „uczynienia z państwa jakiegoś bożyszcza wszystko wchłaniającego". Przemoc w polityce odrzucał – czy to chodziło o zorganizowane w 1923 r. przez lewicę „powstanie krakowskie" (według metropolity wzięły w nim udział „obałamucone rzesze, których łatwowierność zdradziecko wykorzystano"), czy o sanacyjne „wybory brzeskie" 1930 r.

Podobno w czasie jednej z rozmów z Sapiehą Józef Piłsudski zażartował, że może i on po śmierci trafi do królewskiej krypty na Wawelu. Metropolita miał odpowiedzieć: „Panie Marszałku! Niech Pan się pospieszy, póki ja żyję". W 1935 r. arcybiskup bił się z myślami, czy wydać zgodę na pochówek Marszałka w krypcie św. Leonarda na Wawelu. Ostatecznie wyraził zgodę. Jak wyjaśniał, ewentualna odmowa „stałaby się zapewne z jednej strony powodem do awantur i gwałtów, a z drugiej strony do rozbudzenia wrzenia w kraju, już i tak z powodu nędzy podminowanego niezadowoleniem". Uznawał zresztą nieprzeciętne zasługi Piłsudskiego, który „jednak przez stworzenie silnego rządu, przez utrwalenie stosunków, jakie by nie były – wyratował państwo polskie od rozpadania się, postawił Polskę w rzędzie mocarstw".

Jednak dwa lata po uroczystym pochówku Marszałka w królewskiej krypcie doszło do tzw. kryzysu wawelskiego. Będąc „opozycjonistą wobec wszelkich presji", abp Sapieha zarządził

eprasa.pl 5501c57294

w nocy z 23 na 24 czerwca 1937 r. przeniesienie trumny Piłsudskiego z krypty św. Leonarda do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów (tam, gdzie dzisiaj się znajduje). Swoją decyzję hierarcha motywował brakiem uszanowania majestatu królewskiej krypty przez liczne wycieczki nawiedzające Wawel. Domagał się również zamknięcia trumny (oryginalnie była szklana, a ciało Piłsudskiego było zabalsamowane). Odrzucał zarzut, że nowe miejsce spoczynku uwłacza godności Marszałka. „Krypta nie jest buduarem, ale grobem i dlatego musi być surowa w swym wyglądzie" – mówił.

To, co potem się stało, sam Sapieha określał mianem „awantury całkiem śmiesznej". Doszło do prawdziwego kryzysu w relacjach państwo – Kościół. Niektórzy, jak Wacław Sieroszewski – prezes Polskiej Akademii Literatury – domagali się nawet postawienia metropolity przed sądem. Mediowała nuncjatura, która od początku namawiała Sapiehę do powściągliwości w „sprawie wawelskiej". Nie pierwszy raz krnąbrny hierarcha okazał się opozycjonistą również wobec presji z Watykanu.

O WIERNOŚĆ „MYŚLI CHRYSTUSOWEJ"

Jako pasterz swojej archidiecezji abp Sapieha odznaczał się wielką gorliwością. Niestrudzenie odbywał wizytacje kanoniczne w parafiach. Wielką wagę przykładał do formacji seminaryjnej. Dokładał starań, by wśród wykładowców krakowskiego seminarium były osoby o największych kwalifikacjach intelektualnych i moralnych. Z jego inicjatywy powstały w Krakowie seminaria kształcące księży dla diecezji śląskiej i częstochowskiej.

W czasie zwołanych przez siebie synodów diecezjalnych (1923, 1938) metropolita zwracał szczególną uwagę na konieczność pracy świeckich i duchownych nad wysokim poziomem moralnym. Braki w tym zakresie uważał za jedną z głównych bolączek Kościoła w Polsce. Podczas plenarnych obrad Episkopatu we wrześniu 1927 r. wytykał „oddalenie od myśli Chrystusowej" wielu ludzi Kościoła zbytnio pożądających dóbr tego świata. W charakterystycznym dla siebie stylu mówił: „Ciągnie proboszcz przy każdej okazji, jeszcze zgrabniej ciągnie (zwykle wydajniej) taki lub inny ojciec zakonny lub zakonnica, ciągnie biskup w ten lub inny sposób. Są to zapewne cele na ogół pożyteczne, ale jakaś miara i w tym musi być".

NIEZŁOMNY WOBEC TOTALITARYZMÓW

W czasie pierwszej wojny światowej abp Sapieha zbudował swój autorytet jako gorliwego pasterza, troszczącego się o najbardziej potrzebujących. W czasie drugiej wojny światowej zyskał w Krakowie i w całej okupowanej Polsce miano Księcia Niezłomnego. Po opuszczeniu Polski przez prymasa, kard. Augusta Hlonda, to krakowski metropolita stał się czymś więcej niż tylko najważniejszą osobistością Kościoła w Polsce. Z jego inicjatywy odbywały się nieformalne (nieuznawane przez okupacyjne władze niemieckie) konferencje biskupów z obszaru Generalnego Gubernatorstwa. Sam metropolita wysyłał do Watykanu regularne raporty dokumentujące ludobójczą politykę Niemiec wobec Polaków i Żydów. Już we wrześniu 1939 r. Sapieha zwracał się do swojego duchowieństwa o udzielanie pomocy Żydom.

Krakowski arcybiskup nie wahał się również podejmować interwencji u samych władz okupacyjnych (Kraków był stolicą GG) na rzecz prześladowanych obywateli polskich, bez względu na ich etniczne pochodzenie. W grudniu 1942 r., podczas spotkania z najbliższymi współpracownikami Hansa Franka, abp Sapieha mówił o tym jasno i bez ogródek. „Wypowiedź księcia metropolity była tak odważna i stanowcza, że Niemcy zniecierpliwieni wstawali, dodając w końcu, że żaden z Polaków tak do nich jeszcze nie przemawiał" – zanotował uczestniczący w tym spotkaniu hr. Adam Ronikier.

Gdy sytuacja na froncie wskazywała na klęskę Niemiec, również Hans Frank zgodził się spotkać z krakowskim arcybiskupem. Podczas rozmowy, która odbyła się 5 kwietnia 1944 r., roztaczał miraże „frontu antybolszewickiego" i „polsko-niemieckiego przymierza". Książę metropolita odparł krótko, że „Niemcy przez przeszło pięć lat nie pokazały, jakoby były przyjacielem narodu polskiego".

Po 1945 r. abp Sapieha wraz z prymasem Hlondem (zm. w 1948 r.) był główną twarzą oporu Kościoła polskiego wobec komunistycznego zniewolenia. Wraz z innymi biskupami w 1946 r. podpisał wielkopostny list do wiernych, w którym znalazły się słowa: „Polska nie może być komunistyczna. Polska musi pozostać katolicka". W 1947 r. podpisał konstytucyjny memoriał Episkopatu, w którym domagano się, by „Rzeczpospolita, jako społeczna i polityczna zbiorowość katolickiego narodu polskiego" została określona w konstytucji jako „państwo chrześcijańskie, które uznaje Boga za władzę wszelkiego stworzenia".

Jednocześnie wspierał linię prymasa Hlonda w odniesieniu do zabezpieczenia trwałości obecności Kościoła (a tym samym i państwa polskiego) na Ziemiach Zachodnich. W tym celu pojechał do Rzymu w 1948 r. Dwa lata wcześniej w Wiecznym Mieście odebrał z rąk papieża Piusa XII (23 lutego 1946 r.) insygnia kardynalskie. Powrót nowego księcia Kościoła do Krakowa był iście królewski. Owacyjnie witały go tłumy krakowian. Witały Księcia Niezłomnego, którego wielkość uznał w osobie papieża cały Kościół.

Trudno zweryfikować twierdzenia Kisiela, że to kard. Sapieha doradził Piusowi XII powołanie w 1948 r. biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego na prymasowskie stolice w Gnieźnie i Warszawie (inne źródła mówią o inicjatywie umierającego prymasa Hlonda). Jedno jest pewne, że sędziwy metropolita krakowski sceptycznie patrzył na zbyt miękką jego zdaniem linię nowego prymasa wobec komunistów. Nie popierał porozumienia z rządem, podpisanego przez prymasa Wyszyńskiego w 1950 r. Przewidując nieuchronną konfrontację z reżimem, pozostawił w kurii oświadczenie datowane na 6 marca 1950 r., w którym „stanowczo ogłaszał", że „w razie aresztowania, wszelkie moje tam złożone wypowiedzi, prośby i przyznania się są nieprawdziwe".

Książę metropolita krakowski, kard. Adam Stefan Sapieha, zmarł w swojej arcybiskupiej rezydencji 23 lipca 1951 r. Nad jego trumną 27 lipca 1951 r. prymas Wyszyński powiedział: „Był Polakiem z krwi i z kości. Duszą lgnący do Rzymu, brał zeń wszystko, co Polsce było jak chleb żywota. […] Prawdziwie zawsze był z narodem, ilekroć wypadło być słupem żelaznym, ilekroć wypadło stanąć twardo, niezłomnie, aby osłonić mocą swego wysokiego i powszechnie uznanego autorytetu ciężko zranioną, chwiejącą się ojczyznę".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Prawdziwy wróg Gomułki

Paweł Witaszek

Mijająca 55. rocznica Marca '68 skłania do zajęcia się tym wydarzeniem, wokół którego narosło mnóstwo mitów

Pierwszy sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka w Sali Kongresowej 19 marca 1968 r.
FOT. STANISŁAW DĄBROWIECKI/PAP

Za jeden z ważniejszych momentów „kampanii antysemickiej" uznawane jest wystąpienie I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki w Sali Kongresowej 19 marca 1968 r. W Internecie dostępny jest zapis dźwiękowy tego wystąpienia, w minimalnym stopniu różniący się od wydanego drukiem przez partyjne wydawnictwo wkrótce po jego wygłoszeniu.

Wbrew dominującemu w opisach historyków twierdzeniu nie jest to wystąpienie „antysemickie", nie ma tam żadnego ataku na Żydów (czy też syjonistów), nie ma też wezwań do nieufania Żydom (jak można często przeczytać). Antysemityzm jest w nim przedstawiony jako zjawisko negatywne, charakterystyczne dla tzw. reakcji. I jeżeli jest w tym przemówieniu coś obrzydliwego, to właśnie atak na „polską reakcję". Słowa „reakcja" i „reakcyjny" padają wielokrotnie, a wraz z praktycznymi synonimami (antyradziecki, antykomunistyczny czy bandy podziemia) kilkadziesiąt razy.

MICKIEWICZ I BOLSZEWICY

Jak skonstruowane jest przemówienie? Na początku Gomułka odnosi się do przedstawienia „Dziadów" w reżyserii Kazimierza Dejmka i – jak sam przyznaje – „dziedzina ta jest mi daleka. Nie wiem, co wolno, a czego nie wolno robić reżyserowi". Dezawuując w ten sposób swoje rozważania, sens tych dywagacji ogranicza się do konstatacji zawartej w redakcyjnym śródtytule: „Mickiewicz nie był i nie będzie sztandarem reakcji". Słyszymy tu znaną komunistyczną śpiewkę o tym, że Mickiewicz walczył z caratem (tak samo jak później Lenin), a Polska odzyskała niepodległość dzięki rewolucji październikowej, więc Mickiewicz, gdyby dożył tych czasów, pewnie zostałby bolszewikiem, a co najmniej zwolennikiem sojuszu polsko-radzieckiego.

W następnej części Gomułka piętnuje prowodyrów rezolucji warszawskiego oddziału ZLP, który wypowiedział się przeciwko „zdjęciu" spektaklu. Wymienia kilku (Stefana Kisielewskiego, Pawła Jasienicę i znajdującego się wówczas za kratami Janusza Szpotańskiego), którzy służą reakcji. Kisielewski to człowiek, dla którego „ideałem jest restauracja Polski burżuazyjnej, antyradzieckiej". Szpotański „został skazany za reakcyjny paszkwil, ziejący sadystycznym jadem nienawiści do naszej partii i do organów władzy państwowej". Jasienica (tu pojawia się znana fraza „jego prawdziwe nazwisko brzmi inaczej") był członkiem bandy reakcyjnego podziemia.

Gomułka atakuje też nieżyjącego wówczas od prawie ćwierci wieku Adolfa Nowaczyńskiego – poświęca mu cały akapit, skłoniony do tego wymienieniem go w pozytywnym kontekście przez Kisielewskiego („Nie istnieje taki pisarz jak Nowaczyński, bo to endek"). Gomułka grzmi: „Trudno wprost uwierzyć, że […] Kisielewski wliczył do dorobku kultury polskiej twórczość Adolfa Nowaczyńskiego. Ten pisarz endecki jest bowiem czołowym antysemitą okresu międzywojennego, najbardziej zażartym żydożercą, kipiącym nienawiścią do Żydów. W latach przedwojennych wydał on kilkanaście książek poświęconych walce z Żydami". Tak więc antysemityzm jest napiętnowany jako zjawisko reakcyjne, a prawdziwymi antysemitami są nie partyjniacy, tylko inspiratorzy „zajść".

W tej części pojawia się też Adam Michnik. Ale nie jako Żyd, syjonista czy nawet rewizjonista, tylko ofiara reakcyjnego spisku: „Jasienica ma bogate doświadczenie w działalności konspiracyjnej, wie, jak należy organizować walkę z przeciwnikiem, jakie metody i taktykę należy stosować na poszczególnych etapach tej walki. Zna on dobrze zapał patriotyczny, a zarazem łatwowierność młodzieży akademickiej. Nawiązał więc kontakty z poszczególnymi studentami, m.in. z Michnikiem". Czyli Michnik został złapany na lep polskiego patriotyzmu, fałszywego, nie przez skażenie syjonizmem, tylko przez skażenie reakcyjnością i antyradzieckością. Widać tu bardzo wyraźnie nawiązanie do archetypu Maćka Chełmickiego z „Popiołu i diamentu" (zbałamucona przez starsze pokolenie młodzież porywana do walki z socjalizmem, wcześniej „nową rzeczywistością", w imię rzekomego patriotyzmu).

KŁAMSTWO NA KŁAMSTWIE

W ataku na reakcję Gomułka posługuje się ewidentnym kłamstwem:

eprasa.pl 5501c57294

twierdzi, że Narodowe Siły Zbrojne nie walczyły z Niemcami. To potrzebne mu jest do wywodu historycznego zbudowanego już od lat na tezie, że komuniści byli prawdziwymi polskimi patriotami, którzy organizowali walkę z niemieckim okupantem. Do walki tej dołączyły „doły" AK-owskie, ale przeciwstawiały się jej „góra" AK oraz NSZ (w całości) – realizatorem praktycznych konsekwencji tego podejścia (poprzez ZBOWiD) był od dobrych kilku lat Mieczysław Moczar. Do tej narracji potrzebny jest Jasienica, który kontynuował po wojnie walkę zbrojną z „nową Polską", zrozumiał swój błąd, za co darowano mu życie (AK-owiec pozytywny), ale teraz okazuje się, że jednak błędu nie zrozumiał, bo dalej knuje (powrót na pozycje kliki sanacyjno-oenerowskiej).

Polskę zgubiły szlachta i magnateria, a później obszarnicy i burżuazja. „Komunistyczna Partia Polski […] była jedyną partią polityczną w Polsce, która wysuwała realny program uratowania naszej ojczyzny przed katastrofą wrześniową". Początkowo PPR miała trudność z pozyskaniem poparcia społecznego, ale później dzięki „słuszności" swojego programu „zdobyła poparcie większości narodu".

„Od drugiej wojny światowej w polskiej myśli politycznej ścierają się dwie zasadnicze koncepcje. Jedna – nasza, socjalistyczna, określająca generalny kierunek polityki Polski Ludowej, i druga – wyrażająca interesy i poglądy reakcji". Reakcja nie ma możliwości działania w kraju, ale jest aktywna za granicą, wspierana przez ośrodki imperialistyczne. „Wszystko, co mają do zaproponowania narodowi polskiemu, sprowadza się do fanatycznego, wręcz obłędnego antysowietyzmu, do idei atomowej krucjaty antykomunistycznej". „Ci, którzy dziś wzywają do walki z naszą partią, nie są jedynie wrogami Polski Ludowej. Są oni wrogami Polski jako takiej. Gdyby zdołali osiągnąć swe cele, staliby się grabarzami niepodległości narodu, zgotowaliby mu ten sam los jak magnateria w 1794 r. i jak burżuazja w 1939 r.".

I tutaj właśnie pojawia się ból: jak już udało się zjednoczyć naród wokół programu sojuszu ze Związkiem Radzieckim oraz socjalistycznej przebudowy ustroju społecznego, to nagle reakcyjna hydra podnosi głowę. Ból wzmożony tym, że na lep reakcyjnej propagandy poszły dzieci niektórych „naszych towarzyszy".

To, że te dzieci to w niemałej części „młodzież pochodzenia żydowskiego" i dzieci naszych żydowskich towarzyszy, jest smutne, ale przede wszystkim niezrozumiałe (bo Adolf Nowaczyński etc.). Syjonizm, jako ruch skierowany przeciwko obozowi socjalistycznemu, którego Polska (Ludowa) jest członkiem, Gomułka napiętnował dziewięć miesięcy wcześniej. Teraz wyjaśnia: „Byłoby nieporozumieniem, gdyby ktoś chciał dopatrywać się w syjonizmie niebezpieczeństwa dla socjalizmu w Polsce, dla jej ustroju społeczno-politycznego. Niebezpieczeństwo takie, jeśli kiedykolwiek by zaistniało – a jest to mało prawdopodobne – może wypłynąć z różnych reakcyjnych źródeł w kraju, wspomaganych z zewnątrz przez ośrodki międzynarodowej, antykomunistycznej reakcji".

Gomułka mówi, że jeżeli w Polsce są ciągle osoby, które objawiały chęć wyjazdu do Izraela (celem wzięcia udziału w wojnie z Arabami), to „gotowi jesteśmy wydać [im – przyp. P.W.] emigracyjne paszporty". Jednak, jak podkreśla, „najliczniejsza grupa naszych obywateli pochodzenia żydowskiego" to ci, „którzy wszystkimi korzeniami wrośli w ziemię, na której się urodzili, i dla których Polska jest jedyną ojczyzną". I dodaje: „Partia nasza przeciwstawia się z całą stanowczością wszelkim zjawiskom, które noszą cechy antysemityzmu".

PRAWDZIWY WRÓG

Fragment poświęcony wątkowi „żydowskiemu" zajmuje kilka procent całego wystąpienia, trudno odnaleźć w nim momenty, które można by uznać za atak czy wzywanie do nienawiści. Prawdziwym wrogiem jest reakcja. I ona jest faktycznym obiektem przepojonego nienawiścią ataku.

W części historycznych ocen można usłyszeć, że faktycznie Gomułka raczej starał się stonować, a nie rozbudzać skierowane przeciwko „żydowskim towarzyszom" emocje. Zazwyczaj jednak towarzyszą temu zastrzeżenia, np. w rodzaju „obłudnie". Często jednak, wbrew faktom, twierdzi się, że wystąpienie to „dało sygnał do antysemickiej nagonki", było atakiem na „syjonistów" itd.

Aby w jakiś sposób udokumentować te tezy, manipuluje się cytatami, zmieniając zupełnie ich sens. W filmie fabularnym „Marzec '68" pojawiają się autentyczne nagrania, m.in. wystąpienia Gomułki. Wybrano z niego kilka zdań, które pokazane są w jednym ciągu, tworząc wrażenie, że Gomułka mówi, iż przywódcy rewolty studenckiej to kategoria Żydów, którzy nie są związani z Polską, tylko z państwem Izrael, i spodziewa się, że opuszczą oni nasz kraj. Tymczasem słowa te odnosiły się do zupełnie kogo innego.

Inni komentatorzy, stroniący od tak ewidentnej manipulacji, budują z kolei dosyć karkołomne logicznie tezy.

Na przykład przemówienie było antysemickie, ponieważ stosowało charakterystyczny dla antysemitów zabieg: podawanie tzw. prawdziwego nazwiska. Chodzi tutaj oczywiście o wymienienie przez Gomułkę nazwiska Jasienicy. Tyle że nie miało to żadnego związku z jego pochodzeniem, a pseudonimu literackiego używał on z zupełnie innych powodów niż zatarcie swojego (akurat tatarskiego) pochodzenia.

Inna pojawiająca się teza: wystąpienie było skrajnie antysemickie, ponieważ atakowano nawet te osoby, które jedynie w jednej czwartej były Żydami. Wychodzi więc, że Gomułka stosował zasady norymberskie, podczas gdy autor tej wypowiedzi miał na myśli najprawdopodobniej Stefana Kisielewskiego (jego matka miała żydowskie korzenie), którego Gomułka krytykował m.in. właśnie za propagowanie antysemityzmu (jako jednego z wyznaczników reakcyjności).

Komuna była tworem konsekwentnie antycywilizacyjnym, antychrześcijańskim i antynarodowym. W Polsce – antypolskim. Przez lata w budowaniu bolszewickiej utopii uczestniczyli „żydowscy towarzysze" – ich istotna rola w ruchu komunistycznym znalazła wyraz w określeniu „żydokomuna". W pewnym sensie byli nośnikiem i uwiarygodnieniem internacjonalizmu. Powstanie państwa izraelskiego, a zwłaszcza jego konflikt z „obozem socjalistycznym", zmieniało tę perspektywę. Ale cały czas motywy antyżydowskie były „przypadłościowe" – wtórne i służebne wobec nadrzędnych, „internacjonalistycznych" celów. Przemówienie Gomułki z marca 1968 r. doskonale to obrazuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Doprowadzenie do wznowienia stosunków dyplomatycznych między Iranem i Arabią Saudyjską to istotny sukces Chin na arenie międzynarodowej

FOT. ATTA KENARE/AFP/EAST NEWS

Niebezpieczne związki

Jacek Przybylski

Znany od dekad porządek świata zmienia się na naszych oczach. Antyzachodni blok staje się potężniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, nie tylko politycznie, lecz także gospodarczo i wojskowo. Ameryka nie zasypia gruszek w popiele i w odpowiedzi na wielkomocarstwowe zagrywki Chin tworzy nowy, potężny atomowy sojusz: AUKUS

Co prawda, w wojnie rosyjsko-ukraińskiej po stronie Kijowa opowiedziało się ok. 50 państw, w tym najpotężniejsze supermocarstwo świata oraz większość krajów zachodnich, ale większa część świata (ok. 150 państw) tego nie zrobiła. W tym drugim obozie są takie kraje jak Brazylia (liczące ok. 215 mln osób), Indie (z 1,408 mld mieszkańców) czy Chiny (zamieszkane przez 1,412 mld osób).

ŚWIAT CZERWONEGO SMOKA

Chińczycy i Amerykanie nie próbują już nawet ukrywać, że stoją po dwóch stronach barykady. I dotyczy to nie tylko wojny rosyjsko-ukraińskiej.

10 marca 2023 r. w Rijadzie, Teheranie i Pekinie ogłoszono wznowienie zerwanych w 2016 r. stosunków dyplomatycznych między Arabią Saudyjską a Iranem i plan ponownego otwarcia ambasad w stolicach obu krajów w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Komunikat był zaskoczeniem dla Zachodu (a zwłaszcza dla Stanów Zjednoczonych), a jednocześnie ogromnym sukcesem politycznym Chin, których mediacja doprowadziła do dużo szybszego, niż się spodziewano, ocieplenia relacji między Saudami a Persami, czyli kluczowymi mocarstwami sunnickim i szyickim.

Dlaczego to takie ważne? Po pierwsze dlatego, że doprowadzając do zakończe-

eprasa.pl 5501c57294

nia swego rodzaju zimnej wojny między Rijadem a Teheranem, Pekin coraz śmielej wkracza w dawną strefę wpływów Waszyngtonu na Bliskim Wschodzie. Przed ustanowieniem islamskiej republiki zarówno Iran, jak i Arabia Saudyjska należały bowiem do proamerykańskiego i antykomunistycznego bloku. Po przejęciu władzy w Teheranie przez ajatollahów głównym filarem amerykańskiej obecności w regionie stała się zaś monarchia w Rijadzie. Na przełomowe porozumienie wynegocjowane przez Chiny błyskawicznie odpowiedziały rządy w Katarze, Iraku czy Omanie, które pospieszyły z gratulacjami z powodu ocieplenia relacji. Skuteczna mediacja Chińczyków jest równocześnie sygnałem dla państw w innych częściach globu: świat wcale nie musi już być ułożony tak, jak życzą sobie tego Amerykanie czy Europejczycy. Dlatego w komunikacie nie ma choćby jednego słowa o USA czy Unii Europejskiej. Chińczycy zadbali za to, aby podkreślić, że Iran i Arabia Saudyjska porozumiały się dzięki osobistemu zaangażowaniu sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin Xi Jinpinga.

Po drugie, dyplomatom z Państwa Środka udało się nawiązać bliskie relacje z Iranem i Arabią Saudyjską – które są zaangażowane we wspieranie po przeciwnych stronach w tzw. wojnach zastępczych w Syrii czy Jemenie – nie tylko na poziomie politycznym, lecz także gospodarczym. A że duże pieniądze lubią nie tylko ciszę, lecz także spokój, wydaje się, iż ocieplenie relacji saudyjsko-irańskich będzie sprzyjać rozwojowi handlu w regionie, na czym najwięcej ugrać mogą właśnie Chiny, które mogą aktywniej działać na całym Bliskim Wschodzie i efektywniej pozyskiwać kluczowe dla rozwoju swej gospodarki tanie węglowodory. Dzięki współpracy z oboma zwaśnionymi mocarstwami – prawdopodobnie ocieplenie nie posunie się dużo dalej poza etap otwarcia ambasad – Pekin może rozwijać kontakty gospodarcze z niemal wszystkimi krajami na Bliskim Wschodzie, co zapewnia Chinom bezpieczeństwo energetyczne.

Po trzecie, ogłoszone w Pekinie porozumienie jest ważne, ponieważ krzyżuje plany głównego sojusznika Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie – Izraela, zmierzające do międzynarodowej izolacji Iranu. Porozumienie pozwala Teheranowi, jawnemu sojusznikowi Moskwy, który według doniesień służb wywiadowczych jest już bardzo blisko pozyskania broni jądrowej, na wyjście z izolacji.

Ocieplenie stosunków między Arabią Saudyjską a Iranem może równocześnie, choć wcale nie musi, podkopywać próby normalizacji stosunków saudyjsko-izraelskich. Tak czy owak zmniejsza jednak szanse pełnego sukcesu Izraela w ewentualnej zbrojnej konfrontacji z Iranem, który w przypadku tego typu konfliktu potrzebowałby jednak jak najwięcej sojuszników wśród innych państw Zatoki Perskiej.

I chociaż przesadą byłoby stwierdzenie, że to już koniec amerykańskiej dominacji na Bliskim Wschodzie – Saudom nadal się podoba rozciągnięty nad królestwem amerykański parasol bezpieczeństwa – to widać wyraźnie, że Pekin coraz skuteczniej gra Waszyngtonowi na nosie i pozyskuje nowych przyjaciół w różnych częściach globu.

ZACHÓD KONTRA RESZTA ŚWIATA

Doprowadzenie do wznowienia stosunków dyplomatycznych między Iranem i Arabią Saudyjską to największy, jak dotąd, sukces Chin na arenie międzynarodowej. Pekin z powodzeniem szuka sojuszników również w innych częściach świata. Po stronie Państwa Środka stoją także Rosjanie, choć wszyscy wiedzą, że Rosjan i Chińczyków łączy głównie jedno: wrogość wobec Stanów Zjednoczonych. Chińczycy chętnie wykorzystują jednak to, że Rosjanie muszą być obecnie wyjątkowo grzeczni wobec swych komunistycznych przyjaciół, bo wystarczyłoby, aby Pekin potępił agresję Moskwy, a osłabiona sankcjami Rosja byłaby izolowana jak nigdy wcześniej. Zarówno Moskwa, jak i Pekin intensywnie pracują również nad zwiększeniem liczby państw tworzących jednoznacznie antyzachodni blok.

W ubiegłym tygodniu chiński resort obrony oficjalnie ogłosił manewry „Anquan Niudai 2023" („Więzi Bezpieczeństwa 2023"), w których udział biorą siły morskie Chin, Rosji, Iranu oraz innych krajów, które nie zostały wymienione z nazwy. Teheran od miesięcy otwarcie dostarcza Moskwie drony i inne uzbrojenie używane w wojnie przeciwko Ukrainie.

Wśród mniej lub bardziej jawnie antyzachodnich zwolenników nowego porządku światowego są m.in. przywódcy krajów BRICS, czyli Brazylii, Rosji, Indii, Chin oraz Afryki Południowej. To istotny sojusz, ponieważ w państwach BRICS mieszka ponad 3 mld ludzi, a w krajach G7 (Kanada, Francja, Niemcy, Włochy, Japonia, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone) ok. 800 mln osób. Już w połowie ubiegłego roku chiński przywódca Xi Jinping ostrzegał, otwierając szczyt BRICS, że wojna na Ukrainie jest „sygnałem alarmowym dla świata" – nie chodziło mu jednak o agresję Rosji na suwerenny naród w Europie, lecz o postawę krajów Zachodu zainteresowanych „zachowaniem hegemonii". Propagandowe media z Państwa Środka konsekwentnie promują więc tezę, że „G7 reprezentuje XX w., a BRICS przyszłość XXI stulecia". Wybrany w marcu obecnego roku na trzecią kadencję Xi Jinping – zapewne po to, by mógł dokończyć swą życiową misję „zjednoczenia chińskich ziem" (czyt. podbić Tajwan) – prowadzi już otwarcie antyamerykańską krucjatę. Pekin już w tym roku zwiększy więc wydatki na zbrojenia do 7,5 proc. PKB, a chińscy przywódcy mniej lub bardziej dyskretnie przekierowują kraj na tory gospodarki wojennej. Nie jest żadną tajemnicą, że Państwo Środka nie tylko buduje największą flotę wojenną na świecie, lecz także szykuje się do rychłej interwencji na Tajwanie (według tygodnika „The Economist" Pekin zażądał od swoich generałów, by byli gotowi do podbicia wyspy najpóźniej do 2027 r., choć zapewne Chińczycy najpierw sprawdzą, czy udałoby im się zrealizować te plany bez użycia sił zbrojnych).

Jednocześnie Rosja i Chiny konsekwentnie zacieśniają więzi nie tylko z Brazylią, gdzie Luiz Inácio Lula da Silva oznajmił oficjalnie, że zarówno prezydent Ukrainy, jak i przywódca Rosji ponoszą jednakową winę za rozpętanie wojny, lecz także z innymi krajami Ameryki Łacińskiej oraz Afryki, które wciąż nie dość, że nie przyłączają się do zachodnich sankcji przeciwko Rosji, to jeszcze wprost pomagają Rosjanom w obejściu restrykcji, importując rosyjską ropę czy też węgiel. Część

eprasa.pl 5501c57294

państw woli z kolei pozostać neutralna, aby móc czerpać gospodarcze korzyści zarówno ze współpracy z Zachodem, jak i z Rosją czy Chinami. Chyba najlepszym przykładem takiej strategii geopolitycznego bilansowania są obecnie Indie.

Nowy antyzachodni blok jest przy tym potencjalnie dużo bardziej niebezpieczny niż dawny Związek Sowiecki współpracujący z komunistycznymi Chinami. Integruje bowiem nie tylko mocarstwa atomowe oraz państwa silne militarnie, lecz także antyzachodnie kraje, które w bardzo szybkim tempie rozwijają się gospodarczo.

Przy okazji brutalnej antyzachodniej gry swoje interesy załatwiają też formalni sojusznicy Zachodu, jak Turcy czy Węgrzy. Efekty widać choćby podczas nieudanej próby błyskawicznego poszerzenia NATO o Szwecję i Finlandię, które spowalnia Ankara, a także – mimo wielu pustych obietnic złożonych m.in. pod koniec ubiegłego roku premierowi Polski przez Viktora Orbána – Budapeszt. Celowe opóźnianie ratyfikacji uderza w wiarygodność paktu północnoatlantyckiego.

Na szczęście tak doświadczony gracz jak Orbán musi zdawać sobie sprawę, że węgierska gra na wielu fortepianach – szef dyplomacji tego kraju Péter Szijjártó w 2021 r. przyjął order od Władimira Putina, we wrześniu ubiegłego roku jako jedyny spośród ministrów spraw zagranicznych krajów Unii Europejskiej spotkał się z szefem rosyjskiej dyplomacji Sergiejem Ławrowem podczas 77. sesji Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, a w lutym obecnego roku udał się na rozmowy na Białoruś – skończy się dla niego bardzo boleśnie, jeśli Węgry zbyt długo będą zwlekać i nie ratyfikują odpowiednich dokumentów jeszcze przed lipcowym szczytem NATO w Wilnie. Z kolei Turcja, która z jednej strony sympatyzuje z Ukrainą, a z drugiej nie zamierza zrywać relacji z Rosją wypracowanych przez ostatnie lata, również próbuje wykorzystać proces rozszerzenia sojuszu, aby załatwić jak najwięcej swoich interesów. Z punktu widzenia Kremla „neutralna" pozycja Turcji wobec konfliktu na Ukrainie jest de facto pozycją prorosyjską. W tym wypadku jednak NATO jest zmuszone tolerować nienormalne zachowanie sojusznika, bo utrata Turcji w obecnym świecie byłaby dla Zachodu zbyt kosztowna.

AUKUS KONTRA POSTZACHODNI ŚWIAT

Rosyjski politolog Fiodor Łukjanow zauważył na łamach „Russia in Global Affairs", że militarna agresja przeciwko Ukrainie i – szerzej – zjednoczonym zachodnim siłom to zwiastun nowej ery w globalnej historii i początek końca zachodniej hegemonii, która panuje na świecie od 1945 r. Moskwa i Pekin otwarcie marzą o „postzachodnim" świecie, w którym to Chiny stają się najpotężniejszym mocarstwem świata, a na światową szachownicę jako poważny gracz powraca również Rosja.

Zachodnie demokracje na czele ze Stanami Zjednoczonymi nie przypatrują się jednak działaniom Moskwy i Pekinu z założonymi rękoma. Kraje UE zaczęły wreszcie konkretniej rywalizować z Moskwą o przyciągnięcie do siebie krajów Bałkanów Zachodnich. Wspomina się również o członkostwie w UE zagrożonej rosyjską agresją Mołdawii. Europa i Stany Zjednoczone rozwijają również współpracę w ramach cichej koalicji państw, które pomagają zbrojnie Ukrainie, ale wolą w tej sprawie zachować dyskrecję (jak np. Japonia czy Korea Południowa) lub jak Izrael wspierają władze w Kijowie, dostarczając im dane wywiadowcze, dotyczące np. sposobu najskuteczniejszej walki z irańskimi bezzałogowcami.

Sojusznicy USA w regionie Azji i Pacyfiku zdają sobie sprawę z coraz bardziej realnej perspektywy wojny z Chinami

Amerykanie wykorzystują rosyjską napaść na Ukrainę i chińskie prężenie muskułów do wzmacniania relacji z azjatyckimi sojusznikami (Japonią i Koreą Południową) oraz z Australią. Zdając sobie sprawę z coraz bardziej realnej perspektywy zbrojnego starcia z Chinami, w zeszłą środę prezydent Joe Biden ogłosił nowy pakt trójstronny – AUKUS – czyli silny atomowy sojusz Waszyngtonu, Londynu i Canberry, nastawiony na współpracę obronną w regionie Indo-Pacyfiku. I chociaż politycy z tych krajów są wzorowo nauczeni przestrzegania politycznej poprawności, to nawet oni nie próbują już mydlić oczu wspólnymi wartościami i muszą mówić wprost: celem nowego sojuszu jest uzbrojenie się po zęby tak, aby móc nadal wobec wrogów „pokoju i stabilności" (czyt. Chin) występować z pozycji siły.

Sojusznicy określili więc „optymalną ścieżkę", prowadzącą do zapewnienia Australii konwencjonalnie uzbrojonych okrętów podwodnych napędzanych energią jądrową. Rząd w Canberze, który długo nie mógł się zdecydować, czy woli się dozbrajać czy oszczędzać pieniądze, w ostatnich miesiącach nie ma już żadnych wątpliwości: porozumienie jest największą inwestycją w obronność w całej historii Australii, a na pierwsze trzy nuklearne okręty podwodne od USA Australijczycy wydadzą 245 mld dol. W ramach umowy Australia może liczyć nie tylko na dostawy uzbrojenia, lecz także m.in. na „ustanowienie rotacyjnych sił okrętów podwodnych USA i Wielkiej Brytanii w Australii". W 2027 r. w Australii rotacyjnie stacjonować mają zarówno brytyjskie okręty podwodne klasy Astute, jak i amerykańskie klasy Virginia. – Dziś, kiedy stoimy w punkcie zwrotnym historii, ciężka praca wzmacniająca odstraszanie będzie miała wpływ na perspektywę dla pokoju na dekady – podkreślił amerykański prezydent.

O naprawę wzajemnych relacji w sytuacji zagrożenia wspólnego bezpieczeństwa dbają też – inspirowani przez Waszyngton – inni sojusznicy Zachodu. W ubiegły czwartek pierwszy raz od 12 lat prezydent Korei Południowej wylądował w Japonii. Przywódcy obu państw rozmawiali o zagrożeniach ze strony Korei Północnej oraz tym wynikającym z rosnącej aktywności wojskowej Chin. Władze pacyfistycznej Japonii ogłosiły ostatnio pięcioletni plan wzmocnienia sił zbrojnych, którego wartość szacowana jest na 315 mld dol. O zagrożeniu ze strony Chin regularnie rozmawiają również na szczytach NATO partnerzy spoza sojuszu: Australia, Japonia, Korea Południowa i Nowa Zelandia. Wszyscy przypatrują się też pilnie rosyjskiej agresji na Ukrainę – jej wynik może bowiem ośmielić lub zniechęcić Chiny do ataku na Tajwan, co niechybnie skończyłoby się wielką globalną wojną.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

NIEMKI TOPLESS NA BASENACH

Mieszkanki różnych miast w Niemczech podjęły nową krucjatę – domagają się takich samych praw, jak korzystający z basenów mężczyźni, czyli możliwości pływania bez górnej części stroju. W związku z tym publiczne pływalnie zmieniają swoje regulaminy. Od 1 kwietnia kobiety będą mogły przebywać topless na pływalniach w Kolonii. Wcześniej takie rozwiązanie wprowadziły m.in. władze Berlina. Na szczęście zakładanie góry stroju kąpielowego nadal będzie też dopuszczalne.

FOT. ADOBE STOCK

„UKRAINA JUŻ POKONANA"

Kremlowska propagandzistka Margarita Simonjan na antenie państwowej rosyjskiej telewizji Rossija 1 przekonywała, że „Rosja już wygrała z Ukrainą". Twierdziła, że Rosja pokonała Ukraińców w ciągu pierwszych dwóch dni inwazji, gdy zdobyła Hostomel. Jej zdaniem obecnie trwa zupełnie inna wojna. To wojna z NATO.

SZKOLNE KÓŁKO SATANISTYCZNE

Organizacja z Seattle w USA działająca pod nazwą Świątynia Satanistyczna zwróciła się do władz miejscowej szkoły podstawowej o umożliwienie jej prowadzenia zajęć pozalekcyjnych dla dzieci w ramach tzw. klubu szatana. Tarkus Claypool, przedstawiciel organizacji, twierdził, że takie zajęcia mają być odpowiedzią na Biblijny Klub Dobrej Nowiny organizowany w tej szkole przez Dziecięcą Drużynę Ewangelizacji. Prawnik zatrudniony przez szkołę uznał, że placówka nie może odmówić. Decyzji jeszcze nie podjęto.

NAUCZYCIEL KONTRA CEZAR

Awantura na szkolnej radzie w Concord w stanie New Hampshire w Stanach Zjednoczonych. Jeden z rodziców przyszedł w stroju Rzymianina. „Jestem Cezar. Juliusz Cezar z Rzymu, cesarz. Jestem również kobietą" – mówił Michael Guglielmo. „Czy ktoś tutaj wierzy w to, że jestem Juliuszem Cezarem? Nie, oczywiście, że nie. To niedorzeczne" – dodał. Tak zaprotestował przeciwko nauczycielowi sztuki, który identyfikuje się ze społecznością LGBT i przychodzi na lekcje w damskich ubraniach. Guglielmo przypomniał nauczycielom, że ich obowiązkiem jest „nauka faktów, a nie fikcji, nauka biologii, a nie porządku społecznego".

ZATRZYMANI ZA RYBKI

W Japonii aresztowano pięć osób za hodowlę rybek akwariowych. Sprzedawali gatunek świecącej ryby, genetycznie modyfikowany. Okazało się, że ikrę, z której skorzystali, skradł z Tokijskiego Instytutu Technologii jego student. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Banki na beczce prochu

To był najbardziej dramatyczny tydzień dla posiadaczy akcji banków od upadku Lehman Brothers we wrześniu 2008 r. I nie tylko dla posiadaczy akcji. Najpierw światem wstrząsnęła wiadomość o upadku dwóch amerykańskich instytucji: SVB oraz Signature Bank.

Na fatalne wieści – upadek SVB o aktywach przekraczających 200 mld dol. był trzecią największą upadłością banku w historii USA – błyskawicznie zareagowali zarówno Rezerwa Federalna (Fed), jak i prezydent Joe Biden, zapewniając Amerykanów w specjalnym orędziu, że ich depozyty w bankach są bezpieczne.

Władzom udało się ustabilizować sytuację i zapobiec krachowi na dużą skalę, choć start-upy – w tym niektóre znad Wisły – stanęły przed widmem odcięcia pieniędzy na swą innowacyjną działalność. Inwestorzy, którzy i tak mają się czego obawiać – wojna na Ukrainie, rekordowa inflacja, widmo globalnej recesji – jeszcze ostrożniej będą podchodzić do ryzyka związanego z rynkiem start-upów. Jest więc wielce prawdopodobne, że innowacyjne spółki będą miały jeszcze trudniejszy dostęp do kapitału.

Paniczna wyprzedaż akcji banków powtórzyła się już w środę, gdy na jaw wyszły problemy szwajcarskiego giganta Credit Suisse. Jego akcje jednego dnia potaniały o jedną czwartą! Rykoszetem oberwały też polskie banki – akcjonariusze niektórych z nich tylko w środę stracili ponad 5, a nawet ponad 7 proc. W czwartek nad ranem szwajcarski bank Credit Suisse poinformował, że pożyczy do 50 mld franków od Narodowego Banku Szwajcarii. To powinno zapewnić mu płynność. Widmo globalnego kryzysu bankowego nadal jednak straszy. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

Uchodźcy czy najeźdźcy?

Maciej Pieczyński

Część z nich to prawdziwi opozycjoniści. Większość jednak uciekła nie tyle w geście sprzeciwu wobec inwazji na Ukrainę, ile ze strachu przed śmiercią na froncie. Dlatego rosyjska emigracja w przyszłości może być użyta jako koń trojański Kremla bliżej i dalej za granicą

Rosjanie czują się w Gruzji niemal jak u siebie, w swojej dawnej kolonii

FOT. DAVIT KACHKACHISHVILI/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Historycy Rosji mówią o trzech największych falach emigracji w XX w. Pierwsza dotyczyła głównie „białych", którzy uciekali z kraju po przejęciu, a następnie umocnieniu władzy przez bolszewików. Wśród „białych emigrantów" wielu było wybitnych pisarzy, filozofów, działaczy politycznych. Ruch nie był jednorodny nawet w stosunku do Sowietów. Powstały na Zachodzie ruch eurazjatycki, programowo prawosławny i antykomunistyczny, kibicował imperialnym podbojom bolszewików, wierząc, że są one w interesie wielkiej Rosji. Druga wojna światowa podzieliła „białą emigrację" – jedni popierali ZSRS, inni trzymali kciuki za Hitlera. O wiele mniej masowa była druga fala, złożona z Rosjan, którzy w rezultacie napaści Hitlera na ZSRS znaleźli się na terenie Niemiec. Trzecią falę reprezentowali niepokorni wobec władzy działacze kultury sowieckiej, zmuszeni do emigracji w latach 60.–80. Najbardziej znana postać to Aleksandr Sołżenicyn – wielki antykomunista, który po rozpadzie ZSRS popierał rosyjski imperializm wobec Ukrainy, Białorusi czy Kazachstanu (Polsce i Finlandii odpuścił).

UCIECZKA PRZED POBOREM

Po inwazji na Ukrainę Rosjanie masowo opuszczali kraj w dwóch falach. Pierwsza wylała się za granice kraju tuż po 24 lutego. To byli głównie prawdziwi opozycjoniści – dziennikarze, blogerzy, politycy, aktywiści. Ich wyjazd był aktem niezgody na wojnę, a także wynikiem strachu przed represjami wymierzonymi w przeciwników inwazji. Architekt rosyjskiej prywatyzacji, twarz reform (a także głębokiego kryzysu gospodarczego) lat 90. Anatolij Czubajs w marcu wyjechał do Stambułu. Co ciekawe, przed wyjazdem pełnił funkcję przedstawiciela prezydenta Rosji do spraw związków z organizacjami międzynarodowymi w celu osiągnięcia zrównoważonego rozwoju. Z funkcji oczywiście zrezygnował.

Po wybuchu wojny z Rosji wyjechali też m.in. znany youtuber Jurij Dudź (do Hiszpanii), reżyser teatralny Kirił Sierebriennikow (do Francji), były redaktor naczelny telewizji Dożd' (Deszcz), znany dziennikarz Michaił Zygar (do Niemiec), znani muzycy rockowi Andriej Makarewicz (do Izraela) oraz Zemfira (do Francji). Do Izraela wyemigrowała słynna piosenkarka Ałła Pugaczowa wraz z mężem, showmanem Maksymem Gałkinem. Początkowo przeciwko „specoperacji" otwarcie wystąpił tylko Gałkin, po kilku miesiącach jednak również Pugaczowa publicznie potępiła inwazję. Do Gruzji w proteście przeciwko wojnie wyjechali m.in. znany prezenter telewizyjny, a jeszcze kilka lat temu członek Rady ds. Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego i Praw Człowieka przy prezydencie Rosji, Leonid Parfionow, a także youtuberka, popularyzatorka historii Tamara Ejdelman.

Trudno ocenić skalę emigracji. Według różnych szacunków między lutym a wrześniem 2022 r. z Rosji wyjechało bezpowrotnie od 150 do 800 tys. osób. Po ogłoszeniu częściowej mobilizacji w ciągu niewiele ponad miesiąca z kraju uciekło ok. 400 tys. osób. O ile pierwsza fala zabrała głównie świadomych opozycjonistów, sprzeciwiających się wojnie, o tyle wraz z drugą Rosję opuściło również wielu zwolenników ekspansji „rosyjskiego świata". Uciekali przede wszystkim mężczyźni w wieku poborowym. Nie dlatego, że sprzeciwiali się inwazji na Ukrainę, tylko ze strachu przed wysłaniem na front. Putin, ogłasza-

eprasa.pl 5501c57294

jąc mobilizację, złamał niepisaną umowę ze społeczeństwem, zgodnie z którą „walką z nazistami" mieli zająć się profesjonaliści, a zwykli Rosjanie mieli jedynie kibicować sprzed telewizorów. Nic dziwnego, że pomiędzy przedstawicielami obu fal emigracji są podziały. Ci, którzy uciekli z powodu antywojennych przekonań, często pogardliwie patrzą na tych, którzy wyjechali dopiero ze strachu o własną skórę.

Zarówno po 24 lutego, jak i po 21 września Rosjanie emigrowali nie tylko w tradycyjnych kierunkach typu Stany Zjednoczone, Europa czy Izrael, lecz także do Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu, Turcji, Kazachstanu, Uzbekistanu, a nawet do Mongolii. Byle tylko za granicę. Większość trafiła do Gruzji, Armenii i Kazachstanu. Czyli tam, dokąd Rosjanie nie potrzebują wizy. O wiele mniej otwarte na migrantów z państwa agresora są kraje bałtyckie. Litwa, Łotwa i Estonia zwiększyły i tak restrykcyjne przepisy wizowe. We wrześniu 2022 r., jeszcze przed ogłoszeniem częściowej mobilizacji przez Putina, Wilno, Tallin i Ryga ograniczyły możliwości wjazdowe na swoje terytorium dla obywateli Rosji, posiadających wizy schengeńskie. „Swobodne podróżowanie obywateli państwa będącego agresorem, w szczególności w celach turystycznych, podczas gdy siły zbrojne tego państwa atakują Ukrainę, jest nie tylko amoralne, lecz także stanowi zagrożenie dla porządku publicznego i bezpieczeństwa na poziomie zarówno politycznych prowokacji, jak i agresji w przestrzeni publicznej" – argumentowało MSZ Łotwy. Już wcześniej, latem, media informowały, że estońska straż graniczna nie wpuszczała nawet obywateli Izraela czy Ukrainy, którzy próbowali wjechać do Estonii z terytorium Rosji. A jednak również do krajów bałtyckich wyemigrowało wielu Rosjan. Wśród nich niezależni dziennikarze, opozycjoniści, uciekinierzy dysponujący wizami humanitarnymi.

BEZ INTEGRACJI

Na emigracji Rosjanie często trzymają się razem. Niechętnie się integrują ze społeczeństwem państwa przyjmującego. W Gruzji czują się niemal jak u siebie, w swojej dawnej kolonii. Otwierają własne przedsiębiorstwa, restauracje, kupują nieruchomości, nie chcą uczyć się gruzińskiego. Krajem rządzi partia założona przez prorosyjskiego oligarchę. W konflikcie na Ukrainie Tbilisi próbuje być neutralne, coraz bardziej zbliżając się w stronę Moskwy. Niemniej w Gruzji silne są nastroje proukraińskie i antyrosyjskie. Do niektórych knajp Rosjanie nie mają wstępu. Właściciel tbiliskiego baru Deda Ena wprowadził dla gości „ruch wizowy". Wpuszcza Rosjan, pod warunkiem że w specjalnym formularzu potępią inwazję na Ukrainę, okupację części ukraińskiego i gruzińskiego terytorium, nazwą Putina dyktatorem i podpiszą się pod słowami „Sława Ukrainie!". W październiku 2022 r. lokal odwiedziła Ksenia Sobczak. Znana rosyjska dziennikarka i celebrytka, córka byłego szefa Putina, związana była z opozycją (w 2018 r. kandydowała na prezydenta), przez wielu jest jednak uważana za cichego sojusznika Kremla. Z właścicielem baru nagrała ostrą rozmowę. Porównała w niej niewpuszczanie Rosjan do lokalu z prześladowaniami Żydów w III Rzeszy. Stwierdziła też, że jest „przeciwko wojnie, ale nie popiera Ukrainy", wyrażając pogląd bliski zapewne wielu uciekinierom z Rosji. Niedługo potem sama zresztą wyemigrowała.

Z kolei państwa bałtyckie stały się schronieniem dla niezależnych mediów rosyjskich. Większych kontrowersji nie budził portal Meduza, założony w Rydze jeszcze w 2014 r. i od tamtej pory nigdy niezdradzający proputinowskich czy proimperialnych sympatii. W lipcu 2022 r. do stolicy Łotwy swoją siedzibę przeniosła opozycyjna telewizja Dożd'. Podobnie jak Meduza stacja ma w Rosji status „agenta zagranicznego" i jest na jej terenie blokowana. W czerwcu została ukarana przez władze w Rydze grzywną za brak, wymaganej prawnie, łotewskiej ścieżki językowej do programów w języku rosyjskim. To był tylko początek problemów stacji. Kolejną grzywnę zasądzono po tym, jak dziennikarze TV Dożd' nazwali armię rosyjską „naszą armią" i pokazali mapę, na której Krym zaznaczony jest jako terytorium rosyjskie. Gdy w jednym z programów prowadzący wyraził nadzieję, że telewizji uda się pomóc materialnie żołnierzom na froncie, wszczęto wobec niej postępowanie administracyjne. Nie pomogła dymisja prowadzącego, który zresztą nie do końca odciął się od swoich słów. W grudniu TV Dożd' straciła łotewską koncesję. Symboliczny był fakt, że na spotkaniu w tej sprawie redakcja telewizji pojawiła się bez tłumacza, wychodząc najwyraźniej z założenia, że przecież każdy Łotysz powinien znać język rosyjski.

POCZUCIE WYŻSZOŚCI

Antyputinowski wektor niezależnych mediów emigracyjnych nie jest równoznaczny z wektorem antyimperialnym. Przebywająca w dużej części na wygnaniu antyputinowska opozycja deklaruje sprzeciw wobec ekspansjonistycznej polityki Kremla. Nie wiadomo, na ile szczery, jako że przed 24 lutego ci sami działacze nie byli tak kategoryczni, często np. zmieniając zdanie w sprawie przynależności Krymu. Oscar dla filmu dokumentalnego o Nawalnym, przy całym szacunku dla osobistej odwagi jego bohatera, pokazuje, jak wielkie jest na Zachodzie zapotrzebowanie na „dobrych Rosjan". Wielkim błędem byłoby za takowych uznawać wszystkich, którzy uciekli z Rosji po 24 lutego, a szczególnie po 21 września.

Skoro nawet dziennikarze profesjonalnej, szczerze antyputinowskiej TV Dożd' swoich łotewskich gospodarzy traktują z mocarstwową wyższością, to czego można się spodziewać po tysiącach zwykłych Rosjan? Uciekli ze strachu, a nie dlatego, że im się nie podoba kierunek polityki Putina. W krajach przyjmujących nie urządzają antywojennych demonstracji. Nie mówią głośno, że wstydzą się za swój kraj. Po prostu żyją z dala od frontu, w gronie swoich rodaków, w najlepszym razie nie interesując się wielką polityką. W najgorszym razie z „uchodźców" mogą się stać „nachodźcami". Piątą kolumną, koniem trojańskim wykorzystanym przez Moskwę do destabilizacji krajów ich przyjmujących. Jak słusznie zauważyła jedna z rosyjskojęzycznych, antyputinowsko nastawionych użytkowniczek Twittera: „Rosja świetnie nauczyła się zakazywać demonstracji w swoim kraju i organizować je w obcych krajach". Dziś organizuje antyzachodnie marsze w Mołdawii. W innych krajach „bliskiej zagranicy" też ma taką możliwość. Wiadomo w końcu, że Rosja chętnie wykorzystuje obecność swoich rodaków w obcym państwie jako pretekst do interwencji w ich obronie. Śmiem twierdzić, że dla większości migrantów, którzy uciekli przed wojną, Putin wciąż jest większym autorytetem niż Nawalny, a Rosja ważniejszym punktem odniesienia niż kraj przyjmujący.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

Procesja idąca ulicami Mińska podczas święta Bożego Ciała, 29 maja 2022 r. FOT. STRINGER/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Łukaszenka uderza w Kościół?

Katolicy na Białorusi zaczynają być prześladowani. Polskie władze w tej sprawie milczą, choć często dotyczy to właśnie polskich wiernych

Masowe antyrządowe demonstracje na Białorusi po wyborach w 2020 r. nie mogły przejść bez konsekwencji dla sytuacji Kościoła katolickiego. Przede wszystkim dlatego, że w masowej świadomości, jak również w świadomości Łukaszenki (pomimo taktycznych porozumień), katolicy reprezentują potencjalnie nieprawomyślną grupę społeczną.

Stosunek biskupów białoruskich do protestów był różny. Od silnego poparcia werbalnego, którego udzielił ordynariusz diecezji witebskiej ks. bp Aleh Butkiewicz, poprzez umiarkowane wsparcie na ten czas jeszcze arcybiskupa, metropolity mińsko-mohylewskiego Tadeusza Kondrusiewicza, aż do milczącego ignorowania w wykonaniu biskupów grodzieńskiego i pińskiego Aleksandra Kaszkiewicza i Antoniego Dziemianki.

W tym czasie, najprawdopodobniej w wyniku niejawnych rozmów Watykanu z Łukaszenką, arcybiskup metropolita odszedł na emeryturę, a jego miejsce w kurii mińskiej zajął dotychczasowy biskup pomocniczy, Józef Staniewski z Grodna, który też zachował milczenie odnośnie do sytuacji politycznej. Zatrzymano na krótko trzech księży: Eduarda Sienkiewicza, Aleksandra Fiadotowa oraz Witala Bystrowa, lecz to nie wyglądało jak działanie systemowe.

CISZA PRZED BURZĄ

Po kilkutygodniowej ciszy wydawało się, że władze białoruskie nie zwrócą już większej uwagi na Kościół. Brak działań wynikał najprawdopodobniej z rozmiarów represji władz wobec innych grup społecznych.

Po jakimś czasie postanowiono jednak w Kościół uderzyć, i to nie jednorazowo, tylko metodycznie. Zrealizowano ten zamiar w kilku miejscowościach w postaci „napaści wandali lub elementów

eprasa.pl 5501c57294

kryminalnych", represji wobec księży i prób zamknięcia świątyń, oczywiście pod pretekstem „bezpieczeństwa", a nie walki z religią czy – bardziej konkretnie – ze społecznym nauczaniem Kościoła.

Chronologia wydarzeń była taka:

– grudzień 2020 r. – zatrzymany ks. Wiktor Żuk SJ, pracujący w Witebsku razem z księdzem obrządku wschodniego Aleksiejem Waranką;

– kwiecień 2021 r. – włamanie się do kościoła w Nowołukomlu, diecezja witebska, napisano przekleństwa na ścianach prezbiterium;

– maj 2021 r. – niezdefiniowane osoby przedostały się na teren kurii biskupiej w Mińsku, wybito szybę auta należącego do kurii, poprzewracano elementy dekoracyjne, kwiaty na terenie kurii etc.;

– lipiec 2021 r. – włamano się do kościoła św. Barbary w Witebsku i skradziono urządzenia elektryczne i kable;

– kolejno w marcu i sierpniu 2022 r. zatrzymywano ks. Aleksandra Barana z parafii w Łyntupach, diecezji witebskiej;

– w marcu 2022 r. wytoczono proces ks. Andrzejowi Bulczakowi z Postaw, diecezji witebskiej, obywatelowi RP, który wyjechał do Polski, zaocznie ukarano go grzywną;

– w marcu 2022 r. ukarano grzywną księdza obrządku wschodniego Wasilija Jahorawa z Mohylewa;

– marzec 2022 r. – ukarany grzywną ks. Ihar Laszuk ze Stołpec, diecezji mińsko-mohylewskiej;

– kwiecień 2022 r. – ukarany grzywną ks. Andrej Kiewlicz z Horek, diecezji mińsko-mohylewskiej, ksiądz odprawiający Mszę św. także w dawnym rycie łacińskim;

– lipiec 2022 r. – ukarany grzywną ks. Eugeniusz Uczkuronis ze Smorgoń, diecezji witebskiej;

– lipiec 2022 r. – zatrzymany i ukarany grzywną ks. Andrej Waszczuk SDS, proboszcz parafii św. Ducha w Witebsku, po zajściach opuścił Białoruś;

– koniec września 2022 r. – włamano się do kościoła śś. Szymona i Heleny w centrum Mińska (potocznie nazywany „Czerwonym" od koloru cegły) i wzniecono pożar, świątynię zamknięto „do odwołania" dla „bezpieczeństwa" wiernych;

– listopad 2022 r. – zatrzymany ks. unita Ihar Kandraćjeu z Brześcia;

– listopad 2022 r. – zatrzymany redaktor unickiej gazety „Carkwa", świecki wierny Ihar Baranouski z Brześcia;

– listopad 2022 r. – zatrzymany wicedziekan dekanatu mohylewskiego ks. Witali Czabatar CMF;

– grudzień 2022 r. – zatrzymany ksiądz obrządku wschodniego Witali Bystrou z Iwacewicz, diecezji pińskiej;

– grudzień 2022 r. – cofnięto pozwolenie na wykonywanie posługi dla obywatela RP ks. Józefa Gemzy z Grodna, wrócił do Polski;

– styczeń 2023 r. – wybito szyby w archikatedrze w Mohylewie;

– styczeń 2023 r. – problemy ze statusem prawnym, najmem i dostępem do kościoła w Bobrujsku (diecezja mińsko-mohylewska), który pozostaje własnością komunalną miasta.

Analizując przedstawione wyżej zdarzenia, widać ich nadreprezentację w diecezji witebskiej. Jej ordynariusz – ks. bp Aleh Butkiewicz – wypowiadał się, popierając protestujących w 2020 r.

UDERZENIE SYMBOLICZNE

Główne uderzenie skierowano w kościół śś. Szymona i Heleny w Mińsku, który od lat był również centrum rozmaitych wydarzeń religijnych i kulturalnych, a którego proboszczem był charyzmatyczny ks. Władysław Zawalniuk.

To uderzenie jest symboliczne. Kościół znajduje się na centralnym placu Niepodległości w Mińsku. Nieopodal niego stoi budynek Rządu Republiki Białorusi z pomnikiem Lenina. Odnowione w 1992 r. krzyże nad tą świątynią w centrum Mińska świadczyły o klęsce kursu partii komunistycznej i jej „walki z religią". Wydawało się wówczas nawet, że jest to zwycięstwo ostateczne. Okazuje się, że tę walkę trzeba podejmować na nowo.

Śledztwo dotyczące włamania i podpalenia w tej świątyni trwa już od czterech miesięcy. Nadal nie znaleziono sprawców. Znając sytuację na Białorusi, można mieć nikłą nadzieję, że kiedykolwiek zostaną wykryci.

Mimo że pożar spowodowany przez włamywaczy 26 września 2022 r. nie zagroził świątyni, a zniszczył tylko wnętrza zakrystii, od tej pory kościół nie jest udostępniany.

Kilka tygodni po zdarzeniu podjęto kontakt z przedstawicielami kurii w Mińsku, w wyniku czego ks. Władysława Zawalniuka odsunięto od rozmów z przedstawicielami władz, a administratorem parafii ds. kontaktów z przedstawicielami państwa został ks. Jury Sańko.

Na razie trudno żywić nadzieję, że świątynia w krótkim czasie zostanie odzyskana. Nie sprzyjają temu sytuacja polityczna w kraju oraz wojna rosyjsko-ukraińska, która jest bodźcem dla eskalacji retoryki władz białoruskich. Ofiarami tej retoryki już tradycyjnie padają Kościół i Polacy.

Małą nadzieję dają zdolności Watykanu do rozwiązywania podobnych problemów. Nieraz już kościelnym dyplomatom udawało się porozumieć z białoruskim „naczelnikiem państwa". Tak było w przypadku okresowego niewpuszczenia na Białoruś ks. abp. Kondrusiewicza lub w 2013 r. w sprawie prześladowania ks. Władysława Łazara.

Nuncjusz apostolski na Białorusi abp Ante Jozić nie przerywał swoich kontaktów z przedstawicielami władz białoruskich, a ostatnio stały się one jeszcze bardziej intensywne, bo w związku z nagłą śmiercią ministra spraw zagranicznych Uładzimira Makieja i objęciem stanowiska przez nowego ministra Siarhieja Alejnika nuncjusz w ciągu miesiąca spotkał się z obydwoma ministrami spraw zagranicznych Republiki Białorusi. W trakcie ostatniej rozmowy potwierdzono „chęć kontynuowania aktywnej współpracy na różnych polach oraz otwartego i pełnego szacunku dialogu w sprawach będących przedmiotem wspólnego zainteresowania" – informuje strona internetowa MSZ Białorusi. Brzmi dyplomatycznie sucho i standardowo, ale wniosek jest taki, że strony rozmawiają ze sobą i nadal mają dobry kontakt.

O ile polskie MSZ od czasu do czasu komunikuje, że podejmuje zakulisowe kroki w celu uwolnienia dziennikarza Andrzeja Poczobuta lub wcześniej innych przedstawicieli ZPB, o tyle w materii uderzenia w religię katolicką milczy. Rozumiem, że przyczyną może być niechęć do wchodzenia w drogę Watykanowi, który ma własne koncepcje co do rozwiązywania tych spraw na Białorusi. Niemniej jednak katolikami na Białorusi wciąż w dużej mierze są także Polacy, więc zabieganie w sprawach kultu religijnego na rzecz rodaków byłoby jak najbardziej na miejscu. Katolicy i Kościół na Białorusi potrzebują dziś modlitwy wszystkich Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cezary Wiśniewski* *z Białorusi*

*Ze względów bezpieczeństwa mieszkający na Białorusi autor posługuje się pseudonimem. Jest działaczem katolickim i społecznym, dziennikarzem i krajoznawcą.

eprasa.pl 5501c57294

Atak na Soły

Na polecenie władz Białorusi fresk ilustrujący Cud nad Wisłą został niedawno zamalowany

FOT. WITEK KORYBUT-DASZKIEWICZ/FACEBOOK

Adam Hlebowicz

Niedawne zamalowanie fresków ilustrujących Cud nad Wisłą wpisuje się w akcję niszczenia polskiego dziedzictwa kulturowego na Białorusi

Kiedy propagandzistka reżimu łukaszenkowskiego Ksenia Lebiediewa w swoim cyklicznym programie telewizyjnym „Eto drugoje" w grudniu zeszłego roku zaatakowała ks. Leonarda Stankowskiego, proboszcza katolickiej parafii w miejscowości Soły koło Oszmiany, w obwodzie grodzieńskim, 40 km od granicy z Litwą, m.in. za zachowanie w kościele i restaurację fresków ilustrujących Cud nad Wisłą, zrodziła się poważna obawa, czy ten unikalny malunek przetrwa najbliższe tygodnie. Niestety, cudu w Sołach nie było. Na polecenie władz Białorusi fresk został właśnie zamalowany.

Działanie to wpisuje się w akcję niszczenia polskiego dziedzictwa kulturowego na terenie Białorusi, a szerzej – w strefie wpływów Moskwy. Po niszczeniu cmentarzy, tablic nagrobnych i pamiątkowych czy wydobywaniu szczątków ludzkich z poświęconej ziemi teraz przyszła kolej na dzieła sztuki. Paradoksem tej sytuacji jest to, że freski w kościele w Sołach wykonał w 1934 r. białoruski malarz Piotr Siergijewicz. Sam będący katolikiem, absolwent Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, przed wojną wykonywał wiele prac artystycznych w świątyniach swojego wyznania. Głównie w Wilnie i na Wileńszczyźnie, a także np. na Wołyniu. Projektował wnętrza, ołtarze, malował freski, monumentalne obrazy. Jest powszechnie uznawanym na Białorusi twórcą. Ponieważ został on jednak ukształtowany w duchu tolerancji dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, był przyjacielem Polaków i miał wielu przyjaciół wśród nich, niekoniecznie może się cieszyć uznaniem obecnego reżimu. Toutes proportions gardées zniszczenie fresków w Sołach to tak, jakby Wojciech Jaruzelski nakazał w stanie wojennym zamalować malowidła Matejki w jakiejś polskiej świątyni.

Tak często jest określany ten obiekt sakralny w przewodnikach po Białorusi, choć liczy sobie niecałe 100 lat. Murowaną świątynię katolicką w Sołach wznoszono w latach 1926–1934; wówczas było to województwo wileńskie Rzeczypospolitej Polskiej. Wcześniej istniały tu kościoły drewniane, niszczone przez pożary. Bryła obecnego kościoła, autorstwa Adama Dubanowicza, wyróżnia się lekkością, a obiekt w stylu postmodernistycznym jest uznawany za jeden z piękniejszych budynków sakralnych naszego wschodniego sąsiada.

Siergijewicz wykonywał fresk – a właściwie wiele fresków – w prezbiterium w tym samym roku, gdy kościół został oddany do użytku wiernym. Było to wotum narodu za uratowanie odrodzonej ojczyzny przed nawałą bolszewicką w 1920 r. Dodajmy, że Białorusin Siergijewicz jako ochotnik walczył z bolszewikami w tej wojnie po polskiej – a może lepiej powiedzieć: antykomunistycznej – stronie. Nad walczącymi żołnierzami i nad ks. Ignacym Skorupką unosi się Matka Boska. O tym jednak milczy propaganda białoruska. Jeden z żołnierzy przekłuwa bagnetem sowiecką flagę z sierpem i młotem. Fresk po drugiej stronie prezbiterium przedstawia o. Augustyna Kordeckiego i obronę Jasnej Góry przed Szwedami w czasie potopu. W części centralnej nad ołtarzem wymalowany jest dużych rozmiarów wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Dodać należy, że świątynię wznieśli miejscowi parafianie z własnych środków, a wiele twarzy świętych czy innych postaci utrwalonych przez Siergijewicza to oblicza tych właśnie ludzi. Nad wejściem do świątyni, na zewnątrz, widnieje napis w języku polskim, będący fragmentem Ewangelii św. Mateusza: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę". Postać króla unosząca się nad wejściem trzyma w rękach miecz, obok krzyża stoi tarcza z białym orłem w koronie.

W OBRONIE ŚWIĄTYNI

Kiedy spodziewano się na Kresach Wschodnich ponownego nadejścia bolszewików – pierwsze było w 1939 r. – freski w kościele zamalowano, ale tak, aby zostały jedynie zakryte i mogły doczekać lepszych czasów. W 1949 r. aresztowany został przez sowieckie służby specjalne ks. Wacław Bekisz, miejscowy proboszcz. Skazany na 25 lat łagrów odsiedział w obozach siedem z nich. Kiedy został zwolniony, próbował wrócić do swoich parafian. Niestety, nie otrzymał rejestracji w Sołach; podjął pracę duszpasterską w Żyrmunach koło Lidy. Okoliczni mieszkańcy pamiętają, że papiery i księgi proboszcza gdzieś wtedy wywożono – był to cały wóz książek – i albo ukrywano je w swoich archiwach, albo palono. Komitet kościelny, tzw. dwatcatka – od liczby 20 osób, które weń wchodziły, zachował klucze do kościoła. Wkrótce miejscowe władze wpadły na pomysł, aby wsypać do niego zboże i urządzić w jego wnętrzu spichlerz. Do kościoła przyszli pracownicy władz sowieckich i zaczęli domagać się

eprasa.pl 5501c57294

kluczy. Wówczas Józef Jackiewicz zasłonił sobą wejście do świątyni, rozłożył ręce krzyżem i spokojnie powiedział: „Strzelajcie – wtedy wejdziecie!". Wsparli go ludzie, którzy zebrali się ze wszystkich stron, padli na kolana. Komuniści zostali zmuszeni do wycofania się. Jak wspominają mieszkańcy, bohater tego oporu, Józef Jackiewicz, nie był osobą szczególnie religijną. Rzadko chodził do kościoła, nie odmawiał alkoholu. Jednak w tym momencie zachował się jak trzeba. Wkrótce został aresztowany jako wróg ludu i zesłany do gułagu. Jakże ważne jest utrwalanie imion i nazwisk takich ludzi.

W 1968 r. proboszczem w Sołach został o. Józef Marsänger, jezuita rodem z Krakowa, w czasie wojny kapelan Armii Krajowej. Trafił tu niejako za karę, bo w jego wcześniejszej parafii w Krasnem gromadził całe zastępy inteligencji i młodzieży z Mińska. Władze liczyły, że w niewielkiej wsi, w oddaleniu od Mińska i innych większych miast, zakonnik przestanie być magnesem dla licznego grona wiernych. To on wyremontował kościół w Sołach, po części sam własnoręcznie odmalował ściany, odnowił ołtarze, naprawił uszkodzone organy. Jezuita jednak nawet w niewielkiej miejscowości potrafił przyciągać do kościoła młodzież. Zorganizował chór, a on sam, grając na kilku instrumentach muzycznych, szkolił swoich następców. Wspierała go mocno w tym dziele koleżanka z filologii klasycznej na USB przed wojną Bronisława Ejsmont. Parafianom zdarzało się słyszeć, jak proboszcz i tajna katechetka – wielu sądziło, że to ukryta zakonnica – rozmawiali ze sobą po łacinie lub w grece. Po części dla ćwiczenia dawnych umiejętności, po części dla ukrycia przed postronnymi, o czym naprawdę rozmawiają. Obydwoje po śmierci spoczęli na cmentarzu katolickim w pobliskich Iwaszkowcach. Ona zmarła w 1974 r., on w 1982 r. Na jej grobie parafianie napisali: „Bronisława Ejsmont. Profesor. A ci, którzy wiodą innych do sprawiedliwości, jako gwiazdy błyszczeć będą".

Pod koniec lat 90., już za probostwa ks. Leonarda Stankowskiego, który jest obywatelem Białorusi, odkryto stare freski i poddano je renowacji. Zrobiły to dwie siostry, artystki malarki, może nie zawsze zachowując do końca oryginalny styl Piotra Siergijewicza. Do kościoła przyjeżdżało mnóstwo turystów, żeby podziwiać nie tylko oryginalną bryłę budynku, lecz także unikalne na skalę całego dawnego Związku Sowieckiego freski. Po kilku latach, dzięki staraniom proboszcza, cały kościół ze wszystkimi malowidłami, wyposażeniem – również z zawieszoną wcześniej przez miejscowych i przybyłych z Polski kombatantów pamiątkową tablicą poświęconą poległym żołnierzom Armii Krajowej – został wpisany do rejestru zabytków Republiki Białorusi. Stał się zatem w całości obiektem chronionym prawem.

Wspomniana tablica jest poświęcona poległym partyzantom z IX Brygady AK. Zawieszona została przez ocalałych partyzantów. Co najmniej kilkudziesięciu spośród nich żyło wówczas na Białorusi. Często przyjeżdżali tam wraz z dawnymi towarzyszami broni z Polski, z Zachodu, aby wspólnie się pomodlić za tych, którzy polegli lub odeszli w latach powojennych. Na tablicy są umieszczone symbole Polski Walczącej, orzeł w koronie i napis: „Poległym na polu chwały żołnierzom Ośrodka Soły i 9. Oszmiańskiej Brygady AK »Małego«, pomordowanym w obozach i więzieniach na wieczną pamięć i chwałę, Akowcy". Widnieją na niej także nazwiska poległych żołnierzy, przeważnie miejscowych, z okolicznych miasteczek i wsi: ppor. „Mieczysław" E. Franczak, chor. „Mały" J. Kolendo, ppor. „Dan" D. Downarowicz, pchor. „Czarny" H. Łokuciewski, plut. „Chrobry" NN, kpr. „Śmiały" S. Bućko, kpr. „Drągal" NN, kpr. NN-NN, szer. „Bocian" J. Kasprzyk, szer. „Hans" E. Szulżycki, szer. „Wąż" K. Staszkiewicz, szer. „Lew" F. Czurłowski, szer. „Long" J. Kłujszo.

CO DALEJ Z KOŚCIOŁEM NA BIAŁORUSI?

Lebiediewa w swoim zaprogramowanym ataku na historyczne freski w Sołach mówiła, że przedstawia on mordy polskie na sowieckich żołnierzach. Nic w tym stwierdzeniu nie jest prawdą. W 1920 r. nie było jeszcze Związku Sowieckiego – to bolszewicy wkroczyli na teren odrodzonej Polski i była to regularna wojna. Mówiła też o różnej interpretacji daty 17 września. Dla niej i dla reżimu Łukaszenki to święto, dla Polski dzień smutku. Tu akurat można się zgodzić. Gorsza była dalsza część jej wystąpienia. Nawiązała do lat tużpowojennych, wymieniając nazwiska księży Antoniego Bańkowskiego i Wacława Nurkowskiego; obaj to kapelani AK, aresztowani, torturowani, skazani na wieloletnie pobyty w łagrach. W propagandzie ateistycznej ZSRS wielokrotnie te dwa nazwiska były przytaczane jako synonim „białej" Polski i (sic!) współpracy z faszystami. Antoni Bańkowski ps. „Eliasz", major Wojska Polskiego, jeden z najdzielniejszych kapłanów w czasie okupacji i po niej, aresztowany w 1947 r. przez kilka miesięcy był bestialsko bity w więzieniu w Grodnie. Po latach wymieniał nazwiska dwóch śledczych, płk. Politiko i mjr. Lewkowa, których określił „szajką sadystów, którym męka i krew badanych sprawiała przyjemność i którzy powtarzali – jeśli ciebie już wzięli, to ty musisz być winien i będziesz winien". Zwolniony dopiero w 1957 r. ks. Bańkowski otrzymał rejestrację w parafii Osowa, rejon Werenowo, gdzie pracował do śmierci w 1996 r. Poruszał się o lasce, co było skutkiem okrutnego śledztwa. Nigdy nie został zrehabilitowany.

Ksiądz Wacław Nurkowski, proboszcz w Zabłociu, w czasie wojny został aresztowany przez Niemców. Zwolniony od lutego 1944 r. pełnił funkcję kapelana AK pod pseudonimem Wacław. Aresztowany przez NKWD jesienią tego roku został skazany na 25 lat łagrów. Zmarł w jednym z nich, w Dżezkazganie na terenie obecnego Kazachstanu. Po latach zrehabilitowany; świadek, który przeciw niemu zeznawał, okazał się osobą niepoczytalną umysłowo.

Używanie dawnych kłamstw propagandowych przez obecny reżim na Białorusi nie wróży niczego dobrego ani tamtejszym Polakom, ani Kościołowi katolickiemu w tym kraju. Pojawiają się głosy ze strony władz o zakazie odprawiania Mszy św. po polsku, podczas gdy wiadomo, że gdyby nie Polacy, ten Kościół nie przetrwałby czasów sowieckich. Los Andrzeja Poczobuta jest czytelnym sygnałem wysłanym przez reżim, nie wiadomo jednak, czy Łukaszenka i jego zwolennicy nie sięgną po jeszcze bardziej drastyczne środki. Co ciekawe, metody reżimu w zakresie samej propagandy są w wielu szczegółach podobne do zajadłej kampanii nienawiści i bardzo słabo udokumentowanych pomówień skierowanych przeciwko Janowi Pawłowi II w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej.

eprasa.pl 5501c57294

FOT. ADOBE STOCK

Czeski wzór

Jakub Wozinski

Silna pozycja czeskiej korony przy jednocześnie słabnącej wciąż złotówce coraz bardziej odzwierciedla najważniejsze błędy polityki gospodarczej polskiego rządu w ostatnim okresie

Przyjęcie euro przez kolejne kraje naszego regionu, jak choćby Słowację, Litwę, Łotwę czy niedawno Chorwację, zawęziło nieco w ostatnich latach przestrzeń do analizy porównawczej poczynań naszych rodzimych decydentów. Własne waluty zachowały wciąż na szczęście m.in. Węgry i Czechy, gdzie decyzje w obszarze polityki fiskalnej i pieniężnej w wielu aspektach mocno różniły się od tych podejmowanych nad Wisłą. Uwagę zwraca przede wszystkim to, że czeska korona odnotowała w ostatnich miesiącach historycznie najwyższy kurs w relacji do większości liczących się walut. Gdyby zjawisko to było krótkotrwałe, wyciąganie z niego daleko idących wniosków byłoby mocno naciągane, jednakże waluta naszych południowych sąsiadów od ponad dwóch lat regularnie pnie się w górę, coraz bardziej deklasując złotówkę. Co takiego sprawia, że pomimo ostatnich zawirowań związanych z wysoką inflacją, pandemią i wojną na Ukrainie Czesi mogą mimo wszystko liczyć na to, że siła nabywcza ich waluty nie uległa tak dramatycznej erozji?

Zawstydzanie polskiej gospodarki przez porównywanie jej do czeskiej to wprawdzie stary i nie do końca uczciwy zabieg, lecz tylko jeśli nie uwzględnia się całkowicie odmiennej historii ekonomicznej naszych krajów na przestrzeni ostatnich kilku wieków. W omawianym tu obszarze porównywanie polskiej i czeskiej waluty jest jak najbardziej uzasadnione, ponieważ decydujący wpływ na ich zachowanie miały pewne konkretne polityczne ruchy podejmowane w ostatnim czasie.

W ciągu minionego roku czeska korona umocniła się względem euro o 5,6 proc. i wciąż pozostaje w stosunku do unijnej waluty najmocniejsza w historii. W marcu za euro trzeba było zaś przez chwilę zapłacić nawet 5 zł, a we wrześniu niemal tyle samo za dolara, co również pomogło pobić rekord, lecz słabości polskiego pieniądza. Od tego czasu złotówka zdążyła nieco odrobić straty, lecz od końca ostatniego kryzysu finansowego konsekwentnie osłabia się wobec najważniejszych walut świata. Czeska waluta zachowuje się inaczej niż nasza pomimo tego, że jako kraje dzielimy ostatnio bardzo wiele tych samych doświadczeń: lawinowy wzrost wydatków publicznych związanych z pojawieniem się koronawirusa, konieczność przyjęcia fali uchodźców z Ukrainy, koszty związane z zieloną transformacją czy też odcięciem od rosyjskich surowców. Jesienią Czechy także musiały mierzyć się z wysoką rentownością swoich obligacji (7 proc.), a na pokrycie wyższego niż planowano deficytu tamtejszy rząd zdecydował się wprowadzić podatek od nadzwyczajnych zysków dużych firm.

ISTOTNE RÓŻNICE

Pomimo tego różni nas więcej, niż na pozór mogłoby się wydawać. Zacznijmy od tego, że przed nadejściem pandemii Czesi sukcesywnie redukowali poziom zadłużenia w relacji do PKB, schodząc w 2019 r. do poziomu zaledwie 30 proc. Regularnym zjawiskiem od 2016 r. były także nadwyżki budżetowe, sięgające nawet ponad 1,5 proc. PKB. Mimo że rządzący nad Wełtawą również nie stronili w ostatnich latach od nastawionych na słupki wyborcze wydatków socjalnych, skala zjawiska nie była aż tak duża jak w Polsce.

Bardzo znaczącą różnicę zrobiła także polityka Czeskiego Banku Narodowego. W przeciwieństwie do Polski, gdzie bardzo długo lekceważono wszystkie sygnały

eprasa.pl 5501c57294

zapowiadające nadejście dużych kłopotów, czeski bank centralny zdecydował się podnieść stopy procentowe już w 2017 r., gdy inflacja osiągnęła poziom zaledwie 3,2 proc. Czesi jako pierwsi zapoczątkowali także cykl podwyżek stóp przed dwoma laty. Z perspektywy Czeskiego Banku Narodowego walka o cel inflacyjny była więcej niż tylko pustą deklaracją, co w efekcie pozwoliło obronić kurs korony.

W ubiegłym roku prezes NBP Adam Glapiński przekonywał, że Czechy popełniły błąd, przystępując do obrony swojej waluty zbyt wcześnie, gdyż pozbawiły się wpływu na inflację w późniejszym okresie. Z czeskiej perspektywy gra była jednak warta świeczki, gdyż swoją zapobiegliwością (wyrażaną również poprzez interwencje na rynku walutowym) nasz sąsiad zademonstrował większe niż przeciętne przywiązanie do stabilności kursu. W nagrodę czeska korona umocniła się i pomogła złagodzić ból wynikający z wysokiej inflacji na całym świecie.

W Polsce chwiejąca się na nogach złotówka jedynie pogłębiła (i nadal pogłębia) kryzys związany z galopującą inflacją, gdyż znacząco zwiększyła koszty importu. W świetle przyjętej przez prezesa Glapińskiego perspektywy słaba złotówka wydaje się jednak nie aż tak wielkim problemem. W październiku 2021 r. na konferencji prasowej NBP wypowiadał się następująco: „Generalnie wbrew temu, co się czasami wydaje, to kraje współczesnego świata dążą do tego, żeby mieć słaby kurs. Bezpieczny stabilny, ale nie za silny", dodając również, że obecnie banki centralne dążą głównie do tego, żeby waluta była stabilna. Tymczasem polska waluta, owszem, jest słaba, lecz daleko jej do stabilności, gdyż z roku na rok coraz bardziej osłabia się względem nie tylko najważniejszych walut świata, lecz także czeskiej.

EUROPEJSKIE KŁOPOTY NA ŻYCZENIE

Przyrównywanie kondycji złotówki i korony bywa często zbywane jako bezcelowe ze względu na to, że Czechy nie zostały na przestrzeni ostatnich miesięcy poddane procedurze politycznego szantażu związanego z groźbą niewypłacenia unijnych funduszy. To prawda – nasi południowi sąsiedzi nie tylko starają się nie wadzić Berlinowi i Brukseli, lecz także na dodatek poprzez czeską wiceprzewodniczącą Komisji Europejskiej Věrę Jourovą mają znaczny wkład w to, że nasz kraj jest nieustannie gnębiony i płaci za to znaczącą cenę ekonomiczną.

Pamiętać jednak należy o tym, że winę za awanturę o środki z Krajowego Planu Odbudowy i wynikające z niej trudności finansowe polskiego państwa ponosi bezpośrednio sam premier Morawiecki, który na unijnym szczycie w grudniu 2020 r. ogłosił wielkie „zwycięstwo" w postaci zgody na wprowadzenie zasady warunkowości w zamian za pamiętne 770 mld zł dla Polski. Jakby tego było mało, rządzący przez bardzo długi czas zapewniali, że są w stanie poradzić sobie bez unijnych funduszy. Prezes Glapiński odgrażał się nawet kilkanaście miesięcy temu, że unijne środki są kwestią drugorzędną i można rozwijać się bez dostępu do nich, a najważniejszy jest dla Polski dostęp do unijnego jednolitego rynku. W listopadzie 2022 r. Morawiecki zaczął zaś straszyć, że bez pieniędzy z KPO polski budżet się rozsypie. Czesi wykazują się z pewnością dużo większą niż Polska uległością na unijnym forum, lecz prowadzona przez nich polityka gospodarcza na pewno nie cechuje się tak spektakularnymi rejteradami poprzedzonymi prężeniem muskułów.

Niektórzy hurraoptymiści zakładają, że czeska korona może się stać niebawem walutą alternatywną nawet dla franka szwajcarskiego i zyskać status jednej ze światowych „bezpiecznych przystani". Obecnie wydaje się to dość nieprawdopodobne, lecz w ostatnich miesiącach waluta naszych sąsiadów naprawdę udowodniła swoją wartość. W czasach, gdy tak wiele państw, które pozostawały przez lata po drugiej stronie żelaznej kurtyny, spektakularnie marnuje swój potencjał, prowadząc rozpasaną politykę finansową, Czechy skrzętnie wykorzystują szansę i systematycznie doganiają zdyscyplinowaną północ kontynentu. Nic nie stało na przeszkodzie, aby na podobnym kursie znalazła się także Polska, ale, niestety, błędy ostatnich lat mocno skomplikowały naszą sytuację.

NIEPOTRZEBNE EURO

Dobra kondycja korony to oczywiście najważniejszy powód, dla którego kolejne rządy nad Wełtawą deklarują, że nie zamierzają z niej rezygnować i przystępować do europejskiej unii walutowej. Zwolennikiem przyjęcia euro jest nowy prezydent Petr Pavel, ale oczywiście nie zależy to od jego decyzji. Pewnym zagrożeniem dla niezależności walutowej Czech jest natomiast utrwalająca się nad Wełtawą praktyka przechodzenia na rozliczenia w euro przez świat biznesu. Istnieje ryzyko, że utrzymanie się tej tendencji doprowadzi do faktycznego upowszechnienia się wspólnej waluty, zanim zostanie podjęta odpowiednia decyzja polityczna.

Warto mieć na uwadze to, że słabość złotówki to nie tylko kwestia czysto ekonomiczna, lecz także jedna z najważniejszych spraw dla zachowania przez Polskę suwerenności. Im bardziej nasza waluta będzie słabnąć, tym szybciej będzie malało przywiązanie do niej w całym społeczeństwie. Zwolennicy i przeciwnicy przyjęcia euro byli do niedawna w Polsce niemal tak samo liczni, lecz w ostatnim czasie ta proporcja zaczęła się zmieniać na niekorzyść walutowej niezależności. Nawet jeśli rządzący Polską są osobiście przekonani do tego, aby zachować złotówkę na zawsze, mogą w pewnym momencie zderzyć się z falą społecznego niezadowolenia z zarządzania nią. I choćby z tego tylko powodu warto zrobić wszystko, aby złotówka jak najszybciej straciła status jednej z najgorzej radzących sobie walut.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5501c57294

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jednocześnie!

Jak wiadomo, kiedy jest się mocarstwem albo na najlepszej drodze, by nim zostać, można robić wiele rzeczy jednocześnie. W tym: można jednocześnie wiele kupować i budować. Bo czy mocarstwu – i mocarstwu in statu nascendi? – ktoś tego zabroni?

Z powodów oczywistych – zagrożenia ze Wschodu – Polska ma w planach szybkie stworzenie jednej z najpotężniejszych armii w Europie. W każdym razie liczby, które padają w tym kontekście, robią piorunujące wrażenie – 300 tys. żołnierzy i idące w grube setki lub tysiące sztuk zakupy czołgów i wozów bojowych, samolotów, śmigłowców i dronów, armatohaubic i systemów rakietowych, itd., bo lista jest doprawdy imponująca. A wszystko to – jak policzyli analitycy szczególarze z Credit Agricole – za, bagatela, ponad 500 mld zł do 2035 r., a licząc z kosztami utrzymania i modernizacji – za dodatkowe 1,1 bln zł w ciągu najbliższych 30 lat. Czyli w sumie za 1,6 bln zł.

Do tego dochodzi właśnie zainicjowany program budowy trzech elektrowni jądrowych, znowu przez jakichś irytujących szczególarzy wyceniony na kolejne setki miliardów złotych. Konkretnie – w ciągu najbliższych 20 lat – każda z nich ma kosztować ok. 100 mld zł, czyli w sumie wychodzi ok. 300 mld zł.

Z kolei udział w unijnym szaleństwie zwanym „Fit for 55" ma według analityków szczególarzy z Banku Pekao SA kosztować Polskę w ciągu najbliższych kilkunastu lat kolejne 190 mld euro, czyli ok. 1 bln zł. A do tego takie „drobiazgi", liczone najwyżej w dziesiątkach miliardów złotych, jak wojskowa i humanitarna pomoc walczącej Ukrainie, jak budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego (samo lotnisko ma kosztować co najmniej 40 mld zł) itd., itp.

Czy ktoś z państwa sumuje te sumy? I próbuje porównywać je z przychodami budżetu Polski – przychodami wydawanymi co roku z naddatkiem, bo dług Polski niemal bez ustanku rośnie? Czyli z wiecznie niewystarczającymi na bieżące utrzymanie państwa przychodami budżetu Polski na poziomie – uwaga! – niewiele ponad 600 mld zł rocznie?

Nie, oczywiście nie warto sobie zawracać głowy takimi porównaniami, bo to kilka lat temu zupełnie w Polsce wyszło z mody. Dowiódł tego ostatnio minister sportu Kamil Bortniczuk, który w odpowiedzi na pytanie dziennikarza, czy Polska w najbliższych latach zorganizuje zimowe igrzyska olimpijskie, wykazał się znakomitym – jak na ministra imperium przystało – refleksem, czyli nie bawiąc się w szczególarstwo – odparł bez wahania: „Stać nas na to, aby zorganizować w najbliższych dziesięcioleciach tak wielką imprezę".

Jasne, Panie Ministrze, co Pan tylko rozkaże! Podatnicy jak zwykle są do Pana usług! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zielona komuna znów atakuje

EPBD – te cztery literki budzą gwałtowne protesty w wielu państwach UE. Nie w Polsce, gdzie do ludzi chyba jeszcze nie dotarło, czym jest The Energy Performance of Buildings Directive, czyli dyrektywa o charakterystyce energetycznej budynków. Ten akt – z poprawkami – przegłosował właśnie Parlament Europejski, co nie kończy wprawdzie jego drogi legislacyjnej, ale jest ważnym na niej etapem.

To kolejna dziedzina, w której UE narzuca ludziom, jak mają żyć, za co płacić, co kupować

Obowiązki, jakie EPBD nakładałaby na właścicieli nieruchomości oraz deweloperów, byłyby skrajnie wyczerpujące finansowo i zaczynałyby się już od 2028 r. Przede wszystkim jednak to kolejna dziedzina, w której Unia z powodów w gruncie rzeczy ideologicznych narzuca ludziom, jak mają żyć, za co płacić, co kupować. Czy ktoś chce mieć na dachu panele fotowoltaiczne czy chce mieć pompę ciepła, piec gazowy, ładowarkę do autek na baterię – to powinien być wyłącznie wolny wybór właściciela lub kupującego nieruchomość. Ten wybór się nam odbiera. No i najbardziej przerażająca rzecz: „renowacji", czyli przebudowie zgodnie z unijnym standardem, będą podlegały z czasem również budynki już istniejące.

Co na to polski rząd, a konkretnie Ministerstwo Rozwoju i Technologii odpowiadające za te kwestie? Projekt „zawiera szereg zmian i wyzwań stawianych przed właścicielami budynków" – napisało w odpowiedzi na pytania portalu Money.pl. Zaiste, bez tej informacji sami byśmy na to nie wpadli. Ministerstwo przyznaje też, że nie jest w stanie ocenić skutków finansowych wejścia dyrektywy w życie.

To klasyczna dla obecnego rządu kunktatorska odpowiedź, gdy pojawiają się sprawy związane z kolejnymi wykwitami zielonej komuny. Zawsze jest próba jakiegoś manewrowania, lawirowania, przekonywania, że „na to przecież z Unii będą pieniądze", a w sumie to i tak ten kierunek, w którym chcemy iść. Po 2015 r. nie postawiliśmy się UE w żadnej – dosłownie żadnej – sprawie związanej z polityką klimatyczną. Nawet w kwestii zakazu rejestracji aut spalinowych bez działań Niemiec bylibyśmy bezsilni.

EPBD natomiast uderzy w twardych wyborców PiS, których nie będzie stać nie tylko na zakup mieszkania, lecz także w wielu przypadkach nawet na utrzymanie nieruchomości, której teraz są właścicielami. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

TEST „DO RZECZY": MOTOROLA THINKPHONE

Wysoka wydajność, bardzo dobry wyświetlacz OLED o częstotliwości odświeżania 144 Hz, świetna jakość wykonania, szybkie ładowanie, funkcje poprawiające bezpieczeństwo danych oraz dobry aparat główny – to największe zalety biznesowego smartfona od Motoroli.

Wzornictwo ważącego 188,5 g flagowca jest minimalistyczne, choć z delikatnym nawiązaniem do legendarnych ThinkPadów marki Lenovo. Obudowa wykonana z lżejszych od stali włókien aramidowych jest pyło- i wodoodporna (spełnia normę IP68), telefon powinien więc przeżyć nawet krótkie zanurzenie w płytkiej wodzie. Producent chwali się też, że dzięki obudowie z Kevlaru smartfon spełnia militarną normę MIL STD 810H, co oznacza, że powinien być odporny na upadki i uderzenia. Sam ekran o przekątnej 6,6 cala, rozdzielczości 2400 x1080 i bardzo wysokiej jasności maksymalnej (do 1200 nitów) zabezpieczono szkłem Gorilla Glass Victus. Jakość wyświetlanego obrazu jest super: czerń jest czarna, a kolory świetnie odwzorowane.

Sercem urządzenia jest ośmiordzeniowy procesor Qualcomm SM8475 Snapdragon 8+ Gen 1 wspomagany przez 8 GB pamięci RAM oraz moduł łączności 5G. Do dyspozycji użytkownika jest też 256 GB pamięci na pliki, zdjęcia, filmiki etc.

Taki zestaw sprawia, że smartfon działa wydajnie praktycznie w każdej sytuacji. ThinkPhone na rynku wyróżniają również funkcje ułatwiające zabezpieczenie wrażliwych danych, takie jak np. bezpieczny folder. Jak zapewnia producent, funkcja Moto KeySafe izoluje kody PIN, hasła i klucze kryptograficzne od innych danych na urządzeniu. Nowy model smartfona od Motoroli umożliwia również łatwe przeciąganie plików między telefonem a komputerem (urządzenia samodzielnie się wykrywają i łączą poprzez sieć wi-fi), otrzymywanie na komputerze powiadomień przychodzących na smartfona, a także otwieranie aplikacji mobilnych na laptopie.

Nie jest to model dla zagorzałych smartfonowych fotografów, choć główny aparat z matrycą 50 Mpx i obiektywem o jasności f/1.8 robi dobre zdjęcia i szybko ustawia ostrość. Umożliwia również nagrywanie filmików w jakości 4K z prędkością 60 kl./s lub nawet w 8K z prędkością 30 kl./s.

Akumulator o pojemności 5000 mAh na jednym ładowaniu działa jeden dzień lub dwa w zależności od intensywności użytkowania. Zaletą testowanego modelu jest szybkie ładowanie z dołączoną do zestawu ładowarką o mocy 68 W (z 15 do 100 proc. w ciągu mniej więcej 40 minut). Telefon można też ładować indukcyjnie (wówczas energia uzupełniana jest wolniej, bo maksymalna moc ładowania bezprzewodowego wynosi 15 W).

Wady? Jakość zdjęć robionych za pomocą aparatu ultraszerokokątnego oraz przedniego jest przeciętna. Wyspa z obiektywami zbyt mocno wystaje nad powierzchnię obudowy, co jest szczególnie irytujące, gdy chce się, aby smartfon leżał płasko na biurku. Minusem jest też stosunkowo wysoka cena, która wynosi 4999 zł. Dla osób, dla których najważniejsze są bezpieczeństwo danych i produktywność, jest to jednak ciekawa propozycja. ©℗ ***Jacek Przybylski***

BLU-RAY DLA POTOMNYCH

Japońska firma Pioneer jako pierwsza na świecie opracowała specjalne długowieczne płyty Blu-ray, które przeznaczone są do długowiecznego archiwizowania danych. Nośniki oznaczone napisem „DM for Archive" mają ponoć pozwalać na bezpieczne przechowywanie plików nawet przez ponad sto lat. Japończycy przygotowali też specjalny napęd BDR-WX01DM, który ma najlepiej współpracować z nowymi nośnikami. Napęd ma kosztować ok. 400 dol. (ok. 1,8 tys. zł), a długowieczne płyty 16 dol. (ok. 70 zł) za zestaw trzech egzemplarzy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIERWSZY WIDEODOMOFON EZVIZA

Chińska marka zaprezentowała swój pierwszy wideodomofon. Model HP7 jest uzbrojony w obiektyw w rozdzielczości 2K, który umożliwia 162-stopniowy kąt widzenia. Jak przystało na inteligentne urządzenia tego typu, pozwala on na zdalne obserwowanie tego, co się dzieje przed wejściem. Wideodomofon potrafi również samodzielnie wykrywać sylwetkę człowieka, o czym może informować w powiadomieniach. Gadżet działa również w nocy, a jego zasięg widzenia w podczerwieni wynosi 5 m. Inteligentny wideodomofon umożliwia także dwukierunkową komunikację, dzięki czemu z kurierem można porozmawiać nawet z drugiego końca świata. Producent deklaruje, że HP7 umożliwia otwieranie furtki lub drzwi na trzy sposoby: za pomocą breloka zbliżeniowego (RFID), z poziomu siedmiocalowego dotykowego ekranu w domu/mieszkaniu lub poprzez aplikację Ezviz. Urządzenie w Polsce trafi do sprzedaży już w kwietniu. ©℗ ***Jacek Przybylski***

eprasa.pl 5501c57294

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Alchemia na Wawelu

JACEK KOMUDA

W środowisku historyków krąży legenda miejska dotycząca króla Zygmunta III, który przenieść miał stolicę z Krakowa do Warszawy po tym, jak w wyniku nieudanego eksperymentu alchemicznego spalił pół Wawelu. Podanie zawiera aż dwie nieprawdy. Po pierwsze, chociaż od 1596 r., a faktycznie od 1600, Warszawa została miastem rezydencjonalnym króla, Kraków nie utracił wcale statusu stolicy. Aż do samego końca Rzeczypospolitej tutaj odbywały się koronacje i przechowywano królewskie klejnoty. Po drugie, pożar, który wybuchł na Wawelu, nie był tak wielki.

Prawdą jest jednak, że Zygmunt Waza interesował się żywo alchemią i utrzymywał na dworze nie tylko uczonych, lecz także założył na Wawelu pracownię alchemiczną, którą zwiedzać można i dzisiaj. Jest to sala na pierwszym piętrze, w północno-wschodnim narożniku zamku, o jednym, środkowym filarze i kominku, przylegająca do Wieży Zygmunta i Kurzej Stopki. Być może wcześniej właśnie tutaj mag Twardowski wywoływał królowi Zygmuntowi Augustowi ducha Barbary Radziwiłłówny. Z kolei Zygmunt III urządził tutaj pracownię alchemiczną, która wiąże się z dwoma ludźmi działającymi na dworze królewskim. Pierwszym z nich był Mikołaj Wolski, starosta krzepicki, a potem marszałek nadworny i wreszcie wielki koronny, przyjaciel i powiernik władcy. Wolski sam ok. 1596 r. zbudował w swym nieistniejącym dziś zamku w Krzepicach piec do alchemicznych doświadczeń. Mając wpływ na króla, prowadził razem z nim eksperymenty, polecał alchemików, urządził też wspomnianą komnatę na Wawelu, w której w styczniu 1595 r. wybuchł pożar. Strawił on znaczną część zamku, jednak nie doprowadził do przeprowadzki króla.

RYS. MART

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zdarzenie owo związane było z kolejną niezwykłą postacią w otoczeniu króla – osobą najwybitniejszego polskiego alchemika Michała Sędziwoja, którego mecenasem był Wolski. Właśnie na Wawelu w owej komnacie Sędziwój przeprowadził w obecności króla transmutację srebrnego talara w złotego dukata. Zdarzenie zostało uwiecznione na obrazie Jana Matejki.

Sędziwój, który dzielił czas pomiędzy Kraków i praski dwór cesarza Rudolfa II, wielkiego miłośnika magii i alchemii, pędził żywot typowego uczonego – alchemika przełomu epoki renesansu i baroku. Ciekawy świata i badań naukowych brany był często za szarlatana, prześladowany i ścigany. Na początku XVII w. uwolnił z więzienia przyjaciela alchemika Seatona, który uwięziony został przez elektora saskiego. Książę usiłował torturami wydobyć z niego sekret kamienia filozoficznego, jak wówczas sądzono, zamieniającego ołów i inne metale w złoto.

Sędziwój wymieniony jako sekretarz królewski w starszej literaturze historycznej często określany jest mianem szarlatana. Jednak Roman Bugaj, autor jego biografii, udowodnił, że wniósł duży wkład w ówczesną naukę. W 1604 r. opublikował dzieło po łacinie „Novum Lumen Chymicum", czyli „Dwanaście traktatów o kamieniu filozofów...". Jako jeden z pierwszych domyślał się istnienia w powietrzu uniwersalnego „pokarmu", czyli odkrytego później tlenu, o którym nauka początku XVII w. nie miała i nie mogła mieć jeszcze pojęcia. Poza tym oceniając osobowości ówczesnych alchemików, należy pamiętać, że w czasach, kiedy nie znano zasad racjonalizmu, każdy z ówczesnych uczonych był trochę, w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, szarlatanem. Niejednokrotnie alchemicy nęcili możnych panów wizją przemiany metali w złoto, aby zdobyć pieniądze na zwykłe badania naukowe. Niestety, często kończyło się to jak w przypadku Sędziwoja – uwięzieniem, torturami i procesem, gdy możny protektor stracił cierpliwość.

Polak, jak jego koledzy po fachu, był zresztą nie tylko zdolnym alchemikiem, lecz także dyplomatą, szpiegiem, kupcem i awanturnikiem. Cieszył się nieustannym poparciem króla Zygmunta, który kilkakrotnie podejmował interwencje w jego sprawie. Na przykład ok. 1600 r., kiedy „Sendivogius" uwięziony został w Pradze podejrzewany o wyłudzenie pieniędzy od innego alchemika i lekarza Oswalda Krolla. Wkrótce po uwolnieniu wysłany został przez Zygmunta na dwór cesarza z misją dyplomatyczną. Zapewne wtedy dokonał w obecności Rudolfa II kolejnej słynnej transmutacji, którą cesarz upamiętnił, nakazując wmurować w ścianę zamku na Hradczanach tablicę z napisem: „Faciat hoc quispiam alius quod fecit Sendivogius Polonus", czyli: „Niech ktokolwiek inny uczyni to, co uczynił Polak Sędziwój". Szkoda, że nie ma takiej w pracowni alchemicznej na Wawelu. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

Codzienne pasmo z najnowszymi informacjami z Polski i ze świata.
Komentarze, dyskusje i rozmowy na tematy społeczno-polityczne.
Najlepsi eksperci, politycy, dociekliwi dziennikarze prowadzący
oraz serwisy informacyjne o 12:00, 13:00 i 14:00.

REPUBLIKA

DZIEŃ
Z REPUBLIKĄ

codziennie
od **12:00**
do **15:00**

zapraszają
Ilona Januszewska
Emilia Wierzbicki
Piotr Nisztor
Aleksander Wierzejski
Marcin Bąk

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 5501c57294

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smaki wielkiego miasta

Nowy Jork, jedna z największych metropolii na świecie – mieszka tu prawie 8,5 mln ludzi. Możemy tu usłyszeć wszystkie języki i dialekty świata. A swoją historię zaczynał bardzo skromnie jako wyspa o nazwie „Mana Hata", gdzie Holendrzy magazynowali skóry upolowanych przez Indian bobrów i przygotowywali je do sprzedaży.

Wody opływające wyspę były tak obfite w ostrygi i jadano je tak powszechnie, że można je było uznać za pierwszy street food. Nowy Jork był spiżarnią, w której gromadzono mąkę dla reszty kontynentu, i pionierem, jeśli idzie o produkcje spożywcze, począwszy od słonych ciasteczek, majonezu, czekolady czy kawy. Do dziś warzy się tutaj

FOT. ADOBESTOCK

piwa i produkuje wina, wytwarza sery (w tym koszerne), słowem – można zjeść potrawy ze wszystkich kontynentów.

Z jaką zatem potrawą kojarzy się Nowy Jork? Z każdą, o jakiej zamarzymy. Dosłownie.

Warto tutaj spróbować kuchni włoskiej i najbardziej ulubionej przez nowojorczyków pizzy na kawałki, pizzy nie do podrobienia, która nigdzie indziej nie smakuje tak jak w NY. W chińskiej dzielnicy na Dolnym Manhattanie, tuż za Canal Street, zjeść możemy wszystko, co wymyślono w kuchni azjatyckiej. Koniecznie spróbować trzeba kanapki z pastrami w koszernych delikatesach Katz's – to przekąska, po którą zawsze stoją długie kolejki. Z czego się składa? Na żytnim chlebie posmarowanym musztardą i majonezem ułożone są soczyste plastry marynowanej wołowiny, z dodatkiem kiszonego ogórka. Tę kanapkę znają wszyscy odwiedzający Manhattan.

Kulinarnym symbolem Nowego Jorku są hot dogi z budki, bajgle z kawą na śniadanie, które przybyły na wyspę wraz ze wschodnioeuropejskimi Żydami, czyli najprawdopodobniej z Polski. To też donaty i oczywiście sernik nowojorski. Cudownie kremowy, rozpływający się w ustach, po prostu boski.

Sernik nowojorski

• 1 kg sera z wiaderka, trzykrotnie mielonego • 1 puszka mleka skondensowanego • 200 g kwaśnej śmietany • 4 jajka • 35 dag skrobi ziemniaczanej • szczypta soli i łyżeczka ekstraktu z wanilii

Spód: • 200 g ciasteczek owsianych lub krakersów • 50 dag masła roztopionego

Ciasteczka mielimy w blenderze i mieszamy razem z masłem, wykładamy na spód tortownicy, schładzamy w lodówce.

Ser przekładamy do misy, dodajemy mleko, jajka, śmietanę, skrobię, wanilię i sól; wszystko mieszamy rózgą, ale tylko chwilkę, do połączenia składników tak, aby nie napowietrzyć za bardzo masy. Przekładamy do formy i pieczemy góra-dół w temperaturze 140 st. C przez 70 min. Po ostygnięciu wkładamy do lodówki na minimum 12 godzin. Możemy polać polewą owocową z malin lub truskawek. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Co pan dzisiaj nosi

W całej szmirowato-glamourowatej szopce pt. „Noc Oscarów" wywiad Hugh Granta był jedynym ożywczym akcentem. Jedyną rzeczą godną zapamiętania. Jedynym głosem rozsądku wśród wrzasku głupoty. I pewnie dlatego aktor został za niego schlastany, skarcony, wyśmiany przez politpoprawnościowe media. Bo dać przykład niezależnego myślenia – w ogóle myślenia, szczerości i obojętności na merkantylne przynęty – to dziś coś skrajnie niewłaściwego.

Dla tych, którzy w pudelkowatych mediach jeszcze tego nie widzieli, było tak. Niejaka Ashley Graham, modelka robiąca wywiady dla amerykańskiej telewizji, przeprowadza wywiad z Grantem jeszcze przed rozpoczęciem gali.

– Co najbardziej chce pan zobaczyć dziś wieczorem?

– Zobaczyć? Nic szczególnego – odpowiada aktor najwyraźniej mało entuzjastycznie nastawiony do imprezy.

– Co najbardziej się panu podoba na oscarowej gali? – pyta dalej panna.

Hugh, zakłopotany, po dłuższej pauzie: – To fascynujące... Cała ludzkość jest tutaj... To vanity fair. Prowadząca, wyraźnie nie bardzo rozumiejąc sens wyrażenia (nawiązującego do słynnej powieści Thackeraya „Targowisko próżności"), drąży dalej, mając nadzieję, że padną upragnione nazwiska, których oczekuje od niej pracodawca. „Vanity Fair" to dla niej tylko nazwa amerykańskiego miesięcznika. Ale panna się nie poddaje.

– Co pan dzisiaj nosi?

– Garnitur – odpowiada lekko zdziwiony Grant. Biedak nie wie, że powinien wymienić nazwę któregoś ze słynnych domów mody.

Panna Graham nie tracąc rezonu: – Kto go zrobił?

– Nie pamiętam, mój krawiec – pada odpowiedź.

Graham nie kapituluje. Pada kolejne z głupich pytań.

– Jak to jest grać w „Glass Onion?". To był niesamowity film, naprawdę mi się podobał, uwielbiam thrillery – szczebiocze. – Fajnie jest kręcić coś takiego?

– Cóż, ledwo w nim byłem. Pojawiłem się na ok. trzy sekundy.

– Ale jednak się pan pojawił. Miał pan z tego fun, prawda? – chichocze zadowolona z siebie.

Już w połowie chciało się zawołać, parafrazując Kmicica: „Kończ, dziewczyno, wstydu oszczędź". Ale nie, amerykańskie media łatwo się nie poddają. Przecież dzień po oscarowej nocy publiczność ma się dowiedzieć, w czym wystąpili uczestnicy gali. „Lady Gaga w Versace, Ana de Armas w Louis Vuitton, Jennifer Connelly w Nicolas Ghesquière"... Po polsku mogłoby być np: „Małgorzata Socha w Gosi Baczyńskiej lub Małgorzata Rozenek w Tomaszu Ossolińskim". Fajne? Na razie nieprawdziwe. Ale przecież u nas wszystko ma być takie same jak w Ameryce, więc czemu nie? Czekamy. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Covidowe przecieki

No i doczekaliśmy się. Tak tu spekulowałem, czy i kiedy wypłyną jakieś polskie wątki wpływu polityków na decyzje covidowe, i mamy już nasz piastowski smaczek. W grudniu 2020 r. ukazuje się apel lekarzy do premiera i prezydenta w sprawie szczepionek. Lekarze piszą oczywistości, że szczepionka nie jest wystarczająco przebadana, co może spowodować nieobliczalne konsekwencje. Zaczyna się ferment rządowy, bo pod apelem podpisują się mocne nazwiska i zaczyna się wymiana e-maili nieformalnego centrum decyzyjnego złożonego z zaufanych rządowych lekarzy z „kontaktem" rządowym, ministrem Dworczykiem. Popatrzmy.

Profesor Tomasz Laskus, w e-mailu do ministra, nawet przyznaje rację autorom apelu co do tego, że formalnie – jak pisze – szczepionka nie jest przebadana. Ale zaraz potem radzi, jak ją ładnie opakować, co też jest ciekawe. Zwraca uwagę, żeby straszyć starsze osoby, bo te COVID przechodzą ciężej. Co ciekawe – wtedy – przekonany, że „targetem" działań oswajających ze szczepionkami nie powinny być dzieci, bo te – uwaga! – zaszczepione nie będą. Zaraz potem zmienia się „nałókowa" narracja i pan Simon już jest i powiadomiony o szczepieniu dzieci, i zarazem do tego przekonany.

Interesująca jest całość tej korespondencji. Nikt tam nie mówi, czy naukowcy się mylą czy nie. Roztrząsana jest tylko strategia, jak medialnie uwalić ten apel, nikt nie mówi, czy i gdzie naukowcy mają rację i co z tą szczepionką. Mamy bronić dogmatu. To w tej wymianie „informacji" minister Niedzielski ukuwa później powtarzaną już publicznie tezę-ocenę, dziękując krytykom apelu: „Bardzo dziękuję za jednoznaczną postawę wobec tej ignorancji i kołtuństwa. Nie możemy przejść do porządku dziennego, bo każdą wolną przestrzeń wypełnią te banialuki."

Jest jeden wątek „merytoryczny" dotyczący krytyki apelu, a właściwie jego autorów. Zarówno pan Simon, jak i pan Flisiak, zamiast się odnieść do meritum, kpią z sygnatariuszy, że żaden z nich nie zgłosił się, kiedy wymienieni zapraszali ich do wolontariatu na covidowych oddziałach szpitalnych. Pan Flisiak wspomina też, że oni tam w związku z tym „z OIL [Okręgowa Izba Lekarska] ćwiczą różne sprawy", ale im nie idzie. Jak widać z obecnych procesów kilkudziesięciu lekarzy, ćwiczenia te poszły jednak dobrze.

Tak jak w przypadku angielskiego ministra, rzut oka za kulisy covidowych decyzji pokazuje, że nikt tam się merytoryką nie zajmował, tylko tym, jak komunikacyjnie ratować przyjęte dogmaty pandemiczne. Straszny widok. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Ile kosztuje sumienie

Nie znam jeszcze wyniku rozprawy przed Sądem Lekarskim Wielkopolskiej Izby, gdzie 17 marca, w ramach procesu wytoczonego 114 lekarzom kwestionującym politykę władz wobec pandemii, sądzona była pierwsza grupa medyków. Postępowanie dyscyplinarne, wytyczone lekarzom za apelowanie o zdrowy rozsądek, jest czymś niebywałym.

Zdumienie budzi to, że mainstreamowe media – gazeta, której „nie jest wszystko jedno", czy telewizja, która nadaje „całą prawdę całą dobę", tak wyczulone na wszelkie przejawy dyskryminacji, jeżeli dzieje się ona pod rządami „łamiącej praworządność pisowskiej władzy" – tym razem przyłączyły się do obrzydliwej nagonki. Kolejnym powodem zdumienia jest to, że od czasu, gdy rozpoczęto postępowania przed izbami lekarskimi, większość argumentów podnoszonych przez uczciwych lekarzy została potwierdzona przez randomizowane badania lub po prostu przez życie. Publikacje niezależnych naukowców, wyroki sądów (np. wyrok Sądu Najwyższego USA z 22 października 2022 r., dowodzący nieskuteczności szczepień), głośny raport Politico i „Die Welt", przesłuchanie w PE dyrektor Pfizera Janine Small i wiele innych wskazują, że apele lekarzy o wycofanie pandemicznych zarządzeń były słuszne.

Tym jednak, co zdumiewa najbardziej, jest stanowisko medycznej branży. Dlaczego widząc tragiczne konsekwencje sanitarnych absurdów, paraliż systemu opieki zdrowotnej, lekarze nie poparli kolegów, nie przyłączyli się do apeli? Przecież mają podobną wiedzę. Studiowali na tych samych uczelniach, odbywali staże w tych samych placówkach. Ponadto dlaczego branżowe, portale prowadzone najczęściej przez medyków, przyglądały się biernie nieszczęściom lub poparły szkodliwą politykę?

Jakąś formę wytłumaczenia wskazał dr Paweł Basiukiewicz. Na stronach INFARMA, w ramach kodeksu dobrych praktyk, publikowane są raporty i listy podmiotów (w tym lekarzy), które otrzymywały świadczenia i granty za udzielanie profesjonalnych porad dotyczących stosowania leków, dzielenie się fachową wiedzą na spotkaniach edukacji medycznej itp. Analizując tylko wypłaty od producentów szczepionek, widzimy setki nazwisk polskich medyków, a także instytucji i organizacji ochrony zdrowia. Są to różne kwoty, od kilkuset czy kilku tysięcy złotych do kwot np. sięgających 3 mln dla wydawnictwa medycznego Termedia.

Lektura raportów pouczająca. Będąc na liście płac Pfizera czy Astra Zeneca, trudniej kwestionować zasadność szczepień, zgłaszać poszczepienne zgony czy choćby stanąć w obronie zdrowego rozsądku i odważniejszych kolegów. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ja to piszę niezłośliwie

Hipersonoczną szansę zapisania się w historii polskiego sądownictwa, chociaż bynajmniej nie złotymi zgłoskami, ma sędzia Joanna Knobel z Poznania. Stop. Sędzia uniewinniła 32 osoby oskarżone o zakłócanie Mszy Świętej, stwierdzając w uzasadnieniu, że, owszem, mszę zakłócali, ale (uwaga!) niezłośliwie! Stop. Jakiż to otwiera bezmiar możliwości linii obrony dla przestępców wszelakich: „Wysoki Sądzie! Wnoszę o uniewinnienie, bo co prawda dałem z cymbała pokrzywdzonemu oraz go okradłem, lecz wszakże nie uczyniłem tego złośliwie". Stop. Przewodnicząca Krajowej Rady Sądownictwa chce wysłać sędzię Knobel na szkolenie z prawa. Stop. No to już złośliwość.

W Internecie z przytupem wystartował nowy format „Lis i Koń", w którym Tomasz Lis i Roman Giertych prowadzą ze sobą dla Polski ważkie rozmowy. Stop. W pierwszym odcinku mecenas, który chwilowo nie przebywa w ojczyźnie, gdyż gdyby przebywał, mógłby zostać pojmany, powiedział, że nie daj Boże wygrana w najbliższych wyborach PiS oznaczałaby, iż PiS-owcy bezkarnie będą gwałcić, mordować i rabować. Stop. Kiedy usłyszałem od Konia, że „bezkarnie", przez głowę przemknęło mi, czy by się aby nie zapisać. Stop. Srogie tabletki, milordzie, srogie. Stop.

Czy Krzysztof Skiba zostanie Kazimierzem? Stop. Tego życzą mu ludzie zawistni i nieumiejący się cieszyć z czyjegoś bezmiaru wszechszczęścia. Stop. Skiba ogłosił z radością, że po 30 latach zostawił żonę i związał się z młodszą o 26 lat kobietą, muzą jego. Stop. Skiba szaleje, bo jest jeszcze młody, gdyż 60 lat będzie miał dopiero za rok. Stop. Ludziska wspominają przy tej okazji jakże piękny na starcie związek Kazimierza Marcinkiewicza ze świeżymi młodością i umysłem Isabel, dla której to Kazio zostawił żonę. Stop. Teraz Kazio zostawił też apartament, a być może zostawi i wolność, bo po ukończeniu związku z Isabel musiał jej płacić alimenty, a ponieważ pieniędzy oraz pracy za bardzo nie miał, to komornik chodzi i mu wszystko zabiera. Stop. Skibie życzymy jak najlepiej, ale będziemy się przyglądać. Stop.

Szok i niedowierzanie! Grzegorz Sroczyński w Gazecie.pl napisał, że gdyby Platforma wygrała wybory, to przez kilka najbliższych lat w TVP i tak rządzić będzie PiS, bo (w skrócie) nie można odwołać prezesa telewizji przed upływem kadencji Rady Mediów Narodowych lub bez zmiany ustawy. Stop. Zmiana ustawy pewnie nic nie da, bo prezydent Duda ją zawetuje, a PO pewnie nie będzie mieć tyle szabel w Sejmie, żeby weto odrzucić. Stop. No powiem państwu, że kto wie, czy nie przywrócą Kurskiego. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Krajowi inkwizytorzy

Małgośka, mówią mi, świętości są potrzebne, aby je szargać. Patrzę więc bezradnie, jak obalają symbolicznie pomnik św. Jana Pawła II na polskim podwórku i jedyne, na co liczę, to że rodzime szambo nie wyleje się za granicę. Przecież nasz papież i jego przesłanie wciąż są źródłem nadziei dla walczących z reżimem komunistycznym Kubańczyków, Wenezuelczyków i innych narodów pod butem totalitarnym. Nawet na ostatnim marcowym szczycie CPAC w Waszyngtonie [doroczny zjazd amerykańskich konserwatystów – przyp. red.] eurodeputowany Hermann Tertsch w swojej przemowie przywołał pierwszą pielgrzymkę do Polski i jej skutki duchowe dla Polaków, chcąc dodać sił i nadziei wszystkim, którzy walczą z lewicowymi dyktaturami Iberosfery.

Niestety, już nawet w Hiszpanii wiedzą, że nasi domorośli inkwizytorzy i wiwisekciarze zabrali się za proces Świętego i jego egzekucję in effigie. Dlatego ślą mi pytania: „Margarita, czy wyście powariowali? Nawet dla nas, Hiszpanów, jest nietykalny przez zasługi, jakie oddał naszemu Kościołowi!". U nas zaś nad Wisłą inkwizytorzy zabobonnego racjonalizmu chcą osądzić jego czyny według swoich paragrafów, zasad i zasadzek. Zresztą całkiem słusznie stawiają siebie przed pierwszymi – w końcu zero zwykło stać przed pierwszym.

Owszem, „Polak potrafi" jak żaden inny: opluć swoich, oskarżyć, obsobaczyć. Czasem los przydziela akurat tyle uzdolnień, aby donosić na swoich ziomków ze stachanowską wydajnością. I wcale nie myślę tu o Ochojskiej, która tak pseudoewangelicznie wydłubuje źdźbło z oczu bliźnich, że gotowa wydłubać nam nawet oczy. Niestety, na tym właśnie polega demokracja, że trzeba pozwolić wygadać się innym, wznosząc czasem dezyderaty do Opatrzności: „Boże, a Ty widzisz i nie grzmisz?!". Trzeba też słuchać, co mówią ludzie, którzy wedle wszelkich danych powinni znajdować się raczej w izbie wytrzeźwień, a nie w polityce czy dziennikarstwie.

I tylko czasem rozmarzam się, że dotąd nie wróciłam z wyspy San Juan de Gaztelugatxe i jedyne bałwany, które obserwuję, to te z fal Atlantyku, a nie te krajowe w mediach. Znaczyłoby to jednak dezercję i oddanie kraju w ręce nienawistników, a przecież wcześnie pasowano mnie na zucha i obrażać się na rzeczywistość nie wypada. Mogę za wskazaniem Herberta „uprawić swój ogródek bez kropli nadziei w sercu" i szydzić sobie w felietonach z polactwa, które opiłowuje katolików i rozmontowuje wspólnotę. Czyżby powstawała jakaś armia nowego wzoru: dywizje ojkofobów pod flagą tęczową? Sromotnej klęski im życzę i przebłysków sumienia. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Na marginesie Święta Kobiet

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Historia świeckich szaleństw zatoczyła koło. Chodzi o Święto Kobiet. Obchodziliśmy je niedawno, na ogół przyzwyczajeni do tradycji lewicowej, a także w dobrej wierze oddając szacunek płci pięknej, nawet jeśli niektóre jej przedstawicielki pięknie się ostatnio nie zachowywały.

Przypomnijmy: pierwsze obchody Dnia Kobiet zorganizowała w Nowym Jorku 28 lutego 1909 r. Socjalistyczna Partia Pracy Ameryki z inicjatywy sufrażystki Therese Malkiel. W 1910 r. odbyła się w Kopenhadze Międzynarodowa Socjalistyczna Konferencja Kobiet, podczas której delegatki niemieckie, z Klarą Zetkin na czele, zaproponowały obchodzenie corocznego Dnia Kobiet 8 marca, co miało upamiętniać strajk kobiet pracujących przy produkcji odzieży w Nowym Jorku w 1857 r. Celem tej inicjatywy było krzewienie praw kobiet i propagowanie idei powszechnych praw wyborczych dla kobiet. Nadal jednak 8 marca nie został wszędzie przyjęty.

23 lutego 1917 r. – według kalendarza juliańskiego – odbyły się masowe strajki i demonstracje kobiet rosyjskich, które przyłączyły się do ruchu, który obalił carat i ustanowił władzę rządu tymczasowego. Rząd ten przyznał kobietom w Rosji prawa wyborcze, a 23 lutego okazał się być 8 marca wedle kalendarza gregoriańskiego. W związku z tym po rewolucji bolszewickiej 8 marca stał się oficjalnym Dniem Kobiet w ZSRS, stopniowo przyjmowanym przez cały „postępowy" świat, a za nim – bardzo często przez przyzwyczajenie – także przez dużą część świata niepostępowego.

Jak z tego wynika, w awangardzie postępu kroczą siły lewicy w Stanach Zjednoczonych, których osiągnięcia przejmuje potem cały świat. Przez następne dziesięciolecia zwyczaj świętowania 8 marca stał się dość powszechny, ponieważ tak wypadało… Gdzież można by kwestionować rolę kobiet, które powinny być przecież kochane? Nie dać kwiatka kobiecie w Dzień Kobiet graniczyło z impertynencją, a nawet z chamstwem. W Polsce powiadano: „Kobiety nie wolno uderzyć nawet kwiatem". No więc kwiaty wręczali nawet ci, którzy potrafili uderzyć czymś innym, nie tylko złym słowem. Dyskryminować kobiet jednak nie było wolno coraz bardziej. Dbały o to feministki kolejnych pokoleń.

Ideologia gender w istocie podważyła istotę kobiecości – do tego stopnia, że awangarda feminizmu znalazła się w kropce. Każdy mógł zostać kobietą, nawet bez operacji

Czasy się zmieniły. Już pod koniec XX w. zauważono, że w wielu dziedzinach życia kobiety zajęły pozycję dominującą, że potrafią nie tylko paradować w skąpych strojach na pokazach mody, lecz także startować w podnoszeniu ciężarów, pilotować samoloty, dowodzić pododdziałami w armii czy kierować korporacjami. W szkołach i na uczelniach dziewczęta osiągały średnio wyniki lepsze od swoich męskich rówieśników, nadal domagając się „niedyskryminacji", a nawet specjalnego traktowania. Zasada Unii Europejskiej mówiąca o „równości kobiet i mężczyzn we wszystkich dziedzinach" stawała się coraz bardziej fikcją.

No i za sprawą postępu nieszczęsne kobiety doczekały się straszliwego rewanżu. Ideologia gender w istocie podważyła istotę kobiecości – do tego stopnia, że awangarda feminizmu znalazła się w kropce. Każdy mógł zostać kobietą, nawet bez operacji. Faceci zaczęli wygrywać w damskich konkurencjach sportowych, włazić do damskich łaźni i cel więziennych, robiąc to, co zawsze – krzywdząc kobiety. Ostatnio, znów w Stanach Zjednoczonych, ukazał się film „What Is a Woman", w którym dziennikarz Matt Walsh zadał naukowcom, politykom i społecznym aktywistom takie właśnie pytanie: „Kim jest kobieta?". Odpowiedzi mogły zaskoczyć tylko tych, którzy nie nadążają za postępem. Najczęściej mówiono, że kobietą staje się człowiek z wyboru, że pytanie jest źle postawione lub świadczy o dyskryminacji i chamstwie, że chodzi o przygniecenie kobiet ciężarem „reprodukcji". Zbliża się kolejna sesja Komisji do spraw Kobiet ONZ. Strach pomyśleć, co się tam okaże.

Wygląda na to, że Dzień Kobiet stał się świętem homofobów, transfobów, faszystów i w ogóle wrogów postępu, którzy nadal rozczulają się nad geniuszem kobiecości, opiewają kobiece wdzięki i talenty czy instynkt macierzyński, dzięki któremu wszyscy jakoś przeżyliśmy trudy wczesnego dzieciństwa. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

KSIĘGOWY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Na kowbojskiej wiosce jest tylko jeden księgowy. Kościołów może być kilka, ale nie księgowych. Jedynym sposobem uporządkowania kowbojskich rachunków jest prowadzenie wszystkich spraw w jednym biurze – inaczej nigdy nie dojdziesz prawdy, nigdy nie uzyskasz kompletu dokumentów.

Kowboje nie rozumieją, po jaką cholerę władza wymaga rachunków, i to na papierze. Przecież mogliby przysłać poborcę podatkowego na rancho, poborca by z nami chwilę pogadał, a potem my odpalilibyśmy poborcy jakąś dolę na państwo i niech spada. Najbardziej normalne dla kowboja oraz najbardziej sprawiedliwe byłoby podymne – każda rodzina płaci tyle samo jako składkę na państwo. Drugie rozwiązanie jakoś tam czytelne to pogłówne, czyli każda osoba pełnoletnia płaci tyle samo.

… a to, co robią teraz, to granda! Te wyliczanki i progi podatkowe – kowboje tego nie rozumieją, uważają za Wielkie Oszustwo. Kowboj więc, owszem, zbiera wszystkie rachunki przez cały rok, ale sposób, w jaki je zbiera, jest odzwierciedleniem jego stosunku do podatków. Jemu podatki nie są potrzebne. Dlatego kwity i paragony wrzuca się do jakiegoś pudła lub do wiadra z pokrywką. I robi się to ręką, która wcześniej przytrzymywała krowę dla potrzeb weterynarza, a potem weterynarz wystawił pokwitowanie rękami, jakie ma się zwykle po robocie w krowim tyłku, i podał to pokwitowanie kowbojowi, który miał palce upaprane krowim ogonem i otarł je pobieżnie o wranglery.

Gdyby te dwa rachunki – oryginał i kopia – trafiły do dwóch różnych księgowych, wówczas każdy z nich miałby kłopot z odczytaniem całej treści, bo… na każdej z tych dwóch bliźniaczych kartek (kopia i oryginał) są plamy zacierające treść. I nie wchodźmy w dywagacje, z czego te plamy, bo na kowbojskich rachunkach plamy są ze wszystkiego. Można by je podzielić na dwie grupy. Jedna to wymaz, a druga to rozmaz. Wymazy są biologiczne i mogą być wciąż aktywne, a nawet groźne. Rozmazy są chemiczne – smar, farba, nafta, olej samochodowy, pasta do kopyt, ewentualnie keczup.

***

Gdy poszedłem do naszego księgowego po raz pierwszy, wiedziałem, że ma coś nie tak z głową – zostałem uprzedzony: autystyczny nerd, ale dobrze liczy – dlatego nie zdziwiły mnie jego gumowe rękawiczki sięgające łokci. Uznałem je za część choroby umysłowej. Tymczasem on wyciągnął w moją stronę jakiś kwit i pokazał sporą plamę zasłaniającą kawałek treści.

– To może być kropla musztardy – powiedział głosem analitycznym. – I w zasadzie… pomimo że mało prawdopodobne, wolę, żeby to jednak była musztarda, gdyż alternatywą dla musztardy jest coś, co, owszem, ma ten sam kolor i konsystencję, ale pochodzi z cielaka, a nie z cieknącego hamburgera.

Miał na biurku całą stertę papierków i wszystkie zaplamione. Wszystkie wymięte, ponadrywane, wymieszane ze sobą, jakby chodziło o kompostowanie papieru, a nie o doroczne zeznanie podatkowe z czyjegoś rancha. Tak wyglądają wszystkie nasze papiery oprócz moich. Ja mam moje ładnie wpięte w segregator. I on od razu wiedział dlaczego:

– Pan z pochodzenia zagraniczny, prawda?

– Tak.

– Wychował się pan w jakimś systemie opresyjnym, gdzie obywatel nic nie znaczy, od zawsze podlegał władzy feudalnej, potem różnym innym podobnym, i żadna z nich nie zapewniała wolności. Dlatego mi pan przynosi rachunki służalczo uporządkowane, a nie to, co przynoszą normalni ludzie prerii.

– Zgadza się.

– A skąd pan pochodzi, jeśli wolno spytać? I pytam wyłącznie w celach podatkowych. Ustawy o unikaniu podwójnego opodatkowania, odpisy dla inwestorów zagranicznych i tem podobne.

– Urodziłem się w sowieckiej strefie okupacyjnej na terenie Polski; to się nazywało PRL. A teraz mamy tam RP, czyli… strefę okupacyjną UE.

– Dziękuję. Na pewno coś znajdę. Unia Europejska. Ha! Tam jest taki bałagan w przepisach, że albo pan nie zapłaci nic, albo oni zapłacą panu. No albo będzie pan musiał zapłacić dwa razy: jeden podatek w USA, a drugi w Polsce. Na tym właśnie polega bałagan, że działać może w obie strony i jedna z tych stron jest silniejsza, bo ma aparat państwowy, ale… druga strona jest sprytniejsza, bo ma w ręku własne pieniądze, których nie chce stracić. Rachunek prawdopodobieństwa jest po naszej stronie.

– To znaczy?

– To znaczy, że urzędnikom się zawsze mniej chce walczyć, bo nie walczą o swoje, a mnie chce się walczyć, bo pan mi płaci honorarium od wygranej. Zaoszczędzę panu podatków, to mi pan płaci, a nie zaoszczędzę, to mi pan nie płaci.

– A ta trzecia możliwość?

– Trzecia możliwość jest w naszym przypadku niemożliwa.

– Ale teoretycznie istnieje, prawda?

– Owszem.

– Czyli może się tak zdarzyć, że mi pan nie zaoszczędzi na podatkach, tylko mnie pan wpakuje w jeszcze większe. Co wtedy?

– Wtedy ja panu dopłacę różnicę. To oczywiste. Wszelkie umowy działają w obie strony.

– Pan mi zapłaci za moje podatki?! – byłem mocno zaskoczony.

– To się jeszcze nigdy nie zdarzyło, ale na teoretycznej macierzy danych istnieje taka opcja, że jeżeli pan zapłaci więcej, niż powinien, to ja pokrywam różnicę. Moja fuszerka, mój koszt.

– Cieszę się. I jesteśmy umówieni. Czy mogę teraz na chwilę wyjść?

– Toaleta jest na zapleczu…

– Ja nie do toalety. Muszę natychmiast zadzwonić do mojej księgowej w Polsce i zaproponować jej tę trzecią opcję. ©℗

eprasa.pl 5501c57294

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

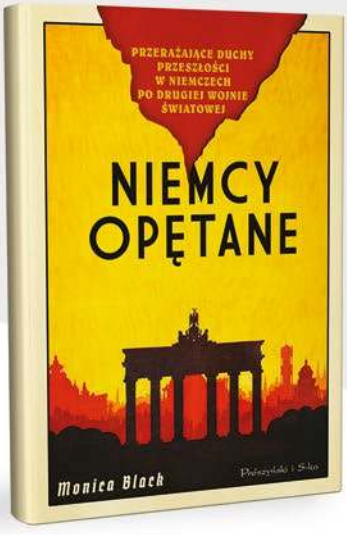

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MONICA BLACK:

„NIEMCY OPĘTANE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1161~~ ZŁ

365,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 796ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5501c57294

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI 1943–1953 ZNÓW ZAPOMNIANI

Nie wojna domowa, tylko obrona narodu przed sowiecką okupacją

KOŚCIÓŁ I KOMUNA – W latach 1945–1950 wzrastał w Polsce terror wobec duchownych i złudzenia prymasa

„MARCHLEWSZCZYZNA" – Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw nie nadawało się do roli „imperialistycznego agresora" tak jak II RP

POLACY BUDOWALI LIPAWĘ – Rosja potrzebowała niezamarzającego portu na Bałtyku. Wybór cara zapadł w II połowie XIX w.

W IMIĘ CELTÓW – Zagorzali separatyści bretońscy założyli podczas drugiej wojny światowej mundury Waffen-SS i wzięli do ręki broń przeciw państwu francuskiemu

ZLODOWACENIA W POLSCE – Jeśli bylibyśmy w interglacjale wielkiej epoki lodowcowej, to czas ocieplenia – już trwający 11,7 tys. lat – skończyłby się za kilkanaście tysięcy lat

BERBERZY NA ISLANDII – W wiekach XVII i XVIII islamscy piraci uprowadzili i sprzedali w niewolę 1 125 000 Europejczyków. Dotarli nawet pod koło podbiegunowe...

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5501c57294